

S. M. Borowiecky

Która jego
jest



Kzpaltaj

S.M. Borowiecky

Która jego jest

Szpalta, Warszawa 2017



© COPYRIGHT BY S. M. Borowiecky © COPYRIGHT BY Grupa
Medialna Szpalta, 2017

Wydanie pierwsze

Redakcja

Anna Wysocka

Korekta

Marek Kowalik

Projekt okładki

Studio Karandasz

Zdjęcia na okładce

Fotolia. com - Nastya Tepikina, Poulsons Photography, gcelebi, Carlos
Caetano, larisabozhikova, Stuart Monk, vladimirfloyd, picsfive

Grupa Medialna Szpalta sp. z o. o. i wspólnicy sp. k.

ul. V Poprzeczna 8/1, 04-611 Warszawa księgarnia internetowa: www.szpalta.com

Skład i łamanie

Piotr Gil

Druk i oprawa

CPI Moravia Books

ISBN 978-83-943061-6-8

Opracowanie wersji elektronicznej

SPIS TREŚCI

[Wprowadzenie](#)

[Łowca przynosi wyrok](#)

[Klasztor Templariuszy](#)

[Exorcizamus te!](#)

[Grób Michaela Ende](#)

[Cmentarz we mgle](#)

[Operacja w KL Dachau](#)

[Godzina 19. 10](#)

[Nie ma narciarzy, jest mgła](#)

[Eloi, Eloi, lama sabachtani](#)

[Godzina 11. 04](#)

[Niech przemówią cyfry](#)

[Godzina 13. 35](#)

[Tajemnica świętego Piotra](#)

[Pielucha Dzieciątka Jezus](#)

[Kot, królik i łasica](#)

[Godzina 17. 48](#)

[Godzina 17. 55](#)

[Godzina 18. 11](#)

[Godzina 21. 53](#)

[Godzina 22. 31](#)

[Godzina 3. 19](#)

[Godzina 4. 15](#)

[Godzina 6. 40](#)

[Godzina 8. 15](#)

[Godzina 8. 35](#)

[Godzina 9. 00](#)

[Godzina 9. 23](#)

[Godzina 9. 30](#)

[Godzina 9. 40](#)

[Godzina 9. 48](#)

[Godzina 9. 55](#)

[Godzina 10. 44](#)

[Godzina 11. 12](#)

[Godzina 11. 30](#)

[Godzina 16. 49](#)

[Godzina 17. 24](#)

[Godzina 18. 00](#)

[Początek i koniec](#)

Wprowadzenie

Nie istnieje coś takiego jak zbiorowa świadomość. Każdy z nas posiada nie tylko wolną wolę, ale też możliwość samodzielnej oceny tego, co jest, a co nie jest prawdą. Dlatego kiedy mówię „wszyscy zostaliśmy oszukani”, mam na myśli każdego z osobna. Każdy z nas został oszukany, na

indywidualny, bolesny sposób. Jednych oszukał Kościół, twierdząc, że ma monopol na zbawienie, na tworzenie historii wiary i zarządzanie nadzieją na miłość Boga. Boga, do którego mamy prawo wznosić oczy niezależnie od tego, gdzie jest nasza świątynia codziennej wiary. Innych oszukali politycy, którzy tworząc nowy ład po drugiej wojnie światowej, zapomnieli powiedzieć, że ułożyli się z Diabłem.

Ta książka, podobnie jak pierwsza część, *Ani żadnej rzeczy*, jest literacką fikcją. Podobieństwo do prawdziwych zdarzeń jest przypadkowe. To, że jako autorka pisząc wstęp, ocieram z oczu łzy, to oczywiście też przypadek.

Kiedy w KL Oświęcim złoty ząb ma wartość wymienną równą kawałkowi chleba, w KL Dachau dwóch wybitnych profesorów toczy walkę na śmierć i życie o to, który zje tłustą dżdżownicę. Kilka lat później dzięki pomocy amerykańskiego wywiadu (DIA) formuje się niemiecki wywiad - Organizacja Gehlena, której twórcą jest między innymi Klaus Barbie, znany jako „Kat z Lyonu”. Amerykanie nie tylko nie oddają pod sąd nazistów, ale pomagają wielu z nich w ucieczce ku wolności.

Alianci nie tylko pomogli w tworzeniu korytarzy ucieczkowych, na których mapie znajdował się Czerwony Krzyż i Watykan, ale do dziś udają, że ze złem, które toczy Europę i Bliski Wschód od chwili zakończenia drugiej wojny, nie mają absolutnie nic wspólnego.

Miejsca, organizacje i instytucje wymienione w książce są prawdziwe. Co za tym idzie, wiele postaci znanych z kart historii także. Pojawiają się tu fragmenty Starego i Nowego Testamentu, od Księgi Daniela przez Księgę Psalmów i wiele innych. Wykorzystałam także elementy gematrii i archeografii.

Tworząc drogę szyfrów i ukrytych znaczeń, pozwoliłam sobie wykorzystać fragment bajki *Kot, królik i łasica* Jeana de La Fontaine'a, w przekładzie Władysława Noskowskiego (wyd.

Media Rodzina, 2012). Korzystałam także z setek książek reporterskich i historycznych. Dziękuję ich autorom, szczególnie - Dasie Drndić i Ernstowi Klee. Z setek nazwisk chcę wymienić także Olivera Schroma Andreę Ropke, Uki Goñiego i Philippa Martiego. Bez ich książek, przełożonych i wydanych w Polsce, nie zdobyłabym ogromu wiedzy. Wiadomo bowiem, że żadna fikcja nie obroni się bez prawdy.

Od wojny minęło ponad siedemdziesiąt pięć lat. Najwyższy czas, by powiedzieć prawdę. Jeśli obozy zagłady były polskie, to kim był Klaus

Barbie, „Kat z Lyonu”, twórca niemieckiej agencji wywiadowczej, mający na sumieniu życie kilkunastu tysięcy ludzi? Kim byli elegancki Mengele „Morderca bliźniąt”, miły Reinefarth znany jako „Kat Warszawy”? - obydwu chronili amerykański i niemiecki wywiad, obydwu chronił

Watykan. Kim jest Gudrun Burwitz, spadkobierczyni idei swego ojca, Heinricha Himmlera - stworzyła organizację Stille Hilfe, działającą po dziś dzień, organizującą msze ku czci boga Odyna w pewnym niemieckim landzie, zgodnie z ideą „Odyn zamiast Jezusa”. Kim byli i są oprawcy, skoro myli się ich dziś z ich ofiarami, wypaczając całkowicie sens drugiej wojny światowej i jej wpływ na polityczny układ współczesnej Europy? I co z tego będą pamiętali młodzi? Czy będą w stanie zrozumieć, że w Watykanie był ktoś taki jak Alois Hudal, biskup, który

z pomocą Czerwonego Krzyża pomógł setkom, ba, tysiącom nazistów w ucieczce?

Ta książka, podobnie jak jej pierwsza część, nie jest aktem zemsty. Jest jedynie próbą odtworzenia faktów i mitów, które przeleżawszy w otchłani niepamięci, muszą wyjść na jaw. Nie uderzam w Kościół. Nie zabraniam nikomu wiary, wierzę bowiem, że bez niej człowiek jest jedynie marnym pyłkiem unoszonym przez zmienne wiatry historii.

Zanim oddam w Państwa ręce trzy lata swojego życia, napiszę tylko jedno.

Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece.

S. M. Borowiecky

„Kto nie zna prawdy, ten jest tylko głupcem.

Ale kto ją zna i nazywa kłamstwem, ten jest zbrodniarzem”.

Bertolt Brecht



ŁOWCA PRZYNOŚI WYROK

Czarny land rover wolno objechał St. Anna Platz i zaparkował pod aleją drzew kilkanaście metrów od schodów prowadzących do kościoła świętej Anny. Zegar na wieży wybił siedemnastą.

O tej porze świątynia wydawała się bardziej tajemnicza niż o jakiegokolwiek innej godzinie. Pomarańczowe cegły i niebieski dach zdawały się wchłaniać ostatnie promienie słońca, jakby coś ukrywającego się w jego wnętrzu pragnęło wessać światłość i na zawsze ją zatracić. Nawet niewinne głosy dzieci, których śpiew dobiegał z ciemnego wnętrza świątyni przez otwarte dwuczęściowe drzwi przedzielone kolumną, wydawały się mroczne.

- Jezus jest dobry... Jezus kocha... wszystkich nas... Jezus jest miłoościiaaa... - śpiewały dzieci, zawodząc z bawarską intonacją.

Mężczyzna siedzący za kierownicą land rovera uchylił okno.

Do środka razem z rześkim podmuchem wiatru wpadły dźwięki kościelnych organów. Słyszając towarzyszące im nierówne zawodzenie dzieci, zrobił zdziwioną minę i spojrzał na zegarek -

próba powinna się skończyć dwadzieścia minut temu. Dlaczego wciąż tam są? Dlaczego wychowawca z Maria Theresia Gymnasium jeszcze ich nie odprowadził? Zaniepokoił się na myśl, że ta zmiana planów mogłaby oznaczać, że ktoś ostrzegł

księdza...

- Nie, to niemożliwe - zapewnił sam siebie.

W końcu jadąc tu, upewnił się, że nikt w Monachium nie żywi choćby cienia podejrzenia. Od lat wszyscy mieszkańcy robili co w ich mocy, żeby wymazać z pamięci złą przeszłość proboszcza, do tego stopnia, że luki w głowach wypełnili obrazem księdza-anioła, człowieka bez choćby jednej skazy, który natychmiast po śmierci dostąpi wniebowzięcia. Na samą myśl, jakie miny zrobią za kilka godzin, mężczyzna uśmiechnął

się pod nosem. Ci ludzie wierzą w nieskalane życie proboszcza do tego stopnia, że nie przyszłoby im do głowy, że ktokolwiek mógłby chcieć go tu odnaleźć. Wziął głęboki wdech i wypuścił

powietrze ze świstem. Nigdy wcześniej nie czuł się tak zdenerwowany. Chcąc uspokoić umysł, na chwilę przymknął

oczy. Nie pozostawało mu nic innego, niż poczekać, aż dzieci opuszczą kościół. Przez ten czas musi znów oczyścić myśli, musi się skupić.

Z początku zaintonował melodię. Po chwili jego usta zaczęły bezgłośnie poruszać się w rytm modlitwy. Odmawiał ją w skupieniu

graniczącym
z ekstazą,
prosząc
o łaskę

i wybaczenie. Gdy skończył, w jego głowie pojawiło się wspomnienie. Nie odgonił go ani nie próbował otwierać oczu.

Wiedział, że dzięki tym obrazom, dzięki głosom wypełniającym teraz jego głowę nabierze pewności, że to, dlaczego się tu zjawił, musi zostać zrobione.

- Czy to ten? - jego własny głos, z czasów, gdy był młodszy, wypełnił jego umysł. Wtedy jego zadania ograniczały się do szukania świadków, nie wykonywania wyroków. Wrócił do sali, gdzie trwało przesłuchanie, mające potwierdzić lub zniweczyć dwa lata poszukiwań zbrodniarza.

Pokój był mały i ciasny. W powietrzu unosił się zapach wilgoci. Mimo że przesłuchanie trwało już ponad czterdzieści minut, kobieta wciąż siedziała w szarym prochowcu. Zaciskała

zbielałe palce na brzegu stołu, nie odwracając oczu od zdjęcia leżącego na blacie. W końcu po raz kolejny wolno pokręciła głową. Widział po niej, że bardzo chce pomóc. Od początku siedziała w takim napięciu, jakby całe jej ciało, każdy zmysł, każdy nerw, były gotowe, by wreszcie krzyknąć - „tak, to on, to Adolf Rielke, ksiądz Adolf, przez dzieci nazywany ojcem Alfi!”.

- A ten? - Podsunął jej na stole kolejne zdjęcie, zabierając wcześniejsze. Piąte. Przedostatnie. Zdawał sobie sprawę, że jeśli i tym razem nie rozpozna na nim księdza, zostanie im tylko jedna, ostatnia szansa. Choć na samą myśl o takim obrocie spraw nabrał ochoty, by złapać krzesło i walnąć nim o ścianę, starał się tego nie okazać. Kobieta była wystarczająco zestresowana. Chcąc dodać jej otuchy, posłał jej pełne łagodności spojrzenie.

- Nie. Ten też nie - odparła. W jej oczach zaszklily się łzy.

Usta zaczęły jej drżeć jak u dziecka, któremu zbiera się na płacz, ale za wszelką cenę stara się opanować. - Przepraszam, panie Magdi, ja... - urwała i rozpłakała się na dobre.

Magdi bez słowa podszedł i podał jej pudełko chusteczek. Nie ty pierwsza - pomyślał - i nie ostatnia nie rozpoznałaś nazisty.

Na kilkuset, których udało się wydobyć spod ziemi, wrywając ich z bezpiecznego kokonu w Watykanie, z gęstej siatki układów Czerwonego Krzyża, zmuszając do zeznań pracowników byłej argentyńskiej służby wywiadowczej, pracowników konsulatów Stanów Zjednoczonych, Izraela,

Szwajcarii, Austrii, Niemiec... na kilkuset wytropionych agentów i współpracowników, ja i inni musieliśmy znieść setki porażek.

- Wie pan, że miałam wtedy pięć lat? - odezwała się nagle kobieta, skubiąc w palcach zmiętą chusteczkę, którą co chwila przykładła do nosa i oczu.

Magdi kiwnął głową. Tak, wiedział, zresztą nie tylko to, ile miała wtedy lat. Wiedział wszystko o niej i dwadzieścioru ośmiorgu innych wychowankach ośrodka dla sierot, stworzonego w dawnym klasztorze Indersdorf niedaleko Dachau. Dzięki teczkom wyrwanym z łapsk ludzi z organizacji Hitlerjugend wiedział o nich więcej niż oni sami. Wiedział też, że ludzie z Administracji Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy zrobili wszystko co w ich mocy, żeby pomóc dzieciakom z obozów, sierotom, wszystkim, których wojna na zawsze pozbawiła dzieciństwa, wrywając w ich umysłach czarne dziury. Nie winił ludzi z UNRRA, ale jednocześnie nienawidził Stanów Zjednoczonych. To przez układ między ich rządem a Wielką Brytanią, Rosją i Niemcami księża oferujący pomoc w adopcji części wychowanków dokonywali selekcji, a potem oddawali je nazistom od nowa tworzącym swoje struktury...

- Ojciec Alfi był naprawdę miły... - kontynuowała kobieta, nagle zmieniając podejście, jakby chciała usprawiedliwić to, że nie udało jej się pomóc. - On nam dawał cukierki z Ameryki.

Smakowały jak krówki, nasze, polskie krówki, jadł pan kiedyś?

- Nie jadłem - zaprzeczył Magdi, czując, że od tej pory nienawidzi cukierków zwanych krówkami tak mocno jak księdza Rielkego i kilku jego współpracowników z Kloster Indersdorf.

Kobieta ciągnęła dalej opowieść o cukierkach, niewinnie uśmiechając się pod nosem.

- Nie ciągnęły się i były bez nadzienia, ale smakowały tak samo jak polskie krówki. - Młasnęła ze smakiem. Do tego jeszcze ciastka maczane w herbacie, nigdy nie jadłam lepszych, i te, no...

Magdi w mgnieniu oka zrozumiał, że jeszcze chwila, a kobieta całkiem rozczuli się nad losem swoim i Rielkego, i będzie po wszystkim. Nie zamierzał do tego dopuścić.

Wystarczająco długo pracował nad nią, żeby zmusić ją do złożenia zeznań. Była ostatnią z żyjących dzieci z ośrodka prowadzonego przez UNRRA. Jeśli ktokolwiek mógł pomóc, to właśnie ona. Zostało jedno

zdjęcie. Jedno. Ostatnia nadzieja -
pomyślał Magdi.

- Pani Rito, dość tego! - rozkazał, uderzając pięścią w stół.

Stara kobieta aż podskoczyła ze strachu i natychmiast skuliła się na krześle.

Magdi złapał ostatnie zdjęcie leżące na brzegu teczki i położył przed nią na stole. Kobieta wysunęła głowę spod kołnierza. Trzęsącą się dłonią przysunęła fotografię bliżej i zaczęła studiować twarz uwiecznionego na niej mężczyzny, obrysowując palcem kontur jego głowy. W końcu jej palec się zatrzymał. Nie mówiąc ani słowa, poderwała się od stołu i w amoku zaczęła biec do drzwi. Zahaczywszy nogą, przewróciła krzesło, które z hukiem rąbnęło o ziemię, sama zatoczyła się na ścianę i odbijając się od niej niczym szmaciana lalka, osunęła się na podłogę, tracąc przytomność. Zanim Magdi zdołał pobiec po pomoc, osiemdziesięcioletnia Róża Wilska była już martwa.

Magdi otworzył oczy. Znow był w samochodzie. Gdzieś w oddali usłyszał bicie dzwonów. Dochodziła osiemnasta.

Późno - pomyślał - i postanowił, że nie może dłużej czekać.

Zanim wejdzie do kościoła, potrzebował zaczerpnąć świeżego powietrza. Zrobi to w imieniu Róży. W imieniu Noaka, Gerdy, Klausa, Hansa, Moniki, Ani, Tomasa, Rolfa, których także

osobiście przesłuchiwał. Podniósł głowę i spojrzał ponad dachami budynków. W tej chwili nie chodziło tylko o nich.

Kilkanaście kilometrów dalej, w klasztornej celi leżała dziewczyna, której Magdi kilka dni temu obiecał pomóc. Wciąż jeszcze była słaba, po tym jak w Rzymie niemal nie zastrzelił

jej neonazista. Na samą myśl, że mogła zginąć, że mogła skończyć tak samo jak jego przyjaciel Pietro Cippo, którego napastnik nie oszczędził, Magdi poczuł, jak ogarnia go kolejna fala wściekłości.

- Oko za oko, ząb za ząb - wyszeptał i wysiadł z samochodu.

Zaciągając się wieczornym powietrzem, zarzucił na głowę szeroki kaptur długiego czarnego płaszcza, wyjął z kieszeni czarne rękawiczki i założył je. Ruszając przed siebie w stronę kościelnych schodów, wysunął spod koszuli medalik z chryzmonem i ułożył go na piersi na wysokości serca.

- In hoc signo vinces... - wyszeptał, zrobiwszy w powietrzu znak krzyża, i wbiegł po schodach do świątyni wypełnionej głosami dzieci.

W środku panował chłód. Pozapalane lampy wokół ołtarza rzucały ostre światło na figury świętych znajdujące się po obu stronach ogromnego obrazu

w złotej ramie, ukazującego scenę z Biblii, w której Duch Święty zstępuje i oświeca Annę i Maryję. Ukryta symbolika natchnienia Wielkiej Macierzy -

pomyślał Magdi - przemykając w cieniu nawy z lewej strony do drzwi prowadzących do zakrystii. Kilkadziesiąt kroków przed nim, w równych rzędach, z twarzami zwróconymi w stronę ołtarza,

stały

dzieci,

powtarzając

właśnie

Pieśń

o zmartwychwstaniu. Dzięki głośniejszemu grze organów i śpiewom Magdi mógł swobodnie przejść przez prawie cały kościół, mając dość czasu, by zastanowić się, z której strony będzie mu łatwiej odciąć Rielkemu drogę ucieczki. Biorąc pod uwagę, że mimo

podeszłego wieku zdołał im się wymknąć już dwa razy - raz w Stuttgarcie, a raz w Zurychu - tym razem Magdi chciał do tego nie dopuścić.

Śpiewy ucichły. Organy przestały grać. Kościół wypełniła cisza. Nie chcąc zostać zauważonym, Magdi szybko wślizgnął

się w rząd ławek na lewo od ołtarza i jak gdyby nigdy nic usiadł, postanawiając, że zaczeka, aż dzieci rozejdą się na tyle, żeby mógł zobaczyć Rielkego. Z lewej strony minął go pulchny mężczyzna, który dotąd siedział w ławce na samym końcu.

Podszedł żwawym krokiem do dzieci i zaczął je ponaglać, nerwowo stukając palcem w zegarek. Wyglądało na to, że to ich wychowawca i bardzo mu się spieszy, żeby odprowadzić dzieci do sierocińca.

Dobrze, bardzo dobrze - pomyślał Magdi z zadowoleniem.

Kiedy dzieci zaczęły się rozchodzić do ławek, zobaczył stojącego przy ołtarzu z naręczem nut i śpiewników zgarbionego księdza w czarnej sutannie.

- Rielke... - wyszeptał Magdi, nie spuszczać go z oka.

Pierwszy raz zobaczył na żywo jego poraną zmarszczkami twarz. To prawda, był już stary, nawet bardzo. Ale czy wiek ma oczyszczać z grzechów? Czy ktoś, kto zabijał, kto kradł, kto wykorzystywał niewinne dzieci, korzystając przy tym z zagrabionego żydowskiego majątku, by wieść dostatnie życie, ma prawo uniknąć kary tylko dlatego, że jest stary?

- Ksiądz Adolf Rielke, ojciec Alfi? - spytał donośnym głosem Magdi i wstał, wolno przeciskając się między ławkami.

Ksiądz odwrócił głowę. Wyglądało na to, że nie zamierza uciekać. Kilkoro dzieci stojących najbliżej zamilkło, przyglądając się całej scenie.
- Tak, zgadza się - odparł spokojnie ksiądz.

Nagle organista obserwujący ich z góry uderzył wściekle w klawisze. Kościół wypełniła kakofonia dźwięków. Kilkoro dzieci zakryło uszy. Wszystkie głowy powędrowały w górę, w kierunku antresoli i potężnych piszczałek wypełniających pół

ściany nad wejściem. Czerwony na twarzy organista przestał walić w organy i pogroził Magdiemu pięścią, po czym utykając na lewe kolano, ruszył w kierunku schodów. Magdi natychmiast zdał sobie sprawę, że jest jeden człowiek, który może być zatroskany o los Rielkego. Organista to Matias Kurt, opóźniony w rozwoju chłopak, jeden z najbliższych współpracowników Rielkego od ponad dziesięciu lat. W obronie swego protektora ten zagorzały antysemita i neonazista, członek organizacji Wiking-Jugend, byłby w stanie popełnić każde przestępstwo.

Z jego akt wynikało, że podpalenia, pobicia i kradzieże to jego specjalność. Magdi wiedział, że jeśli nie chce spotkać się z nim oko w oko, ma najwyżej dwie, trzy minuty, żeby rozprawić się z księdzem Rielkem. Mógłby to zrobić tu i teraz, gdyby nie dzieci, które ciągle kręciły się wokół nich.

- Mógłby pan zabrać stąd dzieci?! - zawołał zniecierpliwiony Magdi do wychowawcy. Ten nie zareagował. Dzieci wciąż kręciły się wokół chóru, zbierając nuty, śpiewniki, rozmawiając i popychając się nawzajem. Wszystko wskazywało na to, że szybko nie wyjdą. A skoro tak, to on, Magdi, musi jak najszybciej zabrać stąd Rielkego. Spojrzał w stronę schodów -

Kurt był już w połowie drogi na dół.

- O co panu chodzi? Zaraz, chwileczkę, Kurt, Kurt, na pomoc! - krzyknął ksiądz, szarpiąc się z Magdim. Przez kilka sekund próbował się wyrwać, aż w końcu dał za wygraną.

- Nazywam się Serge Magdi, chciałbym porozmawiać z księdzem na osobności. - oznajmił Serge, ciągnąc księdza za ramię w kierunku drzwi prowadzących do zakrystii.

Ksiądz Rielke obejrzał się w kierunku nawy głównej.

Pomiędzy dziećmi, które próbował złapać wystraszony wychowawca, jakieś pięć ławek od nich stał Kurt, otoczony biegającymi wokół niego

chłopcami. Rielke przewrócił oczami, jakby zrozumiał, że niedorozwinięty umysłowo chłopak nie okaże się pomocny. Popychany przez Magdiego, szedł za nim w stronę drzwi.

- Niech pan tak nie ciągnie, chyba nie sądzi pan, że w moim stanie mógłbym próbować ucieczki! - wysapał Rielke, próbując wyszarpać ramię z uścisku.

Nic z tego - pomyślał Magdi - wyczuwając, że to podstęp. Od przymkniętych drzwi zakrystii dzieliło ich już tylko kilka kroków. Magdi przyspieszył kroku, zmuszając Rielkego, by i on zrobił to samo. Pchnął drzwi i wepchnął księdza do środka, zatrzaskując je i przekręcając klucz. Niemal w tej samej chwili Kurt, ocierając z czoła pot, pokonał wąski korytarz i dosłownie rzucił się na drzwi, okładając je pięściami z taką siłą, jakby chciał wyważyć je razem z futryną. Ten trzydziestolatek jest równie silny co głupi - ocenił Magdi. Nie czekając ani chwili, wypuścił ramię Rielkego z uścisku, pchnął go pod ścianę i złapał stojące tam krzesło, żeby zatarasować nim drzwi.

Przebiegł przez salę i upewnił się, że wyjście na podwórze na tyłach kościoła jest zamknięte. Widząc, że Rielke próbuje otworzyć szafę, wyjął spod płaszcza niewielki pistolet, zwinnym ruchem dokręcił do niego tłumik i wycelował w Rielkego.

- Nawet nie próbuj... - oznajmił i przeniósł wzrok na drzwi, w które wciąż wściekle walił Kurt. - Panie Kurt, to na nic! -

zawołał Magdi, próbując przekrzyczeć dochodzące od drugiej strony walenie pięściami. Kurt na chwilę odpuścił, ale tylko po to, by oznajmić, że zadzwoni po policję.

- Proszę dzwonić, panie Kurt! - odpowiedział Magdi, obserwując, jak Rielke załamuje ręce. - Zapewne chętnie dowiedzą się czegoś więcej na temat pańskich zainteresowań...

- dodał, na wszelki wypadek podchodząc do drzwi i dostawiając do nich krzesło.

Zanim Magdi zdążył się odwrócić, zdesperowany ksiądz Rielke spróbował ostatniej szansy ratunku. Poderwał się i podbiegł do tylnego wyjścia, jak szalony szarpiąc za klamkę.

Widząc, że to na nic, zawył z wściekłości.

- Jest pan głupi, panie Rielke - skwitował Magdi, wydając z kieszeni klucz matowy od rdzy i pokazując go Rielkemu. -

Myślał pan, że uda się panu trzeci raz?

- Nic na mnie nie macie! - wyszczał Rielke. Wymierzył palec w pierś Magdiego i z furią w oczach zaczął iść w jego stronę. -

Nic. Nie. Masz - wycedził, ciągle celując palcem w pierś Magdiego. - Jesteś. Głupi. Głupi. - powtórzył. - Niczego nie wiesz. Niczego. A chcesz wymierzać sprawiedliwość... -

Zauważył medalik wiszący na piersi Magdiego i spróbował go zerwać. Serge odepchnął jego rękę. - Tym usprawiedliwiacie samosąd?

Tym?

Monogram

Chrystusa

jest

niczym

w porównaniu z potęgą najwyższego, z potęgą kamienia. Tylko my zdołaliśmy w pełni wykorzystać jego moc... - nabrał

powietrza - Rahn i Himmler odkryli, gdzie jest jej źródło.

Magdi zamarł. Wiedział, że to, o czym mówi Rielke, może być prawdą. Przeraziło go, że ten stary nazista wie aż tyle o odkryciach Rahna i Himmlera. Czy jego przyjaciel, Pietro Cippo, miał o tym pojęcie? Czy zdawał sobie sprawę, ile wie Rielke? Niech to szlag - pomyślał Magdi. Nagle poczuł się zagubiony. Jeśli ksiądz wie coś, o czym nie wiedział Pietro, może to mieć związek z dziewczyną, może nawet jest jednym z ważniejszych elementów całej układanki.

Magdi był tak pochłonięty myślami, że z początku nie zorientował się, że Kurt przestał walić w drzwi. Zamiast tego było słychać, jak woła dzieci i wychowawcę, a chwilę potem westybul wypełniły przerażone głosy chłopców i dziewczynek, którym Kurt zdawał się wydawać rozkazy. Niech to szlag -

pomyślał Magdi - nie spodziewając się, że Kurt wykorzysta dzieci, by dostać się do środka.

- Otwierać! - wrzasnął Kurt, a potem uderzył w drzwi czymś masywnym z taką siłą, że drewno zaskrzypiało i poleciały drzazgi. Jedno z dzieci zaczęło płakać.

- Chyba nie pozwolisz mu skrzywdzić tych dzieci... -

wyszeptał Magdi do Rielkego. Ten wzruszył tylko ramionami.

Widać było, że niepoczytalność Kurta jest mu na rękę.

Nietrudno było się domyślić, że ciągle liczy na to, że protegowany wybawi go z opresji, nieważne jak.

- Kurt! - krzyknął Magdi, nie spuszczać z oczu Rielkego. -

Wypuść dzieci, słyszysz? Powiedz wychowawcy, żeby zabrał je z kościoła, powiedz mu, że ksiądz Rielke nie jest tym dobrym człowiekiem, za którego się podaje... Zrób to teraz, Kurt, zanim stanie się coś złego... Przecież nie chcesz, żeby dzieciom coś się stało, prawda, Kurt? Są takie jak ty, pamiętasz? Porzucone, samotne... Jeśli zrobisz któremuś z nich krzywdę, to tak jakbyś skrzywdził sam siebie...

Rielke podbiegł do drzwi i szarpiąc za klamkę, zaczął wrzeszczeć.

- Nie słuchaj go! Chłopcze, słyszysz? - zrobił pauzę, przyciskając ucho do drzwi, próbując się upewnić, czy Kurt wciąż tam jest. - Kurt, nie wypuszczaj ani jednego dzieciaka z kościoła! Ani jednego! Inaczej ten bandyta skrzywdzi księdza Alfiego i nikt już się tobą nie zajmie!

Magdi złapał wrzeszczącego Rielkego za sutannę i odciągnął od drzwi z taką siłą, że ksiądz poleciał na szafę.

- Zamilcz! - rozkazał, celując do niego z broni. Był już pewien, że nie może czekać. Nawet jeśli Rielke wie coś na temat kamienia, na temat miejsca, gdzie ukryta jest Ewangelia - trudno.

- Nie macie prawa mnie o nic oskarżać - bronił się Rielke, próbując wstać. - Nie macie dowodów. Te durne dzieci dzięki mnie, dzięki moim staraniom wyszły na ludzi. A powinny były zdechnąć!

Magdi ułożył palec na spuście i upewnił się, że pistolet jest odbezpieczony. Spodziewał się, że Rielke będzie próbował oczyścić się z winy, że będzie zaprzeczał, ale to, co powiedział przed chwilą, nie pozostawiało złudzeń. Był winny. Nie czuł winy. Zeznania Róży, Noaka, Gerdy, Klausa, Hansa, Moniki, Tomasa, Rolfa i kilkunastu innych byłych wychowanków ośrodków dla sierot prowadzonych przez nazistów tuż po wojnie, do których dostarczył je po dokonaniu skrupulatnej selekcji rasowej Rielke, były jednoznaczne. Ten stary człowiek klęczący przed nim na podłodze jest mordercą. Jest nazistą.

W jego oczach płonie piekielny ogień. To się musi skończyć, teraz.

- Adolfie Rielke, zostałeś oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości, w tym współpracę przy organizacji przetrzutu Adolfa Hitlera, Josefa Mengelego

i czterdziestu dziewięciu innych wysokich rangą członków NSDAP, zdeklarowanych nazistów, do Argentyny - oznajmił Magdi, nie zważając na krzyki dzieci za drzwiami. - Zostałeś oskarżony o porwanie, znęcanie się psychiczne, torturowanie fizyczne i oddanie do adopcji wbrew prawu i woli dwadzieściora dzieci z ośrodka Indersdorf w okresie od stycznia do maja 1946 roku. Zostałeś

oskarżony o działalność nazistowską i propagowanie idei nazistowskich z wykorzystaniem do tych celów organizacji Jugendamt od 1947 do 1995 roku...

Kiedy Magdi wyliczał kolejne oskarżenia, starając się nie zwracać uwagi na nasilające się za drzwiami wołanie dzieci o pomoc, ksiądz Rielke nagle zmienił front. Padł na kolana i zaczął błagać o litość.

- Miałem wtedy niecałe siedemnaście lat. Byłem w seminarium, robiłem, co mi kazali, inaczej nie mógłbym zostać księdzem... - tłumaczył się, wyciągając ręce przed siebie, jakby prosił o jałmużnę.

Magdi był niewzruszony.

- Adolfie Rielke, zostałeś skazany na karę śmierci - powiedział lodowatym głosem, odbezpieczył broń i strzelił księdzu prosto w serce.

- Nein! - krzyknął na cały głos Kurt, wpadając do zakrystii, po tym, jak razem z wychowawcą wyważyli drzwi. Kilkoro dzieci wpadło do środka i zamarło. Kurt padł na kolana i wyjął jak dzikie zwierzę, objął ciało martwego protektora. Gdyby tylko mógł, pobiegłby za tym bandytą, który wyskoczył przez okno, i wymierzył mu karę. Ksiądz Alfi był dobry. Bardzo dobry. Pomagał ludziom. Jak ten członek przeklętego bractwa mógł trafić na ich ślad? I jak mógł przyjść do kościoła i zastrzelić ojca Alfiego, jego rodzzonego ojca?



KLASZTOR TEMPLARIUSZY

Pierwsze cienie mroku wpadały przez zakratowane okno niewielkiej celi na szczycie klasztornej wieży. W środku panowała cisza

jak

w grobowcu.

Pachniało

kurzem

wymieszanym z zatęchłym powietrzem, jakby nikt nie wietrzył tu od wieków. Zoja siedziała na metalowym łóżku pośród stosu dokumentów, starając się odnaleźć jakiegokolwiek informacje na temat Ewangelii Apostolic. Była tak pochłonięta swoim zajęciem, że nie przeszkadzały jej ani zapadające ciemności, ani odór starości wydobywający się z każdego kąta pomieszczenia.

Od dłuższego czasu, mimo że przeglądała akta wiele razy, nie znalazła w nich nawet jednej wzmianki, która mogłaby naprowadzić ją na trop. Poczula się zmęczona i zirytowana brakiem efektów. Odsunęła poduszkę, która służyła za oparcie dla jej posiniaczonych pleców, i ostrożnie wyjęła pożątkły kawałek papirusa znaleziony kilka dni wcześniej na podłodze w rzymskim apartamencie. Uśmiechnęła się. Serge próbował go przed nią ukryć w plecaku, ale oczywiście znów go przechytryła. Przysunęła papirus prawie pod sam nos. Chociaż litery zlewały się w ciemnościach, wciąż jeszcze była w stanie odczytać enigmatyczne zdania, których znaczenia wciąż nie mogła rozszyfrować: *„Jam jest ta, co dzieje te widziała i spisała w imię Pańskie. Niechaj nikt ręki nie podniesie na Syna Bożego, który to umiłowan przez Boga Ojca, na ziemię zstąpił z niebios, by lud niewierny na wiarę nawrócić w Jedynego, co w Trójcy*

przenajświętszy zasiada z mirrą, kadzidłem i złotem, by czcić niepoznane i niepoznane ludziom objawić” .

- Jam jest ta, co dzieje te widziała... - powtórzyła Zoja szeptem pierwszy wers i poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

Wspomnienia z Rzymu wciąż były tak żywe, że poczuła się, jakby wciąż tam była. Choć minęło już prawie dwadzieścia pięć godzin, wystarczyło kilka sekund, aby powrócił strach silny jak wtedy, a wraz z nim słowa, które

wypowiedział młody nazista: „Kardynał Giovanni wyznacza termin czterech dni na dostarczenie Ewangelii Apostolic. Inaczej twoja córka zginie”.

Cztery dni, z czego jeden już minął - pomyślała Zoja - czując, jak żołądek zaciska się jej ze strachu. Jak do cholery ma w tak krótkim czasie dostarczyć kardynałowi coś, o czym nie ma bladego pojęcia? Przecież nie wierzy nawet, że jakakolwiek zagubiona Ewangelia może istnieć. Do tego straciła medalik i sztylet. Dotąd sądziła, że obydwie te przedmioty mają ogromne znaczenie, wciąż tak uważa. Poświęciła tak wiele, żeby je odzyskać. Zresztą nie tylko ona...

Wtedy, w Rzymie, Pietro nie zdążył nawet krzyknąć. Gdyby dał im choć znak, zanim nazista zastrzelił go z zimną krwią, pewnie nie tkwiłaby tu teraz zdana na łaskę losu. Pewnie nazista nie zdołałby jej zaskoczyć, okraść, pobić tak, że straciła przytomność. Pewnie Piotr, ten łajdak, Judasz, nie zdołałby uciec z apartamentu po tym, jak ich zdradził...

Zoja otarła łzę z policzka i przekręciła się na bok. Stelaż łóżka zaskrzypiał niebezpiecznie, jakby za chwilę miał się zarwać.

Podciągnęła się na łokciu i dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że wokół niej zapadły ciemności. Wyciągnęła rękę, żeby zapalić lampkę, ale zaraz ją cofnęła. Stępiiony zmysł wzroku wyteżał

inne zmysły, wiedziała o tym. Zamiast bez celu wędrować wzrokiem po celi, całą energię skierowała w stronę umysłu.

Potrzebowała skupienia. Ciszy. Samotności. Potrzebowała zrozumieć, zanim będzie za późno. Oderwany kawałek czegoś, co przypomina papirus, to wszystko, co ma. Nie trzeba być ekspertem, żeby się domyślić, że na pewno nie był tak wiekowy, żeby można go było uznać za oryginał z Ewangelii Apostolic.

A więc to kopia, stara, owszem, ale jedynie kopia. Jeśli ona ma jej fragment, gdzieś musi być reszta. Musi być na tym świecie ktoś, kto ma cały zwój. Jak go znaleźć? Jak zmusić go, żeby wyznał, skąd ma papirus i gdzie powinna szukać oryginału, jeśli istnieje, albo - co uważała za bardziej prawdopodobne - jeśli kiedykolwiek w ogóle istniał. Ewangelia, prawdziwa czy spreparowana w okresie po śmierci Jezusa i Marii Magdaleny, musi mieć związek z wszystkimi wydarzeniami, w których wzięła udział w ciągu ostatniego tygodnia. Sobótka Nowa, Warszawa, Wiedeń, Sankt Gallen, Waldbreitbach, Rzym. Te miejsca mają z nią związek, czuła to. Może właśnie to, co zawiera, jest tym, co pomoże mi wygrać z kardynałem

Giovanno, i co sprawi, że odzyskam córkę - podsumowała w myślach.

Ponownie wyciągnęła rękę i wymacała włącznik nocnej lampki. Po chwili celę wypełniło mdłe światło. Pod wpływem impulsu Zoja jeszcze raz wzięła do ręki akta. Przeleciała wzrokiem kartka po kartce. Opatrzona pieczęcią archiwum Yad Vashem tajne odpisy akt z obozów Auschwitz, Dachau i kilku innych, dotyczących eksperymentów medycznych na dzieciach, znów zaczęły niemal palić ją w dłonie, jakby był w nich ukryty piekielny ogień. Ich treść była diabelna. Kogoś słabszego psychicznie mogłaby pozbawić zdrowych zmysłów. Na szczęście Zoja czuła się silna. Dzięki temu, co widziała i czego się dowiedziała w ostatnich dniach, była przygotowana nawet na gorsze okropieństwa.

Zaszywanie świnek morskich w brzuchach. Amputacje kończyn bez znieczulenia. Przeszczepy narządów. Zszywanie bliźniąt. Wyrwanie kawałków ciała i obdzieranie żywcem ze skóry, żeby sprawdzić, jak pracują mięśnie. Krępowanie dzieci w pozycjach, które powodowały powolne duszenie.

Zoja zacisnęła powieki i wzięła kilka głębokich wdechów. Na myśl o dzieciach, które poddawano eksperymentom, poczuła palącą wściekłość rozlewającą się jak trucizna po całym jej ciele. Szybko przerzuciła strony i znalazła tę, którą uznała za najważniejszą, z listą nazwisk lekarzy pracujących w obozach, ciągnących się w równych rzędach od góry do dołu.

Nie sądziła, że było ich tak wielu. Elita świata medycyny, profesorowie, doktoranci,
studenci,
wszyscy
oni

eksperymentowali na dzieciach z obozów koncentracyjnych i części sierot z ośrodków Lebensborn. Bez najmniejszych przeszkód mogli kontynuować prace po wojnie. Otrzymali dotacje, wsparcie uniwersytetów, wybielono ich akta. Ta pomoc przyszła nie tylko na polecenie nazistów, którzy ukryli się w Watykanie i innych miejscach. Pełno ich przyjaciół znalazło sobie ciepłe posadki w niemieckich landach. Kryli ich agenci wywiadu ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Rosji.

Część ich rozpraw naukowych opartych na eksperymentach w obozach została po wojnie opublikowana. Tak jak wysocy rangą naziści, w tym Mengele, lekarze stali się nietykalni, bo ich wiedza okazała się zbyt cenna.

Jednym z nich był ksiądz, którego akta Zoja znalazła w teczce. Adolf Rielke, ledwo po skończeniu seminarium, w 1945 roku otrzymał tajną misję. Miał zajmować się wybieraniem dzieci, sierot, z ośrodków opiekuńczych i sierocińców i dostarczać je do miejsc, gdzie prowadzone były eksperymenty i nazistowskie szkolenia. Rielke szczególnie upodobał sobie jedną placówkę, całkiem blisko

obożu w Dachau. To nie mógł być przypadek, że oddalony o zaledwie kilkadziesiąt kilometrów stary Klasztor Indersdorf, po tym jak alianci utworzyli tam ośrodek dla sierot, stał się obiektem numer jeden na liście jego zainteresowań. To stamtąd, jak podano w raporcie, Rielke wywiózł ponad trzydzieścioro dzieci, po których potem ślad zaginął. Bywał tam często, nawet po cztery, pięć razy w miesiącu. Nikt nigdy go nie zatrzymał.

Nie zrewidował. Nie ustalił, dokąd naprawdę wywozi dzieci.

- Byłeś bardzo przebiegły - wyszeptła Zoja przez zaciśnięte zęby, nerwowo postukując palcem w zdjęcie przyczepione spinaczem do kartki. Spojrzała na widniejącą tam przystojną, uśmiechniętą twarz mężczyzny. Blondyn. Typowy Aryjczyk.

Nie za bardzo rzucający się w oczy, a jednak mający w sobie coś, co sprawiało, że dzieci na pewno darzyły go zaufaniem.

W aktach napisano, że jego znakiem rozpoznawczym było to, że rozdawał im cukierki. Zoi aż nazbyt łatwo przyszło wyobrażenie sobie, w jaki sposób werbował dzieci, wygłodzone, spragnione opieki i troski.

Lubisz mnie? Cukierek. Pójdiesz ze mną? Cukierek. Staniesz na wadze? Cukierek. Będziesz grzeczny? Cukierek. Pozwolisz sobie obciąć nogę? Cukierek...

Westchnęła z goryczą. Dzięki pomocy Serge'a i Pietra Cippo odkryła kilka dni temu, że siostra Hummel i jej matka współorganizowały od lat kradzież dzieci z całej Europy, by dostarczać je do ośrodków wychowawczych prowadzonych przez neonazistów. Od wojny właściwie nic się nie zmieniło.

Zło trwało w najlepsze. Rozlewało się niczym trucizna po całej Europie. Gdyby tydzień temu ktoś spytał ją, czy uważa, że trzecia wojna już się zaczęła, postukałaby się w głowę. Dziś myśli już całkiem inaczej. Trzecia wojna się zaczęła. Trwa, na razie w podziemiu, w ciszy szykując się do ataku. Naziści

zwierają szeregi. Mają swoich ludzi w najwyższych kręgach władzy, w Watykanie, w rządach państw. Stworzyli siatkę powiązań i układów, z której

nikt nie może się wyplątać, a jeśli zechce się wyplątać, jedynym rozsądnym wyjściem jest śmierć.

W obliczu tego zła, tej tragedii świadomość, że w którymś z ośrodków więzła teraz jej córkę, dając jej cztery dni na dostarczenie Ewangelii, o której nie wie właściwie nic, przyprawiała ją o gęsią skórkę.

- Żebyś zdechł... - wyszeptała Zoja, zerkając ze wstrętem na uśmiechniętą twarz księdza na zdjęciu, zanim wsunęła ją do teczki. Trzymając ją w dłoni, odsunęła kołdrę i spróbowała zwlec z łóżka obolałe ciało. Kiedy jej gołe stopy dotknęły lodowatej podłogi, poczuła się, jakby wstała z sarkofagu w kamiennym grobowcu, śmierdzącym kurzem i starością.

Brakowało tylko trupiego odoru. Nagle poczuła, że bardzo potrzebuje powietrza. Podeszła do okna. Odsuwając zardzewiałą metalową zasuwę z lufcika, spojrzała przez kraty na znajdujący się kilkadziesiąt metrów niżejogród pełen kwitnących drzew.

Tak samo jak wieża, w której się znajdowała, i trzy pozostałe znajdujące się z lewej i prawej strony zabudowań, należał do klasztoru templariuszy Archiconvent der Templer. Wolną ręką Zoja pchnęła z całej siły okienko. Jej twarz omiółł powiew wieczornego powietrza. Spodziewała się, że to przyniesie nieco ulgi, ale ta okazała się jedynie chwilowa. Zapach wolności niemal kłuł ją w nozdrza. Nagle poczuła się zniewolona, zagubiona i samotna. Do tego powód, dla którego pod osłoną nocy przetransportowano ją i Serge'a z Rzymu do Monachium, wciąż pozostawał zagadką. Jedną z wielu, dla których raczej nie uda się znaleźć szybkiego rozwiązania. Zastanawiając się nad tym, spojrzała daleko ponad horyzont. Wiedziała, że przed sobą ma panoramę miasta Hitlera. Gdzieś tam, pośród budynków

widniejących w oddali, znajdują się miejsca, w których bywał, w których żył, które - wspólnie z Himmlerem i pozostałymi - wykorzystał, by stworzyć potęgę, która niemal zniszczyła świat.

Poczuła, że jej obecność tutaj nie może być kwestią przypadku.

Musi, po prostu musi być jakiś powód. I zamierza go odkryć, nawet jeśli będzie musiała złamać obietnicę daną Serge'owi Magdiemu.

Kiedy wychodząc rano, oznajmił jej, że klasztor jest całkowicie zamknięty, przyrzekła, że nie będzie podejmowała żadnego ryzyka. - Nikt z zewnątrz nie ma prawa wstępu, tak samo jak mieszkańcy nie opuszczają jego murów - powiedział

Serge, badawczo się jej przyglądając, jakby wątpił, że Zoja wytrzyma w

zamknięciu choć kilka godzin. Tyle że zaraz potem zniknął bez słowa. I dotąd nie dał znaku życia...

Przyglądając się zachodowi słońca, Zoja nagle poczuła wściekłość, bo choć znajdowała się w centrum miasta, została odcięta od świata. Znowu. Tak jak kiedy była małą dziewczynką. Wcale nie poczuła się lepiej na myśl, że poza nią są tu też inni ludzie. Dwunastu mnichów i dwanaście zakonnic, których liczba miała symbolizować uczniów Jezusa. Wyobraziła sobie, jak gdzieś na dole kręcą się po krużgankach i celach, szykując się do wieczornej modlitwy i kolacji, ale wcale nie poczuła się dzięki temu mniej samotna. Ich obecność wcale nie była budująca. Stanowiła jedynie dowód na to, że templariusze i Bractwo Chryzmonu mają wiele wspólnego.

Nagle Zoja usłyszała za drzwiami szmer. Cholera, teczka! -

pomyślała i ze strachu, że Serge mógłby przyłapać ją na grzebaniu w jego rzeczach, oblał ją lodowaty pot. Przymknęła lufcik i jednym susem dopadła do łóżka Serge'a. Złapała jego plecak i wsunęła teczkę na miejsce. W parę sekund znalazła się z powrotem w swoim łóżku. Z wypiekami na twarzy i walącym

sercem nasłuchiwała odgłosów z korytarza, spodziewając się, że za chwilę usłyszy kroki i zaraz potem zobaczy w drzwiach Serge'a. Nic takiego jednak się nie wydarzyło; jak na złość, ucichły nawet szmery. Przecież powinien już tu być... -

pomyślała Zoja, z niepokojem spoglądając na stary zegar wiszący na ścianie. O ile nie chce na samym początku narazić się opatowi, ma dosłownie pięć minut...

- Przebywanie kogokolwiek poza celą po godzinie dwudziestej jest surowo zabronione - powiedział jej to sam Serge, a także zakonnica, która przed południem przyniosła wyprane ubrania poskładane w równiutką kosteczkę. Zoja od razu zamieniła wykrochmaloną koszulę nocną należącą do którejś z zakonnic na swoje rzeczy. Szczerze się zdziwiła, widząc, że siostrzom z pralni udało się wywabić plamy z krwi z jej bluzy, spodni i podkoszulka oraz sprawić, że wyglądały jak nowe.

Zupełnie jakbym wtedy nie miała ich na sobie - skwitowała Zoja w myślach. Poprawiając rękaw bluzy, poczuła, jak coś ściska ją za gardło. Tym czymś był żal i uderzająco prosta konkluzja; z ubrania można usunąć ślady krwi. Ale z głowy już nie. Niestety, wizja śmierci Pietra i tego, co stało się w apartamencie w Rzymie, nigdy już jej nie opuści. Tak samo jak to, czego dowiedziała się przed chwilą z akt, które odkryła w teczce...

Świnki morskie zaszywane w brzuchach.

Blitzableiter. Śmiercionośne szczepionki. Badania nad bronią biologiczną prowadzone w byłym klasztorze Nesselstedt pod Poznaniem.

Auschwitz. Miażdżenie i rozcinanie nóg.

Dachau. Topienie nastoletnich więźniów w lodowatej wodzie i sprawdzanie za pomocą termosond umieszczanych w odbycie i żołądku, ile czasu przeżyją...

Z przerażających wizji wyrwał Zoję odgłos wsuwania klucza do zamka. Serge otworzył drzwi i wślizgnął się do pokoju, szybko zatraskując je za sobą.

- Gdzieś ty był! - przywitała go ostro Zoja, szykując się w myślach do wygarnięcia mu, jak bardzo się denerwowała przez cały dzień. Na widok tego, w jakim był stanie, zamarła z przerażenia.

- Serge, co się stało?!

Nie odpowiedział. Nawet na nią nie spojrział. Podszedł tylko do łóżka i trzęsącą się ręką złapał plecak. Zrzuciwszy go na ramię, ruszył w kierunku drzwi.

- Co ty wyprawiasz? - spytała z przejęciem, obserwując każdy jego ruch. Dostrzegła świeże plamy krwi na jego szyi.

Poderwała się na równe nogi i podbiegła do niego.

- Jesteś ranny! - krzyknęła, dotykając palcami jego zakrwawionej szyi. - Co się stało? Gdzieś ty do cholery był

przez cały dzień, Serge, no mów, odezwij się! - próbowała naciskać.

- Odejdź - rozkazał Serge lodowatym tonem, odsuwając rękę Zoi.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?! - zdenerwowała się Zoja. - Odejdź? Czyli mam się odsunąć i pozwolić ci wyjść, bez słowa, ot tak, jakby to, że wyglądasz jak śmierć i masz na sobie krew nie miało żadnego znaczenia?

- Dokładnie tak - skwitował Serge i omijając Zoję, znalazł się tuż przy drzwiach.

- Dokładnie NIE!!! - wrzasnęła Zoja i wbiegła pomiędzy drzwi a Serge'a, łapiąc go za rękę i odrywając jego dłoń od

klamki. - Powiesz mi, co się stało. Musisz. I nie wyjdiesz stąd, dopóki nie będę wiedziała, czy możesz pójść sam. Drugi raz nie popełnię już tego błędu. Nie rozdzielimy się. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek zabrał mi ostatniego człowieka, na którego pomoc mogę liczyć...

- Zoja, ja wrócę - zapewnił ją Serge. - Zostań tu, to jedno, o co cię proszę. Ta noc może się okazać najtrudniejsza ze wszystkich, ale jeśli ktokolwiek ma ryzykować, tym razem to nie będziesz ty. Zaczekasz tu, a jeśli... - zrobił pauzę, jakby wahał się, czy powiedzieć to, o czym myśli - ...gdybym jednak nie wrócił, rano przyleci helikopter, ten sam, którym dostaliśmy się tu z Rzymu. Zabierze cię w bezpieczne miejsce.

- I już? To wszystko? Tak po prostu? - Zoja nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Oczy zaszkliły jej się od łez. Kiedy Serge odsunął jej rękę i nacisnął na klamkę, nawet nie protestowała. Patrzyła tylko, jak wychodzi. Nie mogła się ruszyć. Nie mogła zebrać myśli. Była w szoku.

Serge wsunął klucz do zamka i przekręcił. Po prostu zamknął ją w wieży, a ona nawet nie była w stanie zareagować. Nagle stała się więźniem. I co z tego? Przecież skoro Serge ma przed nią tajemnice, jeśli przestał jej ufać, wszystko traci sens...

- Błagam, Serge. Proszę, nie zostawiaj mnie tu, do cholery...

- zdołała wydusić z siebie ponad minutę później, kiedy na schodach umilkło echo jego kroków, a celę znów wypełniła straszliwa cisza.

Zrezygnowana dowlekkła się na łóżko i usiadła. Jak mogła pozwolić mu wyjść? Co się ze mną dzieje, do diabła... -

zastanawiała się Zoja, coraz bardziej zła na samą siebie. Kiedy po chwili usłyszała na schodach kroki, od razu poderwała się na równe nogi. Serge! Wraca po mnie!

Ale to nie był Serge.

Kroki były zbyt lekkie. Zbyt ciche. Ich echo brzmiało tak, jakby ktoś się skradał, co chwila przystając i nasłuchując, czy przypadkiem nie zostanie przyłapany. Zakonnica? Któryś z mnichów? Odpada, oni przecież są u siebie. Nie ma żadnego powodu, żeby o tej godzinie mieli w tajemnicy próbować wejść do odosobnionej celi, w której jest tylko ona...

Zoja złapała mosiężną lampkę ze stolika. Po drodze do drzwi wyjęła spod poduszki kawałek papierusa i ukryła go w kieszeni -

to jedyna cenna rzecz, jaką powinna zabrać ze sobą, na wypadek gdyby jakimś cudem udało jej się stąd wydostać. Najciszej jak umiała podeszła do drzwi. Słyszając, jak ktoś po drugiej stronie wsuwa klucz do zamka, przekręca go i cicho naciska na klamkę, podniosła wysoko lampkę. Zakonnica, która weszła do środka, nie zdążyła nawet krzyknąć. Zoja uderzyła ją podstawą lampy z taką siłą, że natychmiast upadła na ziemię.

- Będzie guz - skwitowała Zoja, bez choćby cienia wyrzutów sumienia. Złapała zakonnicę za ręce i odciągnęła ją w stronę łóżka. Zamierzała wyjść, zanim tamta się obudzi. Szybko podniosła leżący pod drzwiami klucz i wyszła na korytarz, czując, jak z euforii, że udało jej się wydostać z celi, aż kręci się jej w głowie. Zamknęła zakonnicę w środku i przypominając sobie słowa Serge'a, pognęła wąskim korytarzykiem w stronę schodów: „Ta noc może się okazać najtrudniejsza ze wszystkich, ale jeśli ktokolwiek ma ryzykować, tym razem to nie będziesz ty”.

- Może chcesz dla mnie jak najlepiej, Serge - wyszeptała Zoja, wrzucając klucz do kieszeni bluzy. - Ale tym razem nie zostawię cię samego.



EXORCIZAMUS TE!

Zbiegając po stromych schodach, Zoja czuła się, jakby siedziała w wagoniku rozpedzonej kolejki sunącej tuż nad krawędzią przepaści. Nie dość, że ze zmęczenia kręciło jej się w głowie, to jeszcze za każdym razem, kiedy próbowała pokonywać po dwa stopnie naraz, żołądek boleśnie podskakiwał jej do gardła.

W końcu dotarła na dół. Świeże powietrze dochodzące z drugiego końca korytarza pomogło jej odzyskać nieco sił. Nie pamiętała, którzy dokładnie wędrowali wczoraj późnym popołudniem prowadzeni do wieży przez wystraszonego opata, ale była pewna, że bez większego problemu zdoła odnaleźć drogę do wyjścia. Co prawda nie miała pojęcia, co zrobi potem, żeby wydostać się z klasztoru, ani jak odnajdzie Serge'a, ale nie miało to teraz większego znaczenia. Intuicja podpowiadała jej, że teraz najważniejsze jest jak najszybciej opuścić korytarz.

Tkwiąc w tym miejscu, pomiędzy znajdującymi się po obu stronach witrażowymi oknami, które przepuszczały do środka sporo światła księżyca, narażała się na to, że ktoś odkryje, że uciekła z celi. Za wszelką cenę chciała trzymać się z dala od mnichów, zakonnic, a zwłaszcza opata. Nawet jeśli

Serge nie nakazał im jej pilnować, mogliby nieopatrznie przeszkodzić jej w ucieczce. Na samą myśl o tym, że ktoś mógłby zmusić ją do powrotu na górę, Zoja przyspieszyła kroku. Szybko minęła korytarz, zostawiając za sobą tańczące cienie światła sączące się

przez witraże. Nagle zdała sobie sprawę, że im bardziej oddala się od wieży, tym bardziej atmosfera wokół staje się złowroga, jakby coś złego czaiło się w klasztorным powietrzu. Próbując ignorować narastający strach, dotarła do skrzyżowania korytarzy. Przystanęła, nie bardzo wiedząc, w którą stronę teraz.

Z obzadnej ze stron nie dobiegały żadne odgłosy, które mogłyby świadczyć o czyjejkolwiek obecności. Korytarz odchodzący na prawo zdawał się schodzić nieco w dół, a ten na lewo co prawda szedł prosto, ale całkiem niedaleko zdawał się załamywać i znowu skręcać w niewiadomym kierunku. Zoja postanowiła, że pójdzie kawałek korytarzem idącym nieco w dół, a w razie czego zawróci i zmieni kierunek. Droga wydawała się bezpieczna, a wyłożona kamieniami podłoga stabilna. Lekka wilgoć, którą dało się wyczuć w powietrzu, nie była na tyle uporczywa, by uznać ją za zły znak. Także to, że korytarz coraz bardziej schodzi w dół, mogło oznaczać, że niebawem pojawią się jakieś schody prowadzące w górę, do drzwi, którymi da się wyjść na teren ogrodu. Myśl o tym, że tak właśnie jest, zawładnęła Zoją do tego stopnia, że straciła rachubę czasu.

Sekundy zamieniły się w minuty, a ona wciąż podążała zwężającą się ścieżką, mając przed sobą coraz gęstsze ciemności. Zaczęło się robić coraz zimniej. W pewnej chwili zapach stęchłej wilgoci stał się tak silny, że Zoja musiała zasłonić nos rękawem bluzy. Przystanęła, chcąc zawrócić. W tej samej chwili usłyszała dochodzący z całkiem niedaleka huk, brzmący tak, jakby coś ciężkiego spadło na podłogę. Po chwili w korytarzu znów zapanowała cisza, ale nie trwała długo. Zoja otworzyła usta ze zdumienia, słysząc dobiegające z niedaleka strzępki głosów. Bez wątpienia korytarz, z którego jeszcze chwilę temu chciała zawrócić, prowadził do jakiegoś pomieszczenia. Ktokolwiek tam się znajdował, nie był sam.

Zoja drgnęła na myśl o tym, że może jedną z tych osób jest Serge. Natychmiast uznała, że musi to sprawdzić. Czując, jak z ekscytacji dzwoni jej w uszach, szybciej, niż się spodziewała, pokonała kilkanaście metrów dzielących ją od miejsca, z którego widać było tańczące na ścianach i podłodze słabe światło. Skradając się w cieniu ściany, pokonała jeszcze kilka

kroków, aż w końcu znalazła się na tyle blisko, że mogła zajrzeć do środka. W razie czego była gotowa do ucieczki. W myślach obliczyła, że na pokonanie drogi powrotnej biegiem będzie potrzebowała dwóch, może trzech minut. Pocieszyła się, że to nic w porównaniu z tym, że być może za chwilę zobaczy Serge'a i tajemnicę, jaką chciał przed nią ukryć, próbując zamknąć ją w celi.

Pomyliła się.

Pomieszczenie kształtem przypominało trójkąt, którego najwęższy bok stanowił łącznik z korytarzem, dzięki czemu Zoja mogła bez obaw zrobić jeszcze dwa kroki i wyjrzeć zza załomu ściany, nie musząc się obawiać, że ktokolwiek ją zauważy. Omiotła wzrokiem ascetyczne wnętrze pełne świec.

Okazało się, że jest to niewielka kaplica. Choć ołtarz znajdujący się na drugim końcu zasłaniały sylwetki dwóch postawnych mężczyzn w białych habitach. Po wystroju bocznych naw Zoja odgadła,

że

jest

to

typowa

kaplica

urządzona

w staroobrzędowym rytuale, niemal identyczna jak ta u stóp wzgórza Montségur, gdzie wychowywali ją mnisi. Ołtarz był już nakryty trzema obrusami, symbolizującymi trzy całuny, jakimi okryto ciało Jezusa po śmierci. Na samym jego środku, otoczone świecami, znajdowały się krzyż i tablice ołtarzowe. Wyglądało na to, że tamci dwaj, stojąc przodem do ołtarza, szykowali kaplicę do jakiegoś nabożeństwa. Zoja zastygła w przerażeniu, kiedy jeden z nich trzymając w dłoni zapaloną świecę, odszedł

na bok, odsłaniając coś jeszcze. Katafalk, ze stojącą na nim otwartą trumną, w której leżało ciało okryte białym kirem.

Wstrzymując oddech, odskoczyła w tył, uderzając plecami o ścianę. Zawirowało jej w głowie. Zdecydowanie potrzebowała chwili do namysłu. Nie miała pojęcia, co dzieje się w klasztorze, i poczuła złość na Serge'a, że w nic jej nie wtajemniczył.

Ostatni pogrzeb, na którym była, zapoczątkował cały ciąg tragicznych zdarzeń, których skutki za nic nie chcą się od niej odczepić. Tym razem było aż za wiele podobieństw i aż ją skręciło na myśl, że wydarzenia z Sobótki

Nowej mogą się znowu powtórzyć. Wypadek, odcięta dłoń znaleziona w torbie, pożar, makabryczna tajemnica mieszkania na Przemysławowej w Łodzi. Tak jak wtedy, znowu pojawiało się tysiąc pytań i żadnej odpowiedzi. Nie miała pojęcia, ani kim są tamci dwaj mężczyźni, ani czyje ciało znajduje się w trumnie. Przez kilka sekund miała pewne przypuszczenie, ale wydało jej się tak absurdalne, że z miejsca je odrzuciła. Dygocząc z nerwów i chłodu, znów zajrzała do kaplicy. Bez wątpienia trumna wciąż stała na swoim miejscu. Świece na ołtarzu były ustawione dokładnie tak jak chwilę temu. Zatem to nie przywidzenie, pomyślała, na wszelki wypadek jeszcze raz zamykając i otwierając oczy. I tym razem wszystko wyglądało identycznie, może poza tym, że jeden z mężczyzn podszedł do trumny i nachylając się nad ciałem, ostrożnie zsunął kir z twarzy zmarłego, po czym zdjął ze swojej głowy mnisi kaptur i nachyliwszy się, złożył na jego czole pocałunek.

Zoja nie wiedziała, co przeraziło ją bardziej. Nie dosyć, że rozpoznała twarz tego, który nachylał się nad trumną, to jeszcze jej przypuszczenia sprzed chwili okazały się słuszne. W trumnie leżało ciało Pietra Cippo, a ten, który odważył się odsunąć kir, to Tomaso, jego syn, jedyny, jaki został przy życiu. Drugiego

syna Pietra zamordowali naziści. To Tomaso pomógł im dostać się do apartamentu kardynała Angenera przy Piazza Navona w Rzymie. To on umówił spotkanie z człowiekiem, którego chwilę przed ich przybyciem zastrzelił młody nazista...

- Mój biedny ojciec... - wyszeptał Tomaso łamiącym się głosem.

Do oczu Zoi napłynęły łzy. Choć od pierwszej chwili go nie lubiła, mogła sobie wyobrazić, co teraz czuje. Ona też straciła ojca. Jego także zamordowali naziści. Nie wiedziała tylko, co było gorsze. Zostać zastrzelonym zniecka przez młodego nazistę czy przez matkę swojego dziecka, pośród szeleszczących traw porastających prowansalskie wzgórza. Miała coraz większą chęć wejść do środka i powiedzieć Tomasowi, że dokładnie wie, co on czuje, i że bardzo, bardzo mu współczuje, ale ta chęć szybko ustąpiła miejsca przerażeniu. Kiedy drugi mnich stojący dotąd w cieniu zsunął kaptur, odwracając się przodem do stojącego przy trumnie Tomasa, poczuła, że dzieje się coś strasznego. Natychmiast rozpoznała twarz znieawidzonego ojca Bruno, opata klasztoru w Montségur, mistrza Bractwa Chryzmonu, który przez tyle lat ukrywał przed nią prawdę. Sam jego widok zmroził jej krew do tego stopnia, że nie była w stanie się ruszyć. Ojciec Bruno powoli zaczął iść w stronę trumny. W pewnym momencie wysunął

dłoń ukrytą pod habitem, zaciskając w pięści coś, co wyglądało jak zwinięty gruby sznur.

- Znałem go wiele lat - odezwał się ojciec Bruno, podchodząc coraz bliżej niczego nieprzeczuwającego Tomasa. Trzymając w jednej ręce sznur, wysunął drugą, w której miał strzykawkę.

- Był dobrym człowiekiem. Poświęcił życie, żeby sprawiedliwości stało się zadość... - ciągnął Tomaso.

- O tak. - Pokiwał głową ojciec Bruno. - O tak, z całą pewnością... Był! - krzyknął, zarzucając pętlę na szyję Tomasa, który szarpiąc się, próbował oderwać węzeł od szyi. Był

całkowicie zaskoczony napaścią ze strony ojca Bruno. W parę sekund opadł na kolana. Jego twarz przybrała odcień alabastru.

Charczał, próbując coś powiedzieć. Ojciec Bruno nachylił się nad nim, a w świetle świec Zoja zobaczyła w jego drugiej dłoni strzykawkę.

- Twój ojciec był zdrajcą, tak samo jak ty! - wyszeptał mu do ucha ojciec Bruno, po czym wbił strzykawkę w jego szyję.

W sekundę Tomaso upadł na ziemię, a ojciec Bruno schował strzykawkę pod habit, zwinnym ruchem zdjął z jego szyi sznur i położył na podłodze, jakby miał zamiar jeszcze z niego skorzystać. Widząc, co się dzieje, Zoja uznała, że Tomaso albo jest martwy, albo nieprzytomny. Modliła się w duchu, żeby jednak to drugie. Oniemiała z przerażenia patrzyła, jak ojciec Bruno, czerwony na twarzy, klęka nad ciałem Tomasa, kładzie dłonie na jego czole i zaczyna wymawiać słowa jakiejś modlitwy.

- Exorcizamus te, omnis immundus spiritus...

„Egzorcyzmujemy cię, duchu nieczysty... w każdej postaci...”, przypomniała sobie Zoja. Zadrżała ze strachu na myśl, że zna dalszy ciąg.

- Hanc animam redintegro... - ciągnął ojciec Bruno, a Zoja bezgłośnie poruszała ustami, powtarzając za nim. Wiedziała, że za chwilę z jego gardła wypłynie stanowcze „Odejdź!”

i wstrząśnie murami kaplicy, wypełniając ją siłą łacińskiej modlitwy. Kiedy była mała, ojciec Bruno opowiadał jej, że w niektórych miejscach ludzie ciągle wierzą, że Szatan rozumie tylko łacinę. Stąd ważniejsze modlitwy, a zwłaszcza egzorcyzmy, muszą być odmawiane wyłącznie w tym języku.

- Lustra! - ryknął w tej samej chwili ojciec Bruno z takim przekonaniem,

że aż kilka świec stojących w nawach zgasło.

Zoja nie zamierzała dłużej czekać. Dość już zobaczyła i nie chciała dłużej być jedynie biernym obserwatorem. W głowie wirowały jej obrazy i słowa z ostatnich minut. Zwłaszcza jedno zdanie, które wypowiedział ojciec Bruno, nie dawało jej spokoju. „Twój ojciec był zdrajcą, tak samo jak ty”. Musiała powiedzieć o tym Serge’owi. I to jak najszybciej! Wiedząc, że każda sekunda jest na wagę złota, oderwała plecy od ściany i pognąła ciemnym korytarzem w kierunku, z którego przyszła.

Zaczynało brakować jej sił. Droga w dół była znacznie łatwiejsza - oceniła. Jej nogi były ciężkie jak z ołowiu, a buty zahaczały o każdy, niemal najmniejszy kamyczek wystający z podłogi. Choć starała się nie oglądać za siebie, zdawała sobie sprawę, że ojciec Bruno w każdej chwili może rzucić się za nią w pogoń. Jeśli ją dogoni, nie ma z nim szans. Jest bez jakiegokolwiek broni. Nikt nie wie, że tu jest. I nawet gdyby zaczęła wołać o pomoc, nikt by jej nie usłyszał.

Przerażona wizją porażki zmusiła zmęczone nogi do szybszego biegu. W amoku nie zauważyła sporego kamienia wystającego tuż przed nią z podłogi. Kiedy zorientowała się, co się dzieje, było już za późno. Niczym ustrzelony ptak z impetem poleciała w przód, lądując na twardym podłożu z głośnym plaśnięciem. Osłaniając głowę, uderzyła łokciem o ścianę.

Natychmiast poczuła ciepłą ciecz spływającą po ręce. Przytknęła palec do pulsującego bólem łokcia. Krew, niech to cholera! Co gorsza, kiedy upadała, z kieszeni wypadł jej klucz od celi. Cichy brzdęk w normalnej sytuacji byłby ledwie słyszalny, ale teraz, w tym przeklętym kamiennym korytarzu, w mgnieniu oka poniósł się głośnym echem, docierając aż do kaplicy.

Wyobraziła sobie, jak ojciec Bruno właśnie w tej sekundzie puszcza się w pogoń za intruzem i że za chwilę zjawi się tuż za jej plecami, przygważdżając jej ciało do podłogi, dokładnie tak, jak zrobił to z Tomaszem. Gwałtownie obejrzała się za siebie.

Nikogo nie było. Ale do jej uszu dotarł mrozący krew stłumiony krzyk, pełen wściekłości.

- Kto tam jest?! Ciemne moce, wzywam was, wyjdźcie z ukrycia!

Nie chcąc dać się łatwo złapać, Zoja wstała i znowu zaczęła biec przed siebie pośród ciemności. Była pewna, że do wyjścia musi być już niedaleko, czuła to po niknącym zapachu stęchłego powietrza i po tym, że dookoła robiło się coraz cieplej.

Kilkadziesiąt sekund później, widząc przed sobą nikłe światło, prawie

krzyknęła z radości.

Wybiegła na krużganek stanowiący łącznik między korytarzami. Jak wcześniej, skrzyżowanie korytarzy dawało dwie możliwości, nawet trzy, jeśli wziąć pod uwagę powrót na górę, do celi, w której pewnie zaczynała się budzić ogłuszona zakonnica. Po tym jak dopiero co wydostała się z korytarza odchodzącego w prawo, nie pozostawało jej nic innego, jak zebrać się w sobie, owinąć zraniony łokieć rękawem bluzy i ruszyć tym idącym w lewo, kilka metrów dalej niknącym za zakrętem. Tak też zrobiła. Zaczęła szybko iść, co chwila oglądając się za siebie, jakby ojciec Bruno w każdej chwili mógł

wyrosnąć spod ziemi i zarzucić pętlę na jej szyję. Skręciła w lewo, tak jak prowadził korytarz. Potem w prawo i znowu w lewo. Szła i szła, powoli tracąc nadzieję, że uda jej się w tym labiryncie korytarzy odnaleźć Serge'a. Po niespełna minucie marszu usłyszała przed sobą głosy. Chwilę potem dostrzegła w mglistym obłoku, wydobywającym się z kadzielnicy trzymanej przez mnicha kroczącego na przedzie, idących za nim sześciu zakonników, ubranych identycznie jak ojciec Bruno

i Tomaso. Szli w jej kierunku, cicho śpiewając żałobne pieśni, od których Zoi przebiegły po plecach ciarki.

Natychmiast zrozumiała, że musi się ukryć. Teraz.

Natychmiast. Wskoczyła pod niski parapet, uderzając głową o ścianę.

- Kur... - wymknęło się jej.

Wstrzymała oddech. Kroki i śpiewy były coraz głośniejsze.

Mnisi byli tuż tuż. Kiedy po chwili ją minęli, Zoja odetchnęła z ulgą.

Ostry zapach kadzideł wciąż unosił się w powietrzu.

Kaszląc, zaczęła się wyczołgiwać z kryjówki. Nogi jej zdrętwiały, łokieć krwawił, wszystko było nie tak.

- Nigdy w życiu nikt mnie tak nie zawiódł - usłyszała za plecami męski głos.

- Serge... - wyszeptała, próbując wstać. Zdrętwiałe nogi nie chciały się rozprostować. Podniosła się i czując skurcz w lewej łydce, zagryzła zęby z bólu.

- Dlaczego nigdy nie robisz tego, o co cię proszę? Czy tak trudno było zostać w celi i czekać, aż wrócę? - wściekał się Serge. - Rozmasuj tę łydkę - dodał, widząc, jak Zoja kuśtykając, próbuje oprzeć się o parapet.

- On jest nazistą... - wypaliła Zoja i faktycznie zaczęła masować nogę. Bolało jak cholera. Aż do wymiotów.

Serge zrobił zdziwioną minę.

- Kto?

- Nie wiem - wyjęczała. Skurcz zaczynał odpuszczać. Ale za to znowu rozbolała ją skaleczony łokieć. Rękaw bluzy był

obrzydliwie lepki od krwi. - To znaczy... Jeden z nich. Ojciec Bruno albo Tomaso. Widziałam, byłam tam, w kaplicy na dole... - Wzięła oddech, żeby się trochę uspokoić. - Podszedł do niego, kiedy Tomaso nachylał się nad trumną. Zaskoczył go.

Zarzucił mu na szyję pętlę, a potem wbił strzykawkę.

Powiedział o nim, że jest zdrajcą, tak samo jak jego ojciec.

Serge... zupełnie nie rozumiem... - Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

- Ja też nie - przyznał Serge. Widząc, że Zoja jest bliska płaczu, podszedł i chcąc pogłaskać ją po ramieniu, dotknął

lepkiej mazi, którą pokryty był rękaw. - Co się... No pokaż tę rękę...

Zoja wyszarpnęła ramię z uścisku Serge'a.

- To nic, zadrapanie - spróbowała go uspokoić.

- A właściwie to skąd wzięłaś drugi klucz od celi? Byłem pewien, że jest tylko jeden...

- Zakonnica... Przyszła po tym, jak mnie zostawiłeś. Weszła do celi. Uderzyłam ją i...

Nie zdążyła dokończyć, bo Serge gwałtownie się odwrócił i pobiegł korytarzem w kierunku, z którego kilka chwil temu przyszła Zoja.

- Zostań tu! - Przystając na kilka sekund, odwrócił głowę i zerknął na Zoję. W ciemnościach jego biały habit wyglądał jak mglisty kir. Tylko jego oczy, żywe, płonące, pełne siły, świadczyły o tym, że Serge to Serge, ten Serge, za którym skoczyłaby w ogień.

Nigdzie nie zostanę - pomyślała Zoja.

- Poczekaj na mnie! - krzyknęła i pobiegła za Serge'em ciemnym klasztornym korytarzem, próbując go dogonić.



GRÓB MICHAELA ENDE

Kaplica wyglądała identycznie jak wtedy, kiedy Zoja zaglądała do niej ukradkiem, przyklejona plecami do ściany korytarza. Tyle tylko, że nie było w niej ojca Bruno, Tomasa ani trumny z ciałem Pietra Cippo.

Serge stał w cieniu świec od dobrych dwóch minut. Zoja dopiero co wbiegła za nim do środka i kręciła się wokół ołtarza, przeklinając pod nosem.

- To niemożliwe, żeby tak po prostu zniknęli - oceniła, bezradnie rozglądając się po kaplicy.

Serge przysiadł na podłodze i złożył ręce, podpierając nimi czoło. Widać było, że potrzebuje czasu, żeby jakoś to wszystko przetrawić. W innych okolicznościach Zoja nie miałaby problemu z tym, żeby dać mu chwilę spokoju. Ale teraz czuła, że liczy się każda sekunda.

- Tu musi być jakieś wyjście. - Zaczęła opukiwać ściany, nasłuchując, czy któraś nie jest przypadkiem pusta i nie kryje za sobą tajemnego przejścia, zapewne niejedynego w całym klasztorze. - Usłyszała, jak wypadł mi klucz. To musiało go zaalarmować - dodała, zła na siebie.

- Przecież wszyscy wiedzieli, że trumna z ciałem Pietra znajduje się właśnie tu. - Serge nie podniósł nawet głowy. - To nie była żadna tajemnica.

Zoja posłała mu wściekłe spojrzenie.

- Nie wszyscy. Ja nie wiedziałam.

Serge zbył jej uwagę milczeniem. Po chwili odezwał się, mówiąc, że może faktycznie dziwne jest to, że tak szybko wyniesiono trumnę.

- Nie ma mowy, żeby mnisi zdołali tu dotrzeć, podnieść trumnę i wynieść ją na górę. Na którymś odcinku drogi musielibyśmy się spotkać - podsumował.

- No właśnie! - potwierdziła Zoja. - I pozostaje jeszcze kwestia ciała Tomasa. Nawet gdyby mnichom udało się wynieść trumnę, co ojciec Bruno z nim zrobił? Był nieprzytomny... albo martwy. Nie tak łatwo ukryć

bezwładne ciało.

Serge wstał.

- Chodź, idziemy. Nic tu po nas - rzucił, machnięciem ręki wskazując na ciemny korytarz.

- Nie ma mowy. - Zoja pokręciła głową. - A jeśli Tomaso gdzieś tu jest? Jeśli nieprzytomnego, rannego, wcisnął go w jakąś szparę, dziurę, może w korytarz, którego nie możemy znaleźć? Nie Serge, nie możemy tak łatwo odpuścić, nie tym razem. - Na potwierdzenie swoich słów Zoja złapała kandelabr stojący na podłodze za ołtarzem i raz jeszcze zaczęła opukiwać ściany. Serge chwilę temu szykował się do wyjścia, ale teraz stał, zaciskając pięści, wyraźnie nie mogąc podjąć żadnej decyzji. W końcu zdecydował. Idąc za przykładem Zoi, podszedł do ściany odchodzącej na lewo od korytarza i zaczął

przesuwać palcami wzdłuż kamiennych bloków, szukając zagłębienia albo uskoku, który mógłby wskazywać, że w tym miejscu znajduje się dźwignia albo mechanizm otwierający ukryte drzwi.

- Tutaj, mam! - krzyknęła Zoja, napierając plecami na ścianę w rogu. Znajdowała się dokładnie naprzeciwko Serge'a.

Podbiegł i pomógł jej pchać. Po chwili kamienne płyty drgnęły.

Do wnętrza kaplicy z sykiem wpadło odrobinę świeżego powietrza. Im mocniej pchali, tym wyraźniej widać było krótki korytarz i znajdujące się na końcu szerokie schody prowadzące w górę.

- A nie mówiłam? - rzuciła z satysfakcją Zoja. Pobiegnęła korytarzem pierwsza i zaraz przykucnęła, dotykając palcami kamiennej podłogi. - Krew, świeża. To tędy musiał wynieść Tomasa - oznajmiła.

W oczach Serge'a zapłonął blask.

- Czyli wszystko jasne - powiedział i wyprzedził Zoję, wbiegając na schody.

Niecałą minutę później stanęli ramie w ramie przy drewnianych drzwiach, pokrytych inkrustacjami w kształcie sześcioramiennych gwiazd, wśród których w centralnym miejscu znajdował się wyrzeźbiony krzyż templariuszy. Zoja złapała za klamkę i cofnęła rękę z zawiedzioną miną.

- Nie mamy klucza.

- Faktycznie - zgodził się z nią Serge. - Dlatego, niestety, musimy uszkodzić tak piękne, stare drzwi - rzucił i wyjął spod habitu niewielki pistolet. Wycelował w zamek. - Odsuń się -

rozkazał Zoi, pociągając ją za rękę, żeby schowała się za jego plecami.

Zaraz potem rozległ się huk wystrzału. Drzwi stanęły przed nimi otworem.

- Zaczekaj, zdejmę habit. Lepiej żeby na ulicy nikt mnie w nim nie widział - powiedział Serge. Zwinnym ruchem ściągnął mnisze ubranie przez głowę. Nie wiedząc, co z nim zrobić, zwinął w kłębek i rzucił na ziemię, po czym przestąpił

próg tajemniczego wyjścia jako pierwszy.

Kiedy wyszli na dwór, dostrzegli, że znajdują się za murami klasztoru. Brukowana ulica, pusta o tej godzinie, opatrzona znakiem, pod którym stali, była jednokierunkowa. Jedynie na chodniku po drugiej stronie stał zaparkowany niewielki

granatowy volkswagen polo. Patrząc w tamtym kierunku, Zoja zamarła ze strachu.

- Tam ktoś jest... - wyszeptała ze zdenerwowaniem, kiwnięciem głowy wskazując na zaparkowany samochód, za którym bez dwóch zdań ktoś próbował się schować.

Zanim Zoja zdążyła się zorientować, Serge wybiegł na ulicę i wyjął pistolet.

- Nie! Serge, nie idź tam! - spróbowała go ostrzec, zdając sobie sprawę, że to i tak na nic. Serge był już prawie na chodniku. Od samochodu i kogoś, kto ukrywał się za maską, dzieliło go najwyżej kilka kroków.

Niespodziewanie mężczyzna ukrywający się za samochodem wyskoczył z ukrycia. Widząc, że Serge trzyma broń, on także wyjął swoją. Pomimo odległości Zoi bez trudu udało się zobaczyć, że nieznajomy ma na sobie idealnie skrojony garnitur, a na głowie przełamany granatowy beret. To plus broń mogło świadczyć tylko o jednym - ten człowiek nie znalazł się tu przez przypadek. Tak samo jak oni.

Kim w takim razie jest? - zastanawiała się gorączkowo Zoja.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że ci, których wysłał za nimi kardynał, mogą być wszędzie, także tu, w Monachium. Do tej pory żaden z nich nie nosił podobnego nakrycia głowy, ale to jeszcze nie wystarczało, żeby mogła odetchnąć. Tym bardziej że Serge chyba właśnie się poddał.

Zoja przyglądała się z niedowierzaniem, jak podchodzi do samochodu, odkłada broń na maskę i podnosi ręce wysoko w górę.

- No pięknie... - wyszeptała pod nosem. Cokolwiek zrobił

Serge, musiała ufać, że wie po co. I zrobić to samo. Idiotycznie byłoby zginać na środku ulicy, nie wiedząc nawet, czy strzelał wróg czy przyjaciel.

Z tą myślą podniosła wysoko ręce, po czym ruszyła przez ulicę, żeby dołączyć do Serge'a. Starła się iść wolnym, ale zdecydowanym krokiem, tak żeby tamten mężczyzna wiedział, że się go nie boi.

Poddać się to nie znaczy przegrać - powtarzała w myślach Zoja, próbując dodać sobie otuchy.

Kiedy podeszła bliżej i tak jak Serge znalazła się na celowniku mężczyzny, do jej uszu zaczęły dobiegać strzępki ich rozmowy.

- ...Guardia Svizzera Pontificia... - mężczyzna ewidentnie starał się coś wytłumaczyć Serge'owi. W jego tonie głosu dała się wyczuć stanowczość, ale nie agresja. Mówił płynnie po angielsku, ale to nie Anglik. Ani Francuz. Niemiec też nie. Miał

silny, szwajcarski akcent, który rozpoznała dzięki temu, że już raz go słyszała; podczas fatalnej wizyty u bankiera Assendricha.

Przyglądając mu się z bliska, w świetle latarni, Zoja dostrzegła, że z całą pewnością nie pasuje do tamtych zbirów, których dotychczas spotykali. Nie, z całą pewnością to nie jest zły człowiek - oceniła.

- Tak, wiem. Tomaso Cippo jest synem Pietra, mojego bliskiego przyjaciela - odpowiedział Serge.

Mężczyzna zrobił zdziwioną minę i zaraz posmutniał.

- Ciało pana Cippo właśnie wyruszyło w ostatnią drogę - oznajmił ze smutkiem.

- Dokąd pojechali? - spytała Zoja. Czuła, że to ważne. Tam gdzie ciało Pietra, tam musi być także Tomaso. Ojciec Bruno na pewno zabrał go ze sobą. Żywego lub martwego.

- A ta kobieta? - zapytał mężczyzna, groźnie łypiąc na Zoję.

- Uratowałem ci życie, a teraz ty uratuj moje. Zabierz to, czego ci trzeba i odejdz... - odezwał się nagle Serge.

Zoja poczuła się kompletnie zbита z tropu. Znała te słowa. Już je słyszała.

W wyjątkowo

fatalnych

okolicznościach

wypowiedziała je do niej pewna Żydówka...

Mężczyzna przeniósł spojrzenie z Zoi na Serge'a.

- Uczynić tego nie mogę. Albowiem powiedziałem sobie: Zarówno

sprawiedliwego, jak i bezbożnego będzie sądził Bóg; na każdą bowiem sprawę i na każdy czyn jest czas wyznaczony - odpowiedział mężczyzna i opuścił broń. Napięcie, jakie panowało między nim a Serge'em, całkowicie opadło.

Zoja zrobiła wielkie oczy. No tak! Oczywiście! Jak mogła wcześniej nie domyślić się, że te zdania to nic innego jak tajemne hasło i odzew! Dla członków Bractwa Chryzmonu muszą być tym, czym dla pierwszych chrześcijan znak chryzmonu. Po raz pierwszy usłyszała podobnie brzmiące zdanie z ust nieznanego pod szpitalem w Łodzi, zaraz po tym, jak ktoś zastrzelił dwóch facetów z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, uniemożliwiając im aresztowanie jej za rzekomo popełnione morderstwa. Potem wypowiedziała je Gołda Nowak, którą odnalazła dzięki łutowi szczęścia w parszywym hotelu w Łodzi, kilkanaście godzin po wybuchu budynku, w którym znajdowało się mieszkanie jej babki Zofii.

- Eloi, Eloi, lama sabachtani... - wypaliła nagle Zoja. „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił”, pomyślała, że te słowa, usłyszane od nieznanego nocą na cmentarzu w Sobótce Nowej, też mogą być hasłem.

Pomyliła się.

Serge i mężczyzna przyglądali się jej ze zdziwionymi minami. Natychmiast zrozumiała, że żaden z nich nie odczytał z jej słów niczego, co miałyby jakiegokolwiek ukryte znaczenie.

- Myślałam, że to zdanie to także jakieś hasło - spróbowała się wytłumaczyć Zoja. - Usłyszałam je w noc przed pogrzebem, na cmentarzu w Sobótce Nowej.

- Nie wspominałaś o tym wcześniej - zdziwił się Serge, próbując ukryć dziwne zakłopotanie.

- Bo nie sądziłam, że to ważne - skwitowała Zoja.

Mężczyzna przysłuchujący się ich rozmowie zrobił zniecierpliwioną minę.

- Was tu w ogóle nie powinno być. To nie jest bezpieczna okolica, zwłaszcza w nocy. Zamknięty klasztor to co innego -

kiwnięciem głowy wskazał na wysoki mur za nimi. - Nie mam pojęcia, dlaczego wybiegliście stamtąd w takim pośpiechu, ale jeśli obydwójcie naprawdę znaleźcie Pietra Cippo, powinniście być teraz w lesie.

- Gdzie?! - zdziwiła się Zoja.

- W lesie. Ehm... Miałem na myśli leśny cmentarz -

powiedział mężczyzna. Wyglądał na lekko zaskoczonego tym, że Zoja nie wie nawet, gdzie odbywa się pogrzeb.

- A dlaczego pan nie jest na cmentarzu? - zapytał Serge.

- Dostałem rozkaz, żeby zostać pod murami klasztoru.

Zoi nagle zaświtała w głowie myśl, że ojciec Bruno wszystko przewidział i dokładnie zaplanował. Na wszelki wypadek zostawił pod ukrytym wyjściem z klasztoru kogoś, kto w razie czego zatrzyma ją i Serge'a...

- Serge, on to wszystko zaplanował... - zwróciła się do Serge'a.

Serge od razu zrozumiał, co Zoja ma na myśli.

- Tomaso Cippo prawdopodobnie został porwany - powiedział do mężczyzny Serge. - Taki sam los może spotkać ojca świętego, jeśli szybko nie dostaniemy się na cmentarz.

- Jak to ojciec święty? A co on ma do tego, co się tu dzieje?!

- Zoja zrobiła zdumioną minę.

- Ojciec święty? Porwany? - mężczyzna spojrzał na Serge'a z miną, jakby usłyszał, że nad Monachium właśnie przeleciał meteoryt.

- Tak, właśnie tak - potwierdził Serge. - Nie mamy ani chwili do stracenia. Proszę mi dać kluczyki od samochodu.

- Nie mogę - odpowiedział stanowczo mężczyzna. - Jestem gwardzistą. Nie mogę słuchać poleceń kogoś, kto nie jest moim dowódcą - oznajmił ostro.

- Czyli lepiej, żeby Tomaso zginął, tak? - zdenerwowała się Zoja.

- I papież - dodał Serge.

- Tak, właśnie, i papież też - przytaknęła Zoja, choć ciągle nie bardzo wiedziała, jaka jest jego rola w całej sprawie.

Serge zrobił krok w kierunku gwardzisty.

- Kluczyki... - powtórzył z naciskiem, wyciągając rękę.

Mężczyzna włożył rękę do kieszeni spodni, ale zaraz ją cofnął. Widać było, że toczy wewnętrzną walkę.

- Naprawdę nie mogę...

- Może pan! - wrzasnął Serge. - Rozkazy dowódcy może pan wykonywać w Watykanie! Tu chodzi o życie papieża i kamerlinga!

Zoja potwierdziła kiwnięciem głowy, patrząc w napięciu to na Serge'a, to na gwardzistę.

- Ale...

- Żadnego ale! Jest pan członkiem Bractwa, czy nie?!

- Jestem - odpowiedział niezbyt pewnie mężczyzna i w końcu dał Serge'owi kluczyki od samochodu.

W mgnieniu oka wsiedli do środka. Serge zajął miejsce kierowcy, Zoja na fotelu obok, a gwardzista z tyłu.

- Niech pan nie chowa broni! - rozkazał Serge, zerkając na gwardzistę w środkowym lusterku. - W każdej chwili może być panu potrzebna!

Zoja poczuła na plecach ciarki. Mężczyzna zamiast schować pistolet do kabury ukrytej na piersi pod marynarką, wyglądając niespokojnie przez szybę w drzwiach, położył ją na kolanach.

Silnik zawył, Serge wrzucił bieg i docisnął pedał gazu.

Volkswagen wyrwał do przodu z taką siłą, że Zoja musiała złapać za rączkę nad drzwiami, żeby nie polecieć na przednią szybę. Gwardzista poleciał do przodu i odbił się od oparcia jej fotela. W ostatniej chwili złapał pistolet.

- Pozabija nas pan! - krzyknął ze złością. - Poza tym broń jest odbezpieczona!

- Proszę jej pilnować. I rozglądać się, czy przypadkiem nie mamy towarzystwa... - odpowiedział Serge, zerkając w boczne lusterko.

Zoja także spojrzała w szybę po swojej stronie. Droga była pusta. Jeśli nawet - jak mówił Serge - ktoś będzie próbował przeszkodzić im w dostaniu się na cmentarz, na razie był jeszcze daleko. Serge powiedział „przepraszam, ale muszę” i skręcił kierownicę o dziewięćdziesiąt stopni. Rozległ się pisk opon.

Samochód wszedł w tak ostry zakręt, że koła cudem utrzymały się na jezdni. W parę sekund zostawili za sobą jednokierunkową uliczkę i znaleźli się na głównej drodze. Światła latarni ustawionych po obu stronach jezdni zlewały się w białe pasy, jakby mknęli przez Drogę Mleczną. Zoja przymknęła oczy.

Żołądek zaczynał jej podchodzić do gardła. Nigdy nie była fanką szybkiej jazdy. Po mieście czy nie, to nie było na jej nerwy. Poza tym Serge w zdenerwowaniu nie powinien był

siadać za kierownicą. Kiedy auto wyrwało na światłach, Zoja głośno przełknęła ślinę. Nie była już pewna, czy dobrze robią, gnając ponad sto na godzinę wyludnionymi ulicami Monachium w kierunku cmentarza, którego sama nazwa przyprawiała ją o gęsią skórę.

Kiedy kilka minut później Serge zaparkował na chodniku Fürstenrieder

Strasse, pod wysokim murem, zza którego wystawały wierzchołki gęsto rosnących drzew, Zoja wyskoczyła z samochodu z taką szybkością, jakby paliwo w zbiorniku miało lada moment eksplodować. Oddychając ciężko, oparła spocone ręce o ustawiony na chodniku kosz na śmieci. Czuła, że zbiera jej się na wymioty. Serge i gwardzista, który w trakcie jazdy przedstawił się jako Gerard, oficer Gwardii Szwajcarskiej, wciąż jeszcze byli zajęci rozmową. Siedzieli w aucie, żywo gestykulując. W końcu pierwszy wysiadł Serge. Zaraz potem także Gerard. On także wyglądał, jakby szaleńcza jazda niezbyt dobrze na niego wpłynęła.

Serge zostawił Gerarda z tyłu i podszedł do Zoi. Na wszelki wypadek trzymał w dłoni pistolet; wyglądał tak, jakby spodziewał się zagrożenia z każdej możliwej strony.

- No jak tam, chyba nie było aż tak źle? - rzucił, żeby ją pocieszyć, ale na nic się to zdało. Zoja była wściekła.

- Nigdy więcej nie wsiądę z tobą do samochodu! - warknęła w odpowiedzi, znów nachylając głowę nisko nad koszem.

Serge poklepał ją po plecach. Podszedł bliżej muru cmentarza i przystanął. Przez dłuższą chwilę nad czymś się zastanawiał.

Gerard podszedł do Zoi i podał jej paczkę chusteczek.

- Masz chorobę lokomocyjną - powiedział z troską w głosie.

Zoja podniosła głowę znad kosza i wyjęła jedną chusteczkę z paczki, po czym otarła nią usta.

- Nie mam - odpowiedziała, dysząc ciężko. Wciąż była blada.

Ale przynajmniej mdłości ustąpiły. - To przez tę cholerną jazdę pod prąd. Nerwy - wyjaśniła.

Serge odwrócił głowę w ich stronę.

- Gerard, którą bramą wjechał karawan i reszta samochodów?

- zapytał, wciąż przyglądając się badawczo wysokiej bramie otoczonej z dwóch stron posągami kamiennych lwów. Jego wzrok zatrzymał się na kamerze umieszczonej w lewym rogu, niezbyt dobrze ukrytej pośród gałęzi drzew.

Gerard podszedł do niego i też spojrział na kamerę.

- Myślisz, że nas teraz obserwują? - rzucił z obawą Serge.

Gerard pokręcił głową.

- Raczej nie. Poza mną papieżowi towarzyszy jeszcze trzech oficerów. Ta wizyta jest całkowicie nieoficjalna. Tajna, jak pewnie wiesz. - Zerknął na

Serge'a, jakby chciał wybadać jego reakcję. - Mają co innego na głowie, niż gapić się w monitoring.

A co do wjazdu... moim zdaniem to ta brama.

Razem podeszli bliżej zamkniętego na głucho wejścia. Zoja wyprostowała się, odetchnęła chłodnym, nocnym powietrzem i także spojrzała na bramę, a potem na kamerę. Jej zdaniem była włączona i ojciec Bruno na sto procent rozkazał komuś monitorować, co się dzieje. Mogłaby im o tym powiedzieć, ale rozprawiali właśnie o czymś, czego kompletnie nie rozumiała.

Przestała ich słuchać. Przypomniało jej się, co mówił Gerard w trakcie jazdy. Nie dawało jej to spokoju. Gdyby tydzień temu ktoś powiedział jej, że ojciec święty Jan XXIV będzie brał

udział w pogrzebie łowcy nazistów i razem z ojcem Bruno pod osłoną nocy będzie znajdował się na jakimś cmentarzu w Monachium, do tego w towarzystwie mnichów z Bractwa Chryzmonu, stworzonego przez Nauczyciela i Nauczycielkę dwa tysiące lat temu, którego - jak wyjawiał jej Serge podczas

jazdy - jest członkiem, chyba roześmiałyby się w głos. I jeszcze to, że Tomaso Cippo wcale nie jest zwykłym księdzem, członkiem watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary, ale najbliższym współpracownikiem papieża. I pomyśleć, że w tej chwili wcale nie było jej do śmiechu. Szczerze mówiąc, nie mogła nadziwić się, że tak łatwo przyszło jej przyjęcie tej informacji. Jeszcze trochę - pomyślała - a stanę się odporna jak skała. Jak apostoł Piotr albo, nie daj Boże, ten zdrajca Piotr, który udawał księdza, żeby doprowadzić ją w łapska kardynała Giovanni. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie o nim i tym, jak łatwo ją zmanipulował. Chcąc uciec od myśli o tym, gdzie może teraz być i ile by dała, żeby dane jej było go spotkać. Już ona wiedziałaby, co zrobić. „Oko za oko, ząb za ząb”. Bez wątpienia nie miałyby żadnych skrupułów, by wypróbować kodeks Hammurabiego. Z żądzą zemsty płonąca w oczach podeszła do Serge'a i Gerarda, którzy ciągle szukali sposobu, jak dostać się na cmentarz.

- No tak, słusznie - odparł Serge, wciąż pozostając przy temacie gwardzistów i kamery nad bramą. - Gdyby ktoś chciał

dostać się na teren cmentarza niezauważony, raczej nie stałby pod bramą, licząc na to, że ktoś ją otworzy...

Gerard szybko pozbawił Serge'a złudzeń, że ktokolwiek mógłby zechcieć ich wpuścić na teren cmentarza. Wyjaśnił, że owszem, podobno mieszka tu

stróż, ale zgodnie z rozkazami papieża i ojca Bruno ani jemu, ani żadnemu z pracowników pilnujących nocą rozległego terenu nie wolno otwierać bramy ani furty do czasu, aż któryś z nich nie wyda rozkazu. Mówiąc o tym, wyjął z kieszeni niewielkich rozmiarów nowoczesny radionadajnik, z którego zwisała biała nakładka do wsunięcia w ucho.

Zoja posłała mu zdziwione spojrzenie.

- Nie powinienes z niego skorzystać? No wiesz, żeby wiedzieć, co się tam dzieje, albo czy nie ma dla ciebie nowych rozkazów?

Gerard przytaknął i po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Owszem. Problem w tym, że wtedy oni słyszeliby każde moje słowo tak samo dobrze jak ja ich. Te urządzenia zapewniają stałą łączność. Nie można ich czasowo wyłączyć.

Można je jedynie zagłuszyć, ale nie zawsze się udaje.

- A twoje jest wyłączone? - Przestraszyła się Zoja.

- Bez obaw. - Gerard wskazał palcem na czerwone światełko przy przycisku na samej górze. - Gdyby działało, nie moglibyśmy tak tu sobie stać i rozprawiać o tym i owym. -

Puścił do niej oko, jakby chciał ją zapewnić, że jest po ich stronie.

Zoja uznała, że Gerard ma rację, ale tylko częściowo. Zatopiła się we własnych myślach. Z tego, co powiedział w samochodzie Serge, papież zna go bardzo dobrze, nie mniej niż ojciec Bruno.

Jego przybycie na cmentarz z lekkim spóźnieniem nie zostałoby więc odebrane jako coś groźnego. Skoro, jak mówił, obydwaj wiele razy korzystali z jego rad, tak samo jak z rad Pietra Cippo, to raczej jego nieobecność powinna bardziej ich zaniepokoić.

Podobnie jak to, że przy ojcu świętym nie ma jego kamerlinga, Tomasa Cippo, o którego funkcji w Watykanie Zoja dowiedziała się dopiero przed chwilą. Musiała przyznać, że i ta wiadomość nie wzbudziła w niej większego zdziwienia. Już w Rzymie, podczas pierwszego i jak dotąd jedyne go spotkania, w trakcie którego mieli okazję wymienić parę zdań, z tego, jak i co mówił, dało się wyczuć, że nie poszedł w ślady ojca, zamiast tego wybierając wspinaczkę na szczyty kościelnych stanowisk.

Nawet nie poszedł z nimi do apartamentu... nie zainteresował

się, czy coś im grozi... Może jednak nie jest wart mojego, naszego -

spojrzała na Serge'a i Gerarda - poświęcenia?

- Chyba wolałabym być teraz po drugiej stronie - wyszeptała, spoglądając na mur. - I wziąć udział w pogrzebie, zamiast szukać Tomasa - dodała, wcale nie licząc na to, że Serge albo Gerard odpowiedzą, że myślą podobnie. Ani jeden, ani drugi nawet nie zwrócił uwagi na to, co mówi. Byli zajęci.

Podekscytowani. I za wszelką cenę obydwaj próbowali ukryć to, że boją się tego, co może się wydarzyć. Widziała to po ich minach, gestach, napiętych mięśniach, sposobie, w jaki na siebie patrzyli, co chwila rozglądając się dookoła. Czy interesuje ich to, że ona też się boi? Nie, chyba nie...

Zoja westchnęła. Jej wzrok znów powędrował wysoko ponad murem, jakby chciała przejrzeć ciemności i zobaczyć wśród nich jakiś znak. Nagle poza głębokim smutkiem poczuła jednak cień ulgi. W końcu Pietro nie został sam, w Rzymie, w apartamencie, kiedy przyjechali carabinieri i prokurator. Nie mogłaby znieść świadomości, że ciało jej przyjaciela, człowieka, który ryzykując życiem, pomógł jej zrozumieć tak wiele spraw z jej przeszłości, leży teraz w szpitalnej kostnicy obok trupów nieznanymi prostytutkami, bandytów, złodziei i bezdomnych.

Nawet jeśli ze względu na bliżej niewyjaśnione względy i tradycje bractwa, do którego Pietro de facto nie należał, ale które wspierał i które wspierało jego, trumna z jego ciałem za chwilę ma zostać złożona do grobu kogoś całkiem innego, i tym kimś jest wyjątkowy pisarz Michael Ende, o którym wspomniał

po drodze Serge. Ten znany pisarz był zagorzałym antyfaszystą i przyjacielem Bractwa Chryzmonu. A skoro tak, to jest to jeden z lepszych scenariuszy, jakie można było sobie wyobrazić.

Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że przez całą Europę ścigają ich naziści wysłani przez kardynała Giovanni, a ojciec Bruno rozgrywa jakąś brudną grę, w której od początku wykorzystuje ich jak pionki na szachownicy...

- Zoja, słyszysz, co mówię?

Poczuła szarpnięcie za ramię. Serge i Gerard stali, wpatrując się w nią z wyczekującymi minami.

- Co... - Rozejrzała się nieprzytomnie. - Co mówiłeś?

- Pytałem, czy dasz radę się wspiąć i przeskoczyć przez mur... -

Kiwnięciem głowy wskazał na fragment masywnej betonowej konstrukcji znajdujący się kilka metrów od nich.

Zoja odwróciła głowę w lewo, w świetle latarni starając się racjonalnie ocenić, jak wysoko znajduje się szczyt muru.

Oceniła, że około trzy-cztery metry. Kilka dni temu pewnie od razu krzyknęłyby, że tak. Ale wtedy nie miała jeszcze wspomnienia fatalnego wspinania się po ociekającym deszczem gzymsie budynku hotelu w centrum Łodzi ani wyskakiwania przez okno mieszkania wprost do kontenera na śmieci. Wtedy nie miała pojęcia, czym grożą takie kaskaderskie wyczyny i że wcale nie muszą się opłacać. Dziś ma. I dlatego nie będzie ryzykowała.

- Raczej nie. Nie mam wprawy - odpowiedziała.

Serge zrobił zawiedzioną minę.

- No nie patrz tak - zdenerwowała się. - Nie i już!

Gerard zaczął się wspinać po drzewie. Masywny dąb, jeden z trzech rosnących po tej stronie muru, z powodzeniem zastępował mu drabinę. Cały problem w tym - pomyślała Zoja, obserwując z podziwem, jak zwinny jest ten młody gwardzista -

że po drugiej stronie raczej nie ma dębu o rozłożystych gałęziach. A to znaczy, że trzeba będzie skoczyć.

- Jest drzewo! Ma grube gałęzie! Da się zejść! - zawołał

Gerard, gdy już znalazł się na szczycie muru. Po chwili zniknął po drugiej stronie. O tym, że nie spadł z samego szczytu, świadczyło miarowe kołysanie się liści na wystających ponad murem gałęziach drzewa, po którym schodził.

- Teraz ty - powiedział Serge.

Zoja zrobiła krok w tył.

- Nie. Już powiedziałam. Nie ma mowy.

Serge posłał jej ostre spojrzenie. Odpowiedziała tym samym.

- Nie strasz mnie swoim groźnym wzrokiem. Jak chcesz, wspinaj się. Ja nie mam zamiaru ryzykować.

Zanim Serge zdążył otworzyć usta, żeby odpowiedzieć, brama za ich plecami zaskrzypiała. Wyglądało na to, że od lat nikt nie dbał o stan masywnych, spawanych zawiasów. Jak za sprawą niewidzialnej ręki jedno skrzydło zaczęło się powoli uchylać. Gerardowi w jakiś sposób udało się oszukać czujnik i bez pilota oraz dostępu do skrzynki z zasilaniem zdołał zapanować nad mechanizmem. Zoja szybko wykorzystwała okazję i prześlizgnęła się przez szczelinę. Zerknęła na posąg lwa stojącego tuż obok. Nagle wydał się jej ogromny i przerażający.

Wyglądał tak, jakby naprawdę pilnował wejścia, a w jego pustych,

wyłupionych ślepiach czaiła się przestroga...

Co za bzdury, to tylko wrażenie spotęgowane ciemnościami - skarciła się w myślach.

Znalazszy się po drugiej stronie, przystanęła obok Gerarda majstrującego przy skrzynce z zasilaniem. Nagle uświadomiła sobie, że choć sekundy mijają, a szczelina w bramie wciąż jest dość szeroka, by się przecisnąć, po Serge'u nie ma ani śladu.

- Serge, idziesz?! - zawołała. Słyszając echo własnego głosu, z niepokojem obejrzała się w stronę szerokiej alei ciągnącej się pośród gęsto rosnących drzew, między którymi wyrastały z ziemi nagrobne kamienie. Otaczająca ich śmiertelna cisza przeszła ją do szpiku kości. Liście, drzewa, krzewy, wszystko,

włącznie z powietrzem, jakby zastygło albo zostało wessane w próżnię.

- Czujesz to? - zwróciła się do Gerarda, który całą energię kierował na utrzymanie w styku dwóch kabli wyjętych ze skrzynki.

- Co? - odpowiedział.

- To coś w powietrzu. - Zoja wciągnęła powietrze nosem. -

Jakaś groza... - Przełknęła głośno ślinę.

Jak na złość Serge wciąż stał na zewnątrz. Podbiegła do bramy i wyjrzała przez uchylone skrzydło, zahaczając rękawem bluzy o wystający ostry fragment stalowego zamka. Materiał

rozdarł się, fragment zielonej bawełny z polarowym podszyciem zawisł tuż nad dziurką od klucza, zardzewiała od wieloletniego nieużywania.

- Szybciej! - ponaglił Gerard.

- Serge! - zawołała Zoja, czując, jak chłód przenika ją do szpiku kości, wywołując dreszcze. Nagle usłyszała, jak rozwarte skrzydło bramy zaczyna niebezpiecznie skrzypieć. Poczła lekkie drzenie pod stopami. Spojrzała w górę i zobaczyła światełko czujnika migające na czerwono.

- Niech to szlag! - przeklęła pod nosem.

- Nie dam rady dłużej utrzymać otwartej bramy! - oznajmił Gerard. Kable w jego rękach zaczęły niebezpiecznie iskrzyć.

Serge zachowywał się tak, jakby nie widział i nie słyszał Zoi ani Gerarda. Stał nieruchomo, wpatrując się w posągi lwów, na zmianę w ten stojący po lewej, a potem ten po prawej. W jego oczach Zoja dostrzegła przerażenie. Wyglądało na to, że i on poczuł to, co ona, kiedy mijała lwy, i jest tym do głębi przejęty.

- Są straszne, wiem. Ale przestań się na nie gapić i chodź! -

ponagliła go Zoja, cofając głowę w obawie, że przeszło bramy mogłoby zmiążyć jej czaszkę.

- Serge, do diabła!!! - wrzasnęła z wściekłością Zoja, patrząc, jak przeszła bramy zaczynają się zamykać.

Serge nagle oprzytomniał. W ostatniej chwili podbiegł i przecisnął się przez zamykające się prawe skrzydło.

- Słuchajcie... ja już wiem, wiem, o co chodzi! - odezwał się, dysząc ciężko. Oparł się plecami o mur i zaczął cytować z pamięci werset ze *Starego Testamentu*. - W owych czasach wystąpi Michał, wielki książę, który jest opiekunem dzieci twojego narodu. Wtedy nastąpi okres ucisku, jakiego nie było, odkąd narody powstały, aż do chwili obecnej. W tym czasie naród twój dostąpi zbawienia; ci wszyscy, którzy zapisani są w księdze. Wielu zaś, co posnęli w prochu ziemi, zbudzi się; jedni do wiecznego życia, drudzy ku hańbie, ku wiecznej odrazie. Mądrzy będą świecić jak blask sklepienia, a ci, którzy nauczyli wielu sprawiedliwości, jak gwiazdy przez wieki i na zawsze. Ty jednak, Danielu, ukryj słowa i zapieczętuj księgę aż do czasów ostatecznych. Wielu będzie dociekało, by pomnożyła się wiedza...

- Chryste, Serge, co to ma wspólnego z tym, co dzieje się na cmentarzu?! - dopytywała zniecierpliwiona Zoja.

- On cytuje Stary Testament. Księgę Daniela. Wersety o zmartwychwstaniu w czasach ostatecznych - wyjaśnił Gerard.

Zamknął skrzynkę i założył kłódkę. Jego ręce były czerwone i spuchnięte.

- Wiem - odparła Zoja i spojrzała na jego spuchnięte i zaczerwienione dłonie, które próbował ukryć za plecami. -

Trzeba to opatrzyć...

- To nic... - zbył ją.

- Daniel został wrzucony do jaskini lwów, po tym jak kłamliwie go oskarżono za okłamywanie króla Dariusza

w sprawach dotyczących królestwa - odezwał się nagle Serge, odrywając plecy od muru.

Gerard zrobił kilka kroków w jego stronę.

- Ma pan rację. A wszystko przez to, że Daniel odczytał proroctwo dla króla Baltazara, przepowiadając mu rychłą śmierć. O to chodzi? O symboliczną walkę Daniela z lwami?

- Chodzi ci o te posągi lwów przed wejściem na cmentarz? -

wtrąciła Zoja.

Serge zaprzeczył.

- Nie, to znaczy, nie tylko. . . Chodzi mi o symbolikę wcześniejszych i późniejszych wydarzeń. O to, że ojciec Bruno wziął Pietra za proroka Daniela, a za króla Baltazara...

Gerard zrobił wielkie oczy. Zoja spoglądała to na niego, to na Serge'a, coraz bardziej przerażona.

- Mene, mene, tekel ufarsin... - wyszeptał Gerard w nieznanym języku.

- Co? - zapytała Zoja.

Serge przetłumaczył słowa Gerarda na angielski.

- Bóg obliczył twoje panowanie i ustalił jego kres. Zważono cię na wadze i okazałeś się zbyt lekki. Twoje królestwo uległo podziałowi, oddano je Medom i Persom... To właśnie przepowiednia, którą odczytał Daniel królowi Baltazarowi.

Okazałeś się zbyt lekki, twoje królestwo uległo podziałowi... - powtórzył, widząc, że Zoja ciągle nie rozumie. - Baltazar miał zginąć, bo Bóg uznał go za złego króla. Tamte wydarzenia, opisane w Księdze Daniela z prorocstwem i wizjami o bestiach włącznie, są dokładnym opisem czasów, które Daniel określił

jako ostateczne. To niejedyna księga Starego Testamentu, jaką od wieków posługuje się Bractwo Chryzmonu, chcąc właściwie odczytać przyszłe wydarzenia...

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy tu, bo ojciec Bruno źle odczytał prorocstwo? I w związku z tym ma zamiar zabić swojego przyjaciela, którego sam wcisnął na papieski tron?! -

Zoja aż zadrżała. Jeśli to, co mówili Serge i Gerard, było prawdą, to, co ojciec Bruno zrobił z Tomaszem w kaplicy, było zaledwie namiastką tego, co ma się stać. - Nie rozumiem, dlaczego papież? Dlaczego teraz? - dopytywała Zoja.

- To proste - odpowiedział Serge. - Ojciec Bruno chce ubiec kardynała Giovanni nazistów, bo jedno z nich uważa za wcielenie bestii. Sądzi, że jeśli sam zgładzi następcę świętego Piotra, zmieni bieg wydarzeń, zapobiegając zadaniu ciosu ostatecznego przez...

- Antychrysta - dokończyła Zoja, głośno przełykając ślinę.

Z tego wszystkiego poczuła, że aż zaczyna jej brakować tchu.

Gerard, który dosłownie chwilę wcześniej wyłączył się z rozmowy, by w

tym czasie zapoznać się z mapą cmentarza usytuowaną na dużej tablicy tuż przy głównej alei, nagle na nowo włączył się do rozmowy. Ton jego głosu zabrzmiał

złowieszczo.

- Tu jednak chyba jest jeszcze inne wejście... - przejechał palcem wzdłuż narysowanej linii muru.

Serge podszedł bliżej.

- Do cmentarza prowadzi jeszcze jedna brama, całkiem z drugiej strony - wyjaśnił Gerard, pokazując Serge'owi punkt na mapie.

- Cholera, faktycznie - potwierdził Serge, nie odrywając wzroku od mapy. Jego palec wskazujący powędrował

w kierunku fragmentu, znajdującego się nieco niżej. - Grób Michaela Ende znajduje się tu, a my, my jesteśmy... chyba tu. -

Przesunął palec na sam dół mapy, po czym spojrzał na Gerarda.

- Ty i ja mamy broń. Zoja nie ma. Dlatego zostanie tu i zaczeka, aż wrócimy.

Zoja zazgrzytała zębami. Znowu to samo - pomyślała.

- Chyba żartujesz! Nigdzie nie zostanę! - ostentacyjnie założyła ręce na piersi.

Twarcz Serge'a nagle poczerwieniała ze złości. Otworzył usta, jakby miał zamiar jej odpowiedzieć.

- Dajcie spokój - odezwał się Gerard. - Macie pomysł, gdzie może być ukryty Tomaso?

Serge wciąż nerwowo łypiąc na Zoję, wyjaśnił, że jego zdaniem są dwie możliwości. Albo w trumnie, razem z ciałem ojca, albo, o ile wciąż żyje, w którymś z samochodów.

- Czyli dobrze byłoby się upewnić. Uważam, że ktoś powinien pójść do drugiej bramy i się rozejrzeć - Zoja obstawała przy swoim. Nie miała zamiaru zostać tu i czekać. Choćby nie wiem co.

- Tak, to dobry pomysł - poparł ją Gerard.

Spojrzała na niego z wdzięcznością i ruszyła w kierunku alei.

- A ty dokąd?! - zdenerwował się Serge.

Zoja przystanęła i zgrzytając zębami, spojrzała na niego.

- No jak to?! Przecież wy macie co robić. Powiedziałam już, że nie zamierzam stać bezczynnie. Jak te lwy... - Kiwnęła głową w kierunku bramy.

- Zostaw te lwy. To zły znak... - odparł Serge.

Zoja zbyła jego słowa machnięciem ręki. Bardziej od złych znaków obawiała się ciszy panującej w lesie i ciemności.

- Ostatnio wszystkie znaki są dla nas złe. Jeden w tę czy we w tę... - Spojrzała z niepokojem w kierunku lasu i grobów wzdłuż alei. - Gdybym chociaż miała latarkę, byłoby mi łatwiej.

- Ale nie masz. Nie masz też broni. Dlatego nigdzie się nie ruszysz! - Serge uparcie próbował ją zatrzymać.

- A do tej pory miałam? Nie umiem nawet odbezpieczyć pistoletu...

- Tracimy czas... - odezwał się Gerard i posłał Serge'owi ponagląjące spojrzenie. - Jeśli na cmentarzu wydarzy się coś podobnego do tego, co stało się na dachu Bazyliki Świętego Piotra...

- A co takiego się tam stało?! - Zoja spojrzała na Gerarda.

- Nie teraz... - uciął Serge.

Widząc, jak rusza w jej kierunku, Zoja wystraszyła się, że spróbuje ją zatrzymać siłą. Tymczasem on wyjął z kieszeni i wcisnął jej do ręki niewielką kartkę złożoną na cztery i plik banknotów zwinięty w rulon.

- Gdyby coś mi się stało, uciekaj. Tu masz adres i nazwisko człowieka, który na nas czeka. To jedyna osoba, której możesz w tej chwili zaufać. Pomoże ci. I on jeden wie, co tak naprawdę stało się na dachu Bazyliki... - Wyciągnął rękę, jakby chciał ją pogłaskać po ramieniu, ale zaraz jednak ją cofnął, mówiąc jedynie, że Zoja ma na siebie uważać.

- Jasne - odpowiedziała, czując rosnącą w gardle gulę.

Poczuła, że jej ciało drętwieje ze strachu. Słowa Serge'a zabrzmiały jak pożegnanie. Zacisnęła kartkę i pieniądze w dłoni. Stojąc w cieniu drzew, patrzyła, jak Serge i Gerard znikają między grobami, zostawiając za sobą jedynie szelest liści. Teraz, kiedy została całkiem sama, otaczające ją ciemności i groby zaczęły ją przyprawiać o gęsią skórkę. I jeszcze te lwy za murem...

Schowała pieniądze do kieszeni w spodniach i rozłożyła świstek

zabazgrany

pismem

Serge'a. Mrużąc

oczy,

w ciemnościach próbowała odczytać treść. Na szczęście Serge zapisał wszystko dużymi literami.

- Dominic Dulli - odczytała na głos, starając się zapamiętać to i nazwę miejscowości, do której powinna dotrzeć, jeśli...

Nie, nic takiego się nie stanie - pomyślała, próbując odgonić wyobrażenia o tym, co złego może się stać. Mimo wszystko na samą myśl, że musiałyby skorzystać z tego kontaktu, poczuła, jak żołądek zaciska się jej w bolesnym skurczu.

Wzięła trzy głębokie wdechy. Wyprostowała plecy. Roztarła zmarznięte dłonie. Chwilę później ruszyła przed siebie, żwawym krokiem zagłębiając się w tonący w mroku las pełen grobów.



CMENTARZ WE MGLE

Ciszę na cmentarzu przerwał głośny huk. Kiedy później o tym rozmawiali, nie mogli dojść, czy najpierw padł strzał, czy jednak najpierw Zoja uderzyła zardzewiałym szpadlem w szybę luksusowego czarnego mercedesa, uruchamiając głośne wycie alarmu, które rozniosło się po lesie niczym alarm bombowy, jakiego nie słyszano tu od ponad siedemdziesięciu lat.

- Tomaso! - krzyknęła Zoja, widząc go wciśniętego w przestrzeń za oparciami foteli. Odrzuciła szpadel na ziemię i wsunawszy rękę przez wybitą szybę, nacisnęła na klamkę od środka. Szybko udało jej się otworzyć drzwi, ale wyciągnięcie zaklinowanego, skrępowanego taśmą Tomasa okazało się trudniejsze. Siłując się z materia, Zoja rozgryzła taśmę, która krępowała jego dłonie, i zerwała plaster szczelnie zakrywający mu usta. Tomaso zachłysnął się powietrzem.

- Żyjesz... - Ucieszyła się. - A już myśleliśmy, że leżysz martwy w trumnie, razem z ciałem ojca...

Tomaso otarł ślinę ściekającą mu z brody i wziął głęboki wdech. Zoja pomogła mu wydostać się z za głębień między fotelami. Chwilę później udało jej się wyciągnąć go z samochodu. Podtrzymując go, pomogła mu dojść między drzewa, daleko od wyjącego alarmu mercedesa. Tomaso usiadł na ziemi i zaczął się rozglądać, wodząc nieprzytomnym wzrokiem po lesie. Dopiero po dłuższej chwili zrelacjonował jej, co stało się w kaplicy.

- Byłam tam - wyznała Zoja, kiedy Tomaso skończył mówić.

Tomaso zrobił wielkie oczy.

- W kaplicy?

Zoja przytaknęła.

- Ojciec Bruno to szaleniec! - Tomaso pokręcił głową i poluzował koloratkę. Zoja zobaczyła na jego szyi czerwony ślad po sznurze.

- Wiem to lepiej niż ty - odparła. - Wychowywał mnie, kiedy byłam dzieckiem - zdobyła się na szczerść, czując, że Tomaso i tak nie zrozumie, jakie to dla niej trudne.

Tomaso nagle zbladł.

- O co chodzi? - wystraszyła się Zoja, wędrując za jego wzrokiem gdzieś w kierunku drzew przed nimi. Zaczęła się obawiać, że Tomaso widzi tam ojca Bruno albo ludzi kardynała Giovanni...

Tymczasem Tomaso zrobił minę, jakby miał się rozplakać, po czym opuścił głowę.

- Zostawiłem go... - wydukał chrapliwym głosem.

Zoja nic z tego nie rozumiała. Już miała zapytać, kogo właściwie ma na myśli, kiedy rozległ się odgłos kolejnego strzału. Alarm w mercedesie przestał wyc.

Tomaso przeczołgał się pod gęsty żywopłot odgradzający groby i padł na ziemię. Zakrył głowę rękoma i Zoja usłyszała, jak zaczyna się modlić.

- O święty Judo Tadeuszu, krewny Chrystusa Pana, wielki Apostole i Męczenniku, sławny cnotami i cudami, Ty jesteś potężnym Orędownikiem w przykrych położeniach i sprawach rozpaczliwych. Przychodzę do Ciebie z pokorą i ufnością i z głębi duszy wzywam Twojej przed Bogiem pomocy...

Trzeci wystrzał w ciągu zaledwie pięciu minut przeszył powietrze. Tym razem Zoja nie zamierzała dłużej czekać.

Złapała za szpadel i wyskoczyła spod drzewa.

- Zostań tu! - rozkazała Tomasowi, który wciąż leżał, zakrywając rękoma głowę. - Po co ja to mówię? - dodała pod nosem, pewna, że nawet gdyby siłą próbowała go wyciągnąć z kryjówki, nie ruszyłyby się na krok.

Przeskakując po nagrobkach, pobiegła w kierunku, skąd przed paroma sekundami dał się słyszeć huk strzału. Nie zdążyła pokonać więcej niż trzydziestu metrów, kiedy niedaleko przed nią, między drzewami pojawiły się sylwetki dwóch postaci, jednej w habicie, drugiej w normalnym stroju. Zmierzali w jej kierunku.

- Serge! Tutaj! - Zoja wyskoczyła zza gałęzi, przecinając im drogę. Ucieszyła się, widząc przyjaciela całego i żywego.

Człowieka, który szedł za nim, nie była w stanie rozpoznać. Ale nie miało to dla niej w tej chwili znaczenia.

- Zoja! - zawołał z radością Serge, lawirując pomiędzy nagrobkami, żeby wyjść Zoi naprzeciw.

- Znalazłam Tomasa - oznajmiła, kiedy Serge stanął z nią twarzą w twarz.

- Zamknął go w samochodzie, tak jak myśleliśmy.

- Żyje?

- Tak - potwierdziła Zoja. - Ukrył się w krzakach i wzywa na pomoc

świętego Jude... A co z Gerardem? I papieżem?

Nieznajomy, który stał dotąd kilka kroków za Serge'em, nagle podszedł bliżej. Pomarszczona ze starości dłoń o wypiełgnowanych paznokciach wychyłała spod habitu, palce dotknęły brzegu kaptura, by po chwili odsłonić siwą, lekko łysiejącą głowę i błyszczące, przenikliwie błękitne oczy.

Zoja spojrzała na nieznajomego. Czując się, jakby ktoś polał ją wrzątkiem, posłała Serge'owi pełne niedowierzania spojrzenie.

- Coś ty narobił?! - wyszeptała, co chwila zerkając na pooraną zmarszczkami, dostojną twarz Augustina Marii Bergoliego, papieża Jana XXIV.

- Nie mogłem go tam zostawić - wyjaśnił Serge tonem, jakby chodziło o coś, co stało się wczoraj, dzieje dziś i być może wydarzy jutro.

- A...ale jak? - zająknęła się Zoja, czując, że z nerwów zaschło jej w gardle.

- Normalnie. Gerard trochę mi w tym pomógł. Ustaliliśmy, że Augustin wróci do Watykanu w ciągu dziesięciu godzin.

Augustin?! - pomyślała Zoja. - Mój Boże, on naprawdę jest z papieżem na „ty”! Tym gorzej dla nas... skoro ojciec święty naprawdę jest jednym z członków Bractwa Chryzmonu, jesteśmy zgubieni...

- A JEŚLI NIE WRÓCI?! I jak dacie sobie radę z ojcem Bruno?! - wypaliła, z trudem opanowując rosnącą złość.

-

Ojciec
Bruno,
powiedzmy,
został
chwilowo

unieszkodliwiony - odpowiedział zdawkowo Serge. - Gerard uraczył go paralizatorem, po tym jak rzucił się na gwardzistów, próbujących otworzyć na mój rozkaz trumnę z ciałem Pietra.

O mój Boże - przeleciało Zoi przez myśl i poczuła ogromny żal, że nawet po śmierci Pietro nie może mieć spokoju.

- Musieliście otwierać tę trumnę?

- A jak miałem sprawdzić, czy w środku nie leży Tomaso? -

zachnął się Serge. - A jeśli chodzi o to, co się stanie, jeśli Augustin nie wróci na czas, to sprawa jest prosta. Gerard osobiście zgłosi odpowiednim

służbom, że go porwaliśmy.

- My?! - Zoja jęknęła. O ile w ciągu ostatnich dni była już ścigana za morderstwa, kradzieże i inne przestępstwa, których nie popełniła, o tyle wizja tego, że za kilka godzin stanie się współodpowiedzialna za porwanie papieża, wywoływała w niej jedną myśl. To koniec. Nie odzyska córki. Nie zdoła się uwolnić od przekleństwa historii swojej rodziny. Nagle poczuła, że to się nie uda. Nawet jeśli Augustin Maria Bergolio jest członkiem Bractwa Chryzmonu, nawet jeśli ma wpływowych znajomych, jeśli wie więcej niż ojciec Bruno, i tak to na nic. Bo cały świat wie, że jest papieżem. I wszyscy będą oczekiwali, że zwierzchnik Kościoła wróci tam, gdzie jego miejsce, cały i zdrowy. Jak można porwać ojca świętego? Kto, poza Sergem, miałby odwagę wpaść na taki pomysł?

Zoja załamała ręce. Powiedziała dokładnie to, co czuła. Że nie mogą tak ryzykować, tym bardziej że ojciec Bruno nie jest już po ich stronie.

- Serge, musisz odstawić papieża z powrotem pod opiekę gwardzistów - dodała na koniec.

- Nie ma mowy - odpowiedział Serge.

- I to zaraz - Zoja obstawała przy swoim.

- Pani Estero... - odezwał się nagle papież. Zoja drgnęła i wlepiała w niego wzrok. Estero? Jaka Estero?

- Bardzo dziękuję za pani troskę - kontynuował papież. -

Jednak sam będę decydował, z kim, kiedy i gdzie chcę przebywać. Nie potrzebuję do tego pani przyzwolenia.

- Dlaczego papież mówi do mnie Estero? - zapytała Serge'a, całkiem zbity z tropu.

Serge ostrożnie ominął grób i podszedł bliżej Zoi.

- Bo tak masz na imię. Estera. Estera Gismoil. A Augustin pamięta cię z czasów, kiedy byłaś małą dziewczynką. Nie wie, że dziś jesteś kimś innym. Że jesteś Zoją Pietrowną.

- Cały czas jestem tą samą osobą! Nie jestem żadną Esterą!

Nazywam się Zoja, Zoja i tak macie się do mnie zwracać -

powiedziała stanowczo, patrząc na Serge'a, bo na to, żeby spojrzeć na papieża, zabrakło jej odwagi. Jeśli ją zna, znał też jej babkę. I ojca. I matkę. Nie, nie chciała nawet o tym myśleć...

- Dobrze, pani Zoju - odezwał się papież. - Niech nas pani zaprowadzi do

Tomasa - poprosił, jednocześnie dając Serge'owi znak, że ma mu pomóc przejść wąską ścieżką między grobami.

Serge podszedł i wsparł go ramieniem. Ruszyli przed siebie, ostrożnie stawiając kroki. Serge jako przewodnik i papież, utykając na lewą nogę, o krok za nim.

- A jeśli zaczną nas gonić? Albo znów zaczną strzelać? - Zoja stała w miejscu. Wciąż jeszcze nie wierzyła, że ten szalony plan może się ziścić.

Serge nagle przystanął.

- Jacy niby oni?

- No gwardziści. Albo... ojciec Bruno - wyjaśniła Zoja.

- Żaden z nich nie strzelał - wyjaśnił zwięźle Serge.

- W takim razie kto?

- Ja - odpowiedział Serge.

- Ty?! - zdziwiła się Zoja.

- Mogłabyś dać już spokój? Lepiej poszukałabyś jakiejś latarki. Albo zapalonego znicza. Ciemno tu jak w grobie -

wysapał z wysiłkiem, cały czas podtrzymując na ramieniu papieża.

- To nic... zaraz przejdzie... - próbował uspokoić ich papież, udając, że biodro i noga wcale nie bolą go tak mocno.

Zoja ostrożnie spróbowała precyzyjnie się obok nich. Pobiegnęła między grobami, wypatrując światła. Udało jej się znaleźć tylko jeden znicz, i to ledwie się tłący.

- Prastara tradycja przechadzania się nocą po cmentarzu, w towarzystwie umarłych... - powiedział chwilę później Serge, prowadząc papieża. Zoja szła przed nimi, wytyczając drogę.

Gdzieś za nimi zaszeleściły liście na drzewie.

- Przestań mnie straszyć! - odburknęła Zoja, ostrożnie stawiając krok między pniem a nagrobkiem.

Minutę później dotarli do Tomasa. Na widok papieża poderwał się, otrzepał sutannę z piasku i trawy, po czym rzucił

się, żeby pomóc Serge'owi doprowadzić go do mercedesa.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł jechać nim? - Zoja kiwnięciem głowy wskazała na samochód.

- A masz lepszy pomysł?

Zoja wzruszyła ramionami. Faktycznie, mercedes z wybitą szybą w drzwiach pasażera był ich jedyną szansą na ucieczkę.

- Musimy się pospieszyć. Gerard obiecał, że zatrzyma wszystkich nie dłużej niż na dziesięć minut - oznajmił Serge.

Słyszając to, Zoja pobiegła otworzyć bramę. W tym czasie Tomaso i Serge pomogli papieżowi zająć miejsce na tylnym siedzeniu. Zaraz potem Serge usiadł za kierownicą i włączył

silnik. Tylko Tomaso został na zewnątrz. Kiedy Zoja podeszła i złapała za klamkę, nagle poczuła szarpnięcie za rękaw.

- Czego chcesz? - spytała, czując, że Tomaso próbuje ją odciągnąć od samochodu.

- Ty wiesz, na pewno wiesz... - ściszył głos do szeptu, pokazując palcem na Serge'a siedzącego za kierownicą mercedesa. - Dokąd on nas właściwie zabiera? Moim zdaniem należałoby zawiadomić służby. Papieżowi nie wolno podróżować bez obstawy...

Zoi w końcu udało się wyszarpnąć ramię. Cofnęła się i uderzyła plecami w szybę.

- Słuchaj no, kamerlingu - wysyczała z wściekłością. -

Jeszcze raz choć tkniesz mnie bez mojej zgody, a połamię ci palce - oświadczyła, po czym w mgnieniu oka odwróciła się do niego plecami i wsiadła do samochodu.

Tomaso stał jeszcze kilka sekund na zewnątrz, po czym także wsiadł do auta.

Serge włączył silnik.

- Będzie wiało - uprzedził, wskazując na wybitą szybę z tyłu.

- Trudno - odparł papież, przysłaniając głowę kapturem.

Zoja zerknęła w boczne lusterko. Ucieszyła się, widząc, że wybita szyba znajduje się po stronie, gdzie siedzi Tomaso.

Przewietrzysz się - pomyślała, uśmiechając się pod nosem.

Mercedes wyjechał z piskiem opon przez otwartą bramę

LeśnegoCmentarza wprost na ulicę Kriegerheimstasse. Zoja wciąż patrzyła w boczne lusterko. Na widok gęstej mgły, która nagle pojawiła się nie wiadomo skąd, spowijając pnie drzew i groby, poczuła na plecach ciarki.



OPERACJA W KL DACHAU

Pierwsze kilka minut jazdy poszło naprawdę dobrze.

Wyludnione uliczki i ulice Monachium, pełne niskich białych domów w charakterystycznym, staroniemieckim stylu rodem z Bawarii i szerokie chodniki z ciągnącymi się wzdłuż nich pozapalonymi latarniami działały kojąco na nerwy. Spokój nocy i brak spieszących się ludzi dawały cień nadziei na to, że wszystko na tym świecie da się jeszcze odbudować, oczyścić, tak samo jak Monachium prawie już oczyściło się ze wspomnień o Hitlerze.

- Kilka ulic stąd znajduje się dom, w którym mieszkała z rodziną Gudrun Burwitz, córka Himmlera - oznajmił nagle Serge, zniemacka przerywając ciszę w samochodzie. Uczucie spokoju przysło.

Zoja odwróciła głowę od okna. Z tyłu nie dochodziły żadne odgłosy. Widocznie papież i Tomaso śpią, oceniła, choć wątpiła, by ktokolwiek z nich po tym wszystkim mógł zmrużyć oko.

- Rodziców się nie wybiera - skwitowała.

- Rodziców nie. Ale to, czy jest się tak jak oni zagorzałym nazistą, już tak.

Zoja poczuła się dotknięta. Serge poruszył trudny dla niej temat. To samo można by powiedzieć o jej matce, Annie Braun, wnuczce Hitlera i Evy Braun. Dowiedziała się o tym zaledwie kilka dni temu. Obejrzała filmy i wysłuchała zeznań świadka.

Nie było mowy o żadnej pomyłce. Niestety.

- Ojciec nazywał Gudrun swoją laleczką. Tak bardzo była jego, że zaraz po wojnie zaangażowała się w budowanie podziemnej siatki przerzutowej dla zbiegłych zbrodniarzy, która działa do dziś. Poza tym jej troskliwe serce tak mocno drżało z trwogi o przyjaciół ojca, że zebrała znajomych i założyła stowarzyszenie „Cicha Pomoc dla Jeńców Wojennych i Internowanych”, w skrócie Stille Hilfe, które ukrywa przed wymiarem sprawiedliwości i finansuje życie byłych SS-manów.

Zanim ktokolwiek dobrał się im do tyłka, przez kilkadziesiąt lat pobierali darowizny i byli zarejestrowani jako organizacja pożytku publicznego.

- Skąd to wiesz? - spytała Zoja, całkowicie zszokowana opowieścią Serge'a.

- Od mojego ojca - wtrącił zniechęcony Tomaso. Wcale nie spał i teraz uznał, że został wywołany do tablicy. - Przez te bzdury stracił życie. Nie tylko on, bo i mój brat też. Obydwaj byli szaleńcami - dodał pełnym goryczy tonem.

Zoja poczuła, jak z wściekłości krew zaczyna się w niej gotować.

- Nie dziwię się, że ojciec Bruno nazwał cię zdrajcą - wypaliła.

Mercedes podskoczył na wybojach i wszyscy się rozbudzili.

- Słucham? - rzucił z oburzeniem Tomaso. Oderwał plecy od oparcia i wychylił się lekko, jakby nagle przybyło mu odwagi.

Zoja poczuła na sobie jego palące spojrzenie. Mimo to ani się nie odwróciła, ani nie odpowiedziała. W samochodzie zapadła niezręczna, pełna napięcia cisza, którą przerwał Tomaso, wyraźnie nie mając zamiaru odpuścić Zoi.

- Mój ojciec mówił, że masz cechy charakteru matki, ale aż do dziś nie sądziłem, że są aż tak widoczne. - Nabrał powietrznie świstem, jak smok szykujący się do wypuszczenia ognia. - Widzisz zdrajców wszędzie tam, gdzie nie ma lustra, w którym mogłabyś się przejrzeć.

Papież niespokojnie poruszył się na siedzeniu. Serge gwałtownie nacisnął na hamulec, powodując, że samochód z piskiem opon zatrzymał się na środku ulicy.

- Natychmiast przestańcie! - poprosił, choć ton jego głosu wskazywał, że to rozkaz.

Zoja uznała, że nie wytrzyma dłużej napięcia. Korzystając z tego, że samochód stał, a silnik warczał miarowo, otworzyła drzwi. Świeżego powietrza mieli w środku aż nadto, ale pragnęła postawić nogi na stabilnym gruncie, z dala od Tomasa.

- Nie - rzucił nagle Serge, w ostatniej chwili łapiąc Zoję za rękę. Zatrzymała się, stojąc już jedną nogą na ulicy.

- Proszę, nie wysiadaj. Nie teraz. Rozumiem, co czujesz, ale pamiętaj, że nie o nas tu chodzi, ale o tych, których mamy uratować. Nie jesteś jak twoja matka. Ona właśnie w tej chwili postawiłaby drugą nogę na ulicy i zatrasnęła za sobą drzwi. -

Na kilka sekund zacisnął palce na dłoni Zoi, po czym cofnął

rękę, dając jej wybór.

Zoja ukradkiem otarła z policzków łzy. Bez słowa cofnęła nogę, zatrzasnęła drzwi i wcisnęła się w siedzenie, wlepiając wzrok w ciemność za oknem. Mimo dziury w szybie powietrze zrobiło się aż gęste od emocji i niewypowiedzianych oskarżeń.

Jeszcze z tobą nie skończyłam, pomyślała Zoja, spoglądając spode łba w lusterko, w którym widziała czerwoną ze złości twarz Tomasa, gapiącego się w okno. Pierwszy raz w życiu pożałowała, że uratowała komuś życie. I pierwszy raz nabrała ochoty, by zatłuc kogoś na śmierć gołymi rękoma.

Minęli most, przecinając legendarną rzekę Izarę, i po kilku kilometrach wjechali na Hallbistrasse. Zoja drgnęła niespokojnie. Rozpoznała budynki wzdłuż ulicy. Bez wątpienia

to te same, które mijali, opuszczając w pośpiechu klasztor Archiconvent der Templer. Oderwała wzrok od szyby i spojrzała niepewnie na Serge'a.

- Czy tylko mnie się zdaje, że wracamy do klasztoru? -

Tomaso potwierdził głośno jej obawy. Już chciała coś odburknąć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Serge milczał. Kiedy skręcił w Birkenleiten, nie musiał już nic mówić. Przed nimi, niczym widmo, wyrosły klasztorne wieże, w tym jedna wychodząca z dachu kościoła otoczonego murem.

- Dobra decyzja! - ucieszył się Tomaso. Nie czekając, aż Serge wyłączy silnik, otworzył drzwi.

- Nie wracamy do klasztoru - oznajmił Serge.

- Nie? - rzucił Tomaso wyraźnie zawiedziony i cofnął nogę znad chodnika.

- Widzicie tamten samochód? - Wskazał palcem na tylny zderzak czarnego land rovera, zaparkowanego kilkanaście metrów przed ich samochodem. Oczy Zoi, Tomasa i papieża zwróciły się w tamtą stronę. - To nim pojedziemy dalej.

- Dalej? Czyli dokąd? - dopytywał Tomaso, co chwila spoglądając na papieża, jakby oczekiwał po nim stanowczej reakcji. Ta jednak nie nastąpiła.

- Dowiedcie się w swoim czasie. A teraz czas na nas - Serge położył pilota od mercedesa na siedzeniu, wysiadł i ruszył w kierunku land rovera.

Czterdzieści minut później podświetlone na żółto cyfry zegara umieszczonego nad tablicą rozdzielczą wybiły pierwszą w nocy.

Miarowe kołysanie jadącego samochodu uśpiło papieża i Tomasa,

których głowy drgały, lekko opierając się o szyby na dwóch przeciwległych krańcach. Zerkając co chwila do tyłu, Zoja nie mogła się nadziwić, jak udało im się zasnąć. Ona wciąż

czuła się pobudzona, wręcz naelektryzowana, jakby ktoś podłączył ją do akumulatora. Odkąd przesiedli się z mercedesa do land rovera i opuścili Monachium, kierując się na północ, dławiący lęk zacisnął jej gardło, ani na sekundę nie dając o sobie zapomnieć. Baczenie obserwowała drogę przed nimi. Do tej pory nazwy mijanych wsi i miasteczek nic jej nie mówiły. Aż do chwili, kiedy zobaczyła przy drodze tablicę z napisem DACHAU.

Kiedy minęli znak, Zoję naszło przecucie, że to zbyt oczywisty scenariusz jak na Serge'a. Jeśli faktycznie ma zamiar wykorzystać czas, jaki im został, na - jak to określił - szczerą rozmowę, to dawny obóz koncentracyjny Dachau, o którym dopiero co czytała w aktach znalezionych w jego plecaku, wydał

się jej najgorszym z możliwych miejsc. Instynktownie odrzuciła taką możliwość. Dałaby sobie uciąć palec za to, że Dachau to jedynie punkt na ich trasie, niemający nic wspólnego z tym, dokąd Serge chce ich zabrać.

Nie pomyliła się.

Cztery kilometry dalej Serge zjechał z betonowej ulicy na ubitą drogę pośród drzew, a potem na przełaj przez kawałek zagajnika, aż pod mur zakończony drutem kolczastym.

Wyłączył silnik. Z zewnątrz dobiegały szmery wiatru. Chmury płynące szybko po nocnym niebie to zasłaniały, to odsłaniały rogalik księżyca.

Papież otworzył oczy. Z jego zaspanej twarzy bił spokój.

W przeciwieństwie do niego Tomaso zaczął się nerwowo kręcić na siedzeniu i zaraz potem ziewając szeroko, otworzył drzwi, chcąc wysiadać.

- Zostań w samochodzie - rozkazał mu Serge, oglądając się do tyłu.

- Jak to - wzburzył się Tomaso. - Ja muszę do toalety. -

Skinieniem głowy wskazał na drzewa.

Kiedy wysiadł, Serge zwrócił się do Zoi.

- Posłuchaj, to jest ta chwila, kiedy muszę zrobić coś, o co będziesz na mnie bardzo, bardzo zła. Wyjdzie na jaw pewna tajemnica. Ale najpierw będziesz musiała znieść trochę bólu.

Zoja zrobiła wielkie oczy. Zanim zdążyła zapytać, co właściwie ma zamiar zrobić Serge, on energicznie wysiadł

i zajrzał przez uchylone drzwi, prosząc, żeby poszła za nim.

Nacisnął przycisk pod kierownicą. Z tyłu samochodu coś zapikało. Kłapa bagażnika z wolna zaczęła się podnosić. We wnętrzu land rovera zapachniało rześkim powietrzem. Tomaso wrócił i szcękając zębami, rozejrzał się ze zdziwieniem.

- Co się dzieje? - spytał, zaglądając przez ramię do tyłu.

Zoja wysiadła i obesła samochód, próbując rozprostować kości. Kątem oka dostrzegła Serge'a, rozkładającego na podłodze bagażnika metalowe przedmioty, z nożyczkami włącznie,

butelkę

spirytusu

i opakowanie

z jałowymi

opatrunkami. Zoja wystraszyła się, że jest ranny i potrzebuje pomocy, ale zaraz zrozumiała, że nie chodzi o niego, tylko o nią.

- Usiądź tu, plecami do mnie, o tak - wyjaśnił. Zoja posłusznie wykonywała polecenia, czując, że cokolwiek ma się stać, musi się stać jak najszybciej.

Łapiąc za nożyczki, Serge poprosił, żeby rozpuściła włosy.

- I zsuń bluzę z ramion - dodał stanowczo.

Kiedy długie, czarne kosmyki Zoi opadły na ramiona, Serge wsunął palce w jej włosy i zaczął delikatnie przesuwać, uciskając skórę miejsce przy miejscu.

- Sądziś, że ma wszy? - rzucił Tomaso, cały czas obserwując, co robi Serge. Tylko papież cały czas milczał i siedział wpatrzony w mur po lewej stronie.

Po około minucie palce Serge'a zastygły, zatrzymując się na czaszce Zoi na wysokości potylicy, trzy centymetry nad szyją, z prawej strony.

- Często bolała cię głowa, prawda?

Zoja przytaknęła.

- I ostatnio w chwilach stresu traciłaś przytomność... - dodał, odgarniając włosy i łapiąc nożyczkami pierwszy kosmyk, który po cichym „ciach” spadł na ziemię.

- Tak było - potwierdziła Zoja cichym głosem. Serce waliło jej jak szalone.

Serge wyciął jej włosy i jednorazową golarką odsłonił

niewielki fragment skóry. Wyjął z opakowania gazę i nalał na nią sporo

spirytusu, po czym przyłożył do odsłoniętego miejsca na głowie Zoi, mocno pocierając.

- Zoja, to naprawdę będzie bolało. Mimo to proszę, spróbuj nie poruszać głową. Znieczulę skórę miejscowo lidokainą, ale obawiam się, że niewiele to pomoże. - Wyjął z niewielkiego stalowego pudełka skalpel chirurgiczny i także polał go spirytusem. Założył rękawiczki. Jeszcze raz ucisnął miejsce na czaszce, chcąc się upewnić, że wyczuwa pod palcami zgrubienie.

Tomaso zasłonił oczy rękoma.

- Będę rzygał - wyjęczał. - Jezu, jeśli to zrobisz, naprawdę zwymiotuję...
- jego głos brzmiał jak pisk.

Serge wziął do ręki puszkę z napisem „Lidocain” i odsunął zamknięcie.

- Gotowa? - zapytał. W jego głosie pobrzmiwał lekki strach.

Zoja przytaknęła. Z całej siły zacisnęła palce na bocznej listwie w ścianie auta. Zagryzła zęby. Przymknęła oczy. Wcale nie była gotowa, ale wiedziała, że odwlekanie niczego jej nie da.

Zaczęła się domyślać, czemu ma służyć ta operacja polowa. I aż ją skręcało z wściekłości, że tyle lat to przed nią ukrywano.

Lidokaina w spreju zadziałała, ale tylko na chwilę. Zoja poczuła lekkie ukłucie, a zaraz potem tępy, nieznośny ból rozchodzący się od podstawy czaszki po całej głowie. Najgorsze dopiero nadchodziło, bo kiedy Serge rozciął skórę, rozsunął ją lekko i zaczął grzebać palcami, jakby chciał wydłubać pestkę.

- AAAAAAAAAŁAAAAA! - wrzasnęła Zoja, czując, że już dłużej nie zniesie bólu.

Z przodu auta dobiegł odgłos otwierania drzwi i zaraz potem głos Tomasa.

- Mówiłem, że będę wymiotował! - oznajmił z wyrzutem i wystawiwszy głowę, puścił pawia.

- O Boże, o mateńko, nie wytrzymam... - marudził, kuląc się na siedzeniu.

- Mam! - oznajmił nagle Serge. Na dowód podniósł wysoko dłoń, w palcach trzymając niewielki, pokryty krwią i fragmentami tkanki mikronadajnik.

Zoja oparła głowę o szybę. Dygotała z bólu, czując ciepło cieczy spływającej jej po szyi i karku. Domyśliła się, że to jej własna krew.

- Nie wiem, czy trzeba szyć... - zastanawiał się Serge, nachylając się nad Zoją i przyglądając się centymetrowemu rozcięciu, z którego sączyła się krew.

Znienacka z samochodu wysiadł papież. Podszedł do Serge'a, każąc mu się odsunąć.

- W Argentynie byłem kapelanem wojskowym. Pomagałem w szpitalu - wyjaśnił. - Przysuń latarkę, Serge!

W ostrym świetle rana wcale nie wyglądała źle. Papież odetchnął z ulgą. Serge też.

- E tam, nie trzeba szyć. - Machnął ręką. - Do wesela się zagoi. Dzielna z pani dziewczyna - rzucił pocieszająco i poklepał Zoję po ramieniu, po czym wrócił do samochodu.

- Chodź, pomogę ci wsiąść do auta - zaproponował Zoi Serge. Zdziwił się i wystraszył, widząc, że próbuje go odepchnąć. Starając się nie ruszać głową, która potwornie ją bolała, wyciągnęła rękę, jakby chciała, żeby Serge coś jej dał.

Coś, co było przez lata częścią jej ciała.

- Pokaż mi - wyszeptała drżącym głosem.

Serge podniósł kawałek gazy z mikronadajnikiem i ostrożnie wsunął Zoi w dłoń.

- To nowoczesne urządzenie, bardzo sprytne, do tego bardzo dokładne - wyjaśnił. - Mikronadajnik, który przesyła sygnał, lokalizując co do metra, tak długo, jak długo żyjesz i układ nerwowy wysyła odpowiednie impulsy.

- Czyli jest niezniszczalny?

- Eee, aż tak to nie. Z tego, co wiem, można go skutecznie...

unieszkodliwić - odpowiedział Serge, uśmiechając się pod nosem, jakby odgadł, co chodzi Zoi po głowie.

Zoja oddała mu gazę z mikrodyskiem.

- Weź to i zniszcz. Dobrze zrobiłeś, że wybrałeś to miejsce.

Serge pomógł Zoi dojść do samochodu, usadził ją na fotelu i odsunął go w tył, żeby mogła wyprostować nogi. Tym razem Tomaso nie zaprotestował ani słowem. Serge podłożył jej pod głowę specjalną poduszkę lotniczą, żeby usztywnić szyję, nie uciskając zakrytej sączkiem i opatrunkiem rany. Zaraz potem zniknął na dobre kilka minut.

- Już? - spytała Zoja, kiedy Serge wrócił.

- Już - odpowiedział.

- Jak długo nosiłam to w głowie?

- No... - Zastanowił się. - Ten mikronadajnik masz od jakichś dwóch lat. Zoja nie mogła uwierzyć. Ten? Czyli wcześniej były jakieś inne? Wolała nawet nie myśleć, jak bardzo ją inwigilowali.

Czyżby Bractwo Chryzmonu obserwowało każdy jej krok?

- Wymieniliśmy go po twoim wypadku na nartach.

Pamiętasz? Rozcięty łuk brwiowy, podejrzenie wstrząśnienia mózgu...

- Jakiś idiota na desce snowboardowej wpakował się na mnie na stoku...

- Biedny chłopak. - Serge zrobił strapioną minę, choć wcale nie wyglądało na to, żeby był naprawdę przejęty. - Bardzo się zmartwił. Chciał nawet odwiedzić cię potem w szpitalu.

Z tyłu samochodu dobiegł cichy rechot Tomasa. Papież szturchnął go w ramię, dając mu znak, żeby siedział cicho.

- Przecież to jest jakaś farsa! Jak mogliście sfigować wypadek, ryzykując moje życie, życie tego chłopaka, innych ludzi na stoku... - Zoja pokręciła głową z niedowierzaniem. -

A te wcześniejsze mikronadajniki?

- Byłaś pod stałym namiarem od dnia, w którym zginął twój ojciec... - Serge na moment zawiesił głos. - Mikronadajniki zmieniano co dwa, trzy lata. Nie pytaj o okoliczności, bo i tak niczego to nie zmieni. Sygnał wysyłany z twojej głowy szedł

zaszyfrowanym kanałem przez satelitę, o każdej porze dnia i nocy mogliśmy go odczytać tylko ja i ojciec Bruno, no i może jeszcze kilku chłopaków z DIA.

- DIA?! - zdziwiła się Zoja. Pierwsz raz słyszała o podobnej instytucji.

- Amerykański Wywiad Wojskowy. Żartuję - sprostował szybko Serge, chichocząc pod nosem.

Ni stąd, ni zowąd Tomaso oznajmił nagle, że jest głodny.

- W bagażniku jest torba. Czarna, duża, taka jak na mrożonki.

Odwróć się i ją wyjmij.

Zoja zadrżała. Przypomniała jej się turystyczna lodówka, z którą razem z Piotrem wędrowali po Łodzi i którą w końcu porzucili w laboratorium w Muzeum Narodowym w dniu, kiedy poznała Serge'a. I foliowa torba leżąca na tylnym siedzeniu BMW, od której wszystko się zaczęło.

Tomaso wyjął z bagażnika i podał Serge'owi torbę. Była duża i ciężka.

Wszystko wskazywało na to, że Serge zabezpieczył im prowiant na co najmniej kilka dni.

- Kanapki z szynką, serem, bekonem. Zakonnice z klasztoru naprawdę nieźle się spisały. - Ucieszył się Serge, grzebiąc w torbie. - No, gdzie jesteś, przecież musisz tu być. O, jest! -

krzyknął w końcu, wyjmując z samego dna czarną puszkę z białym napisem. Wcisnął ją Zoi do ręki, mówiąc, że w razie czego jest tego więcej.

- Zrobiłem zapas - oznajmił, nie kryjąc zadowolenia. -

Zamiast faszerować cię lekami przeciwbólowymi, wybrałem to.

Jack daniel's z coca colą. Idealne proporcje. Wyśmienity smak.

Na zdrowie! - dodał na koniec i wyjął z ręki Zoi puszkę, żeby ją otworzyć, po czym znów jej oddał. Samochód wypełnił zapach przetrawionej whisky.

Odkąd wyjął mi z głowy ten nadajnik, stał się o wiele mniej spięty - oceniła Zoja, przyglądając się Serge'owi spod przymrużonych z bólu oczu. Wzięła łyk. Potem kolejny.

I jeszcze jeden. Serge odpalił silnik. Koła land rovera zaczęły powoli toczyć się po kamieniach. Gałęzie drzew ocierały się o szyby, gnąc się i zostawiając na szkle smugi z kropel rosy.

Mur, za którym unosiły się duchy przeszłości, został daleko, daleko w tyle.

Dochodziła czwarta nad ranem, kiedy Serge oznajmił, że teraz może im zdradzić, dokąd jadą.

- Za niecałe cztery godziny będziemy w malowniczym miasteczku Monschau na granicy z Belgią - wyjął, czekając na pytania. Te jednak wcale nie padły.

Po wypiciu drugiej puszkę whisky z colą Zoja poczuła, jak jej powieki robią się ciężkie jak z ołowiu. Ból głowy zmalał do lekkiego ćmienia. Była tak senna, że nie dosłyszała, co mówi Serge. Z tyłu samochodu dochodziło rytmiczne pochrapywanie Tomasa, który zasnął dosłownie dwie minuty po tym, jak zjadł

trzecią kanapkę z serem. Jedyłą osobą poza Serge'em, która nie spała, był papież.

- Prowadź nas, Serge - odezwał się półszepem, jakby nie chciał obudzić pozostałych. Przesunął się na środek siedzenia, żeby lepiej go widzieć. - Wierzę, że wiesz, co robisz.

- Obyś miał rację, Augustynie. Obyś miał rację... -
odpowiedział Serge, odrywając lewą dłoń od kierownicy i przecierając
zaczerwienione ze zmęczenia oczy.



GODZINA 19. 10

Waszyngton,
Stany
Zjednoczone.
Siedziba
Agencji

Wywiadowczej Departamentu Obrony (DIA) Major Ted Linsky wybiegł z windy na szóstym piętrze.

Rozejrzał się nieprzytomnie po pustym o tej porze korytarzu, szukając wskazówki, która mogłaby naprowadzić go na gabinet C234. Na drzwiach pokoi nie było numerów. Za rzadko tu bywam - pomyślał z goryczą. Zrezygnowany tym, że nie ma pojęcia, w którą stronę pójść, przystanął i spojrzął na zegarek.

Co najmniej dwie minuty spóźnienia. „Leć, gnaj”, rozkazał mu generał brygady Greg Wyden. Niby jak do kurwy nędzy miałyby wykonać rozkaz, skoro nikt nie powiedział mu, jak szybko i sprawnie pokonać te przekłete korytarze, wijące się według znanej chyba tylko dowódcom numeracji!

Usłyszał szcęknięcie klucza w zamku i spojrzął w lewo.

Bingo - pomyślał, słusznie oceniając, że generał Richard McGregor, dyrektor DIA, główny zwierzchnik jego i kilkuset jego kolegów pocących się właśnie w mundurach w jednostkach wywiadowczych rozsianych po świecie, żeby dostarczać mu cztery razy dziennie raporty, właśnie zbiera się do wyjścia.

- Generale! Generale! - krzyknął, kiedy na horyzoncie pojawiła się wysportowana sylwetka pięćdziesięciolatka o surowym, wręcz skurwysyńsko wrednym wyrazie twarzy.

Generał odwrócił się na pięcie i ze zdziwieniem spojrzął na Linsky'ego.

Oczywiście nie masz pojęcia, kim jestem, dupku, bo nigdy nie schodzisz na dół żeby przyjrzeć się naszej pracy - przebiegło Tedowi przez myśl.

- Major Ted Linsky - zsalutował, stając twarzą w twarz z generałem. - Z Monachium przyszedł pilny meldunek. Kazano mi go natychmiast panu dostarczyć - wyjaśnił i podał

generałowi białą kopertę, zaklejoną pieczęcią z symbolem DIA, w skład której wchodziły złota pochodnia przebijająca kulę ziemską symbolizująca wiedzę i dwie elipsy otaczające ją w układzie podobnym do zwrotników, mające oddawać wielkość postępu technologicznego i naukowego, które Linsky'emu od zawsze kojarzyły się z hula hop. Granatowe tło, odcinające się na tle ziemi i pochodni, nawiązujące do tajemnic i wciąż nieodkrytej wiedzy, symbolizowało to, co przyciągnęło Teda do wywiadu. Ciągłe miał nadzieję, że kiedyś uda mu się choć otrzeć o tajemnice. Tylko ta myśl wciąż trzymała jego tyłek na stołku asystenta dyrektora biura łączności z EUCOM, czyli światowymi oddziałami DIA.

Sądząc, że skoro wykonał zadanie, nic tu po nim, zasalutował ponownie, zrobił obrót o dziewięćdziesiąt stopni i ruszył w kierunku windy.

- Czekaaj! - wrzasnął za nim generał. Linsky wykonał rozkaz.

Lewa noga zawisła w pół kroku nad podłogą. Postawił ją. Znow wzięł obrót. Zasalutował, mówiąc, że jest do dyspozycji pana generała.

Pierdzielony wojskowy protokół, przeklął w myślach, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś uda mu się wybaczyć sobie największy życiowy błąd. Chciał być szpiegiem, a został

podrzednym urzędnikiem w agencji wywiadu. Parszywa sprawa - pomyślał i pokręcił głową.

- Co tam marudzicie, majorze? - dopytywał generał, jakby dosłyszał myśli Teda.

Jasna cholera - pomyślał Ted, czując, że robi mu się gorąco ze strachu.

- Absolutnie nic, panie generale! - odpowiedział.

McGregor wpatrywał się w niego, trzymając w lewej dłoni zmiętą kartkę. Koperta leżała na ziemi, tuż pod jego butem.

Przerwany lak wydał się Tedowi wyjątkowo złą wróżbą. Nie miał pojęcia czemu, po prostu taka myśl przyszła mu do głowy.

- Możecie powtórzyć swoje nazwisko?

- Linsky, panie generale.

- Macie wschodnioeuropejskie korzenie? - Generał podszedł dwa kroki w jego kierunku. Założył ręce do tyłu. Słysząc było, jak nerwowo miętoli kartkę.

- Dziadek był generałem w Armii Krajowej, panie generale.

Tadeusz Liński, pseudonim „Grot”. Walczył w Powstaniu Warszawskim.

W Polsce - dodał, na wszelki wypadek.

Tego, że gdy zginął, jego babka zabrała maleńką córkę i dała nogę do Ameryki, wolał już nie wspominać. Bo i po jaką cholere generał miałby to wiedzieć, podsumował krótko.

Generał podszedł bliżej Teda. Stał z nim twarzą w twarz, tak blisko, że Ted prawie zrobił zeza.

- W takim razie, majorze, odbędziecie na koszt państwa sentymentalną podróż w rodzinne strony. Co prawda nie do Polski, ale do Niemiec, ale zawsze to coś.

Ted zrobił wielkie oczy. Co jest, *holy moly!*, pomyślał rozgorączkowany wizją pierwszej w życiu podróży do Europy.

- Co prawda będziecie musieli trochę popracować, ale obstawiam, że nie zajmie nam to więcej niż dzień, może dwa...

„Nam?”, zdziwił się Ted.

- A potem dostanie pan przepustkę i - uśmiechnął się generał

- małą premię za wyjątkowe oddanie sprawom bezpieczeństwa narodowego.

Ted prawie podskoczył z radości. Nie dosyć, że zabiera go z sobą sam generał, to jeszcze dostanie wakacje z wyprawką za dobre sprawowanie.

Generał odprowadził go do windy i, o dziwo, sam wszedł do niej w ostatniej chwili. Po drodze dopytywał jeszcze o szczegóły związane z meldunkiem, ale kiedy zorientował się, że Ted nie ma bladego pojęcia, o co chodzi, dał sobie spokój. Kiedy wysiedli z windy, robiąc niemałe zamieszanie wśród kręcących się jak mrówki oficerów i chorążych przejmujących wieczorne dyżury w podziemnym centrum łączności z ludźmi z DCS, DAS

i DCO, a także - od czasu do czasu - CIA, Ted poprowadził generała do biura generała brygady Grega Wydena, z którego ust dokładnie sześć minut i dwadzieścia dwie sekundy wcześniej padł rozkaz „leć, gnaj”.

Widocznie spodziewał się wizyty, bo drzwi jego gabinetu były otwarte. Ted wprowadził generała do środka, zsalutował, bardziej Wydenowi niż jemu, i - zgodnie z rozkazem - stanął

pod zamkniętymi drzwiami, pilnując, by nikt nie przeszkadzał im w rozmowie. Po dwudziestu minutach drzwi się otworzyły.

Generał wyszedł, a właściwie wybiegł, wyraźnie czymś poruszony.

Mijając Teda, nawet na niego nie spojrział.

Cholera - pomyślał Ted, pewnie się rozmyślił...

Zaraz potem zawołał go Wyden.

Wszedł do gabinetu. Zamknął za sobą drzwi. Już chciał zasalutować...

- Daj spokój - rozkazał mu Wyden, machając ręką. - Chodź tu i siadaj, chłopcze. - Wskazał mu miejsce po przeciwnej stronie biurka.

- A więc lecisz do Europy - zaczął, kiedy Ted zajął miejsce.

- Na to wygląda, panie generale - odparł Ted, ciesząc się w duchu, że to jednak prawda.

- Mam prośbę - odezwał się zniecierpliwiony generał. Poderwał się z krzesła, wychylił nad biurkiem i wyciągnął do Teda rękę w powitalnym uścisku. - Mów mi Greg.

- Ted - odpowiedział zbity z tropu Linsky i uścisnął dłoń generała, od dwudziestu sekund „po prostu” Grega.

- Chciałbym, mój drogi, żeby ta rozmowa została między nami - ciągnął generał, wróciwszy na swoje miejsce za biurkiem, i zaraz potem zadał pytanie, które zmroziło Tedowi krew w żyłach. - Wiesz, jak brzmiał meldunek?

Ted pokręcił głową. Niby skąd miał wiedzieć? To była tajna wiadomość. Sam wsadził ją do koperty i zapieczętował -

pomyślał, spoglądając badawczo na generała. Ten wysunął szufladę biurka, wyjął notatnik, wziął do ręki swoje słynne, ponadstuletnie pióro marki Parker, które odziedziczył po pradziadku, który dostał je jako prezent za służbę u boku prezydenta Theodore'a Roosevelta Juniora, i szybko coś zapisał.

Podsunął notatnik Tedowi, kiwnięciem głowy wskazując, że ma jedyną szansę, żeby zapoznać się z tym, co chce mu przekazać.

Ted wziął go do ręki. Nie od razu zrozumiał, co do diabła znaczy to zdanie. Jedno, czego był pewien, to to, że zapoznaje się właśnie z treścią tajnego meldunku: Estera Gismoil, pseud. Zoja Pietrowna, utrata źródła sygnału lokalizującego 02:02:37 AM czasu lokalnego. Ostatnie miejsce lokalizacji KL Dachau.

- Zlikwidowaliśmy szpiega?!

Generał zrobił tajemniczą minę.

- No właśnie, widzisz, chłopcze, wygląda na to, że ktoś to zrobił za nas. Cały szkopuł w tym, że ta dziewczyna była obywatelką naszego kraju, a do tego prawnuczką Hitlera. -

Odchylił się na krześle, obserwując reakcję Teda, który próbował powstrzymać się od śmiechu, sądząc, że to żart. - Co prawda przyszywaną, ale jednak. A jej matka, Anna Braun, to doprawdy czysty nazistowski spirytus.

Ted zakasłał. Chwilę temu było mu do śmiechu, teraz już nie.

- A co my mamy do nazistów? Przecież to już dawno zamknięty rozdział historii... - upierał się Ted.

- A właśnie! - Generał wycelował palec w pierś Teda, jakby chciał pokazać mu plamę na mundurze. - Chciałbym cię prosić, żebyś był bardzo, bardzo ostrożny. Wdepnąłeś właśnie w największe gówno, jakie nasze kochane DIA próbuje zamieść pod dywan od ponad czterdziestu lat. Radzę ci, zanim wrócisz z Europy, wytrzymaj dobrze buty.



NIE MA NARCIARZY, JEST MGŁA Czterdzieści kilometrów na południowy wschód od Akwizgranu, nad pnącą się pośród stromych wzgórz i pagórków wąską drogą, promienie słońca zaczynały powoli przebijać się przez mgłę. Serge był już tak zmęczony, że ledwo widział

drogę. Zoja wyjęła z czarnej torby opakowanie tabletek przeciwbólowych i popijając letnią herbatą z termosu, połknęła jedną. Ból prawie rozłupywał jej czaszkę. Mdlilo ją i każdy ruch głowy powodował, że czuła się tak, jakby zamiast skóry pod włosami miała cienką błonę, naciągniętą do granic możliwości.

- Uczucie sztywności karku może się jeszcze trochę utrzymać - oznajmił Serge, z troską zerkając na Zoję, której twarz wykrzywił grymas bólu.

Stęknęła żałośnie i odpowiedziała, że nie chodzi o żadną sztywność, ale o to, że jeszcze chwila, a głowa pęknie jej na dwie połówki.

- Byle mózg był cały - spróbował zażartować Serge, próbując ją pocieszyć.

Zza oparcia fotela Zoi dało się słyszeć głośne ziewnięcie.

Tomaso przeciągnął się, oznajmiając tym, że jemu jednemu kilka godzin jazdy upłynęło w miarę przyjemnie.

- Dzień dobry - odezwał się Serge w odpowiedzi na ziewnięcie Tomasa.

- Dobry. - Uśmiechnął się Tomaso i jak gdyby nigdy nic wyjrzał przez okno i zaczął zachwalać piękne widoki.

Palant - pomyślała Zoja, coraz bardziej żałując, że nie zmusiła Serge'a, żeby zostawił go pod bramą klasztoru.

Kiedy land rover pokonał kolejny stromy zakręt na pnącej się w górę drodze, Serge poprosił Tomasa, żeby wyjął z bagażnika kolejną torbę. Tym razem miała to być walizka.

- Powinna być po prawej stronie, obok narciarskich butów - dodał.

Tomaso zrobił zdziwioną minę. Zoja także.

- Sądziłem, no cóż, zdawało mi się, że to narciarski kurort -

wyjaśnił Serge przepaszająco, jakby przeczuwał, że jeden element jego planu już na wstępie okazał się niewypałem.

Tomaso wyjął twardą walizkę Samsonite i położył sobie na kolanach. Była niewielka i pachniała nowością. Przy okazji, zupełnie niechcący, potrącił łokciem papieża, który po czterech godzinach czuwania dopiero co przymknął oczy.

- Przepraszam, Eminencjo... - kajał się Tomaso.

Papież zbył go machnięciem ręki.

- W walizce są ubrania i trochę gadżetów - kontynuował

Serge. - Niech każdy wybierze coś dla siebie. W Monschau będziemy udawać turystów. Zoja i Tomaso będą udawali parę.

A ja z Augustinem, no cóż, syna i ojca.

Tomaso zaczął protestować, upierając się, że podobne gierki nie przystoją osobie duchownej i pełniącej w Watykanie tak poważną funkcję jak kamerling. Nie zapomniał nadmienić, że o udziale Papieża w „podobnej hucpie” Serge może tylko pomarzyć.

- Jak to dobrze, Tomaso, że nikt nie pyta cię o zdanie - uciał Serge.

Zoja nie zamierzała protestować. Rozmyślała o tym, o ile bardziej

komfortowo czułaby się w towarzystwie papieża, gdyby nie musiała zwracać się do niego per ojciec święty. Zazdrościła

Serge'owi, że ze względu na bractwo i to że znają się długie lata, ma możliwość omijania protokołu.

- I pamiętajcie - dodał po chwili Serge, zwalniając do trzydziestu na godzinę, bo przed nimi pojawił się znów ostry zakręt, idący równo z krawędzią stromego zbocza - ja i Augustinnie mamy z wami nic wspólnego. Nie znamy się.

Nigdy się nie widzieliśmy. To bardzo ważne, żeby od początku obyło się bez jakichkolwiek wpadek.

Tomaso otworzył walizkę i zaczął w niej grzebać. Wyjął narciarskie gogle i założył na twarz.

- A można wiedzieć, jaki jest plan wycieczki? Oczywiście poza jazdą na nartach - powiedział, machając wygrzebaną z walizki rękawiczką, jakby to była chorągiewka. Po raz kolejny uznał, że cała sytuacja jest zabawą, zupełnie zapominając o czającym się całkiem blisko zagrożeniu.

Ani Serge, ani Zoja, ani papież nie mieli na tyle siły, żeby wyprowadzać go z błędu.

- Zamiast zadawać milion pytań, lepiej podaj mi okulary -

zwrócił się Serge do Tomasa, mrużąc oczy przed ostrym słońcem.

Zanosilo się na to, że po wczesnoporannych chmurach i mgle za chwilę nie zostanie ani śladu, a Monschau, które majaczyło na horyzoncie, powita ich pięknym, wiosennym słońcem.

Tak się stało. Budzące się do życia wąskie uliczki o tej porze wypełniała jedynie

garstka

turystów,

szukających

odpowiedniego lokalu na śniadanie. Niewielkie białe domki o spadzistych dachach, ze zwisającymi z okien bogato obsadzonymi kwietnikami, zdawały się być upchnięte w dolinie w ciasnych szpalerach, wbrew prawu grawitacji. Pomiędzy nimi ciągnęły się wąskie uliczki pełne sklepowych witryn,

sprawiające wrażenie, jakby czas zatrzymał się w tym miejscu ponad sto lat temu.

- Bracia Grimm czuliby się tu jak u siebie - odezwał się po dłuższej chwili Serge, nie kryjąc zachwyty. Zwolnił, żeby mogli podziwiać uroki mijanych uliczek.

Pozostali podzielali jego zdanie. Od dłuższej chwili w milczeniu rozglądali się wokół siebie z błyskiem w oku.

Żadne z nich nie mogło się pozbyć wrażenia, że znaleźli się w iście bajkowym miejscu. Większość turystów odwiedzających Monschau, a przybywało ich tu w ciągu roku mnóstwo, czuła się pośród zaułków, alejek i domów wijących się wzdłuż rzeki Ruhr jak w innym, wyśnionym świecie.

- O rany... - wyszeptała Zoja, nie odrywając nosa od okna.

- Nieźle, co? - odpowiedział Serge, wskazując na wijącą się w dole pomiędzy budynkami wstęgę rzeki Ruhr.

- Oby tylko sen nie stał się koszmarem... - wtrącił złowrogim tonem Tomaso i zaraz potem przypomniał Serge'owi, że nie odpowiedział na jego pytanie.

- Za chwilę. Najpierw muszę znaleźć miejsce, żeby zaparkować - odpowiedział zdawkowo Serge.

Tomaso doczekał się wyjaśnień dopiero pięć minut później, kiedy silnik land rovera zgasł, a z zewnątrz dał się słyszeć śpiew ptaków i szum wody. Zaparkowali w zaułku pomiędzy dwoma budynkami o bielonych ścianach, z widokiem na mostek przecinający rzekę, którym nieśpiesznie przechadzało się kilkoro turystów, robiąc sobie zdjęcia na tle domków jak z bajki o Jasiu i Małgosi.

- Udajemy się do hotelu Carat przy Laufenstrasse 82 -

odezwał się Serge. - Najpierw Zoja i Tomaso, potem, po około dwudziestu minutach, ja i Andreas. Wy weźmiecie jeden pokój, my dwa osobne. Meldujemy się, pobieramy klucze. Idziemy do

pokoju. Oczekujemy dwadzieścia minut, dokładnie tyle i ani minuty dłużej - podkreślił Serge i odsunawszy rękaw bluzy, spojrzął na zegarek. - Potem, dokładnie o 9. 30, udajemy się do pokoju numer 8. Starajcie się wchodzić osobno, w odstępach dwóch-trzech minut, najlepiej kiedy na korytarzu nikogo nie będzie. Trzy stuknięcia w drzwi pokoju, a kiedy z drugiej strony padnie pytanie „Co się znowu stało?!”, odpowiedź „W Dachau dwóch profesorów pobiło się o tłustą dżdżownicę”. Z drugiej strony musi paść odpowiedź „W Oświęcimiu jeden z więźniów dał sobie wyrwać obcęgami złoty ząb za kawałek chleba”.

Zoja spojrzała na Serge'a, nie kryjąc oburzenia.

- Kto to wymyślił? - zapytała, nie mogąc uwierzyć, że komukolwiek mogły przyjść do głowy podobne hasło i odzew.

- Niestety, to prawda - odparł sucho Serge. W samochodzie zapanowała

ponura atmosfera, jakby cały czar miasteczka, jaki ich początkowo wypełnił, nagle prysł. Serge wychylił się do tyłu i - obserwowany bacznie przez Tomasa - zaczął grzebać w walizce, szukając rzeczy do przebrania. Chwilę później pozostali poszli w jego ślady.

- Wy pójdziecie pierwsi - zwrócił się Serge do Zoi, która z trudem poruszając głową, próbowała spiąć rozczochrane i pozlepiane krwią włosy w kucyk i ukryć je pod luźną kolorową czapkę.

- Czuję się obrzydliwie - powiedziała Zoja, ze wstrętem przyglądając się swojemu odbiciu w lusterku nad przednią szybą. - W życiu nie wyglądałam gorzej - dodała, nie mając na myśli okrycia głowy, ale podpuchnięte oczy, niezdrowe wypieki na policzkach i wszystko, co wskazywało, że nie spała porządnie od ponad tygodnia.

- Obiecuję, że zrobię wszystko, żebyś dziś wieczorem mogła wreszcie odpocząć. I postaram się załatwić lekarza, żeby na wszelki wypadek zerknął na to. - Wskazał palcem na tył jej głowy, gdzie pod warstwą włosów i czapką ukryty był

opatrunek. - A, i byłbym zapomniiał - dodał Serge - tu masz nowe dokumenty. - Podał Zoi paszport.

Natychmiast zajrzała do środka. Na pierwszej stronie było jej zdjęcie. Reszta okazała się stekiem kłamstw.

- Linda Jacobsen, z Berlina, lat trzydzieści - przeczytała na głos. - Skąd to wytrzasnąłeś? - zapytała Serge'a, który właśnie zakładał na głowę czapkę z daszkiem.

- Z zakładu medycyny sądowej - oznajmił Serge, choć oczywiste było, że nie mówi wszystkiego. - To chyba jasne, że nie możesz podróżować, posługując się swoim paszportem.

Zoja musiała przyznać, że Serge miał rację. Niestety, meldowanie się w hotelu jako Zoja Pietrowna, w jej obecnej sytuacji, byłoby czystym szaleństwem. Zapewne najpierw odnalazłby ją ojciec Bruno, a zaraz potem ludzie kardynała.

Albo w odwrotnej kolejności, ale z równie fatalnymi skutkami.

- Dobra, dość gadania - odezwał się Serge i kazał wszystkim wysiadać. Chwilę później rozeszli się parami w dwóch przeciwnych kierunkach, czując na twarzach powiew lekkiego wiosennego wiatru, który ani przez sekundę nie zwiastował

nadciągającej burzy.



ELOI, ELOI, LAMA SABACHTANI - Halo, proszę pani, tak, do pani mówię, pani w czapce z pomponem, proszę podejść po klucz do pokoju! - zawołał zza wysokiej dębowej lady recepcjonista, którego niemiecki był tak płynny jak belgijskie czekoladowe fondue.

Zoja poderwała się z fotela stojącego pod oknem, straciwszy szansę na pogapienie się na klimatyczną uliczkę tryskającą wiosennym zapachem kwitnących drzew i kawy, z wolna wypełniająca się turystami. Tomaso poczłapał za nią. Dosłownie poczłapał, bo jego sportowe buty były o dwa rozmiary za duże, a jego własne rzymskie mokasyny zupełnie nie pasowały do jego nowego, sportowego stroju, w jaki zaopatrzył go Serge.

Z kluczem od pokoju w dłoni, przemierzywszy korytarz i wszedłszy na piętro po schodach obitych drewnianymi panelami, Zoja utyskiwała pod nosem, złorzeczając Serge'owi.

Dość powiedzieć, że od chwili, kiedy przekroczyli próg, dwaj recepcjoniści nie spuszczaali ich z oczu. Wychodzący i wchodzący goście także posyłaali im spojrzenia, z początku pełne zdziwienia, a potem rozbawienia, tak wymowne, że Zoja, nawet gdyby chciała, nie mogła ich zignorować. Bez wątpienia wyglądalali z Tomasem jak para idiotów, którym pomyliły się nie tylko pory roku, ale i atrakcje, na jakie mogą liczyć.

W promieniu kilkudziesięciu kilometrów od Monschau nie było ani jednego liczącego się szlaku narciarskiego, a jeśli nawet był, to nieczynny o tej porze roku. Zoja nie mogła pojąć, jak do

cholery Serge mógł tego nie sprawdzić, ZANIM wybrał się do sklepu, żeby zaopatrzyć ich w nowe ubrania, w których -
o ironio - mieli z łatwością wtopić się w tłum.

Kiedy udało im się wreszcie dotrzeć do pokoju, pierwszym, co zrobiła Zoja, było rzucenie z siebie puchowej kurtki, w której czuła się jak w parowniku. Zaraz potem wręczyła Tomasowi klucze, oznajmiając, że ma pójść na dół na kawę i nie wracać przed upływem piętnastu minut. Nie obyło

się bez protestów z jego strony, ale w końcu Zoja zdołała zostać sama, wziąć prysznic i przyjrzeć się w lustrze własnej głowie oraz temu, co zrobił z nią w nocy Serge.

- Nie jest tragicznie - skwitowała, odgarniając na bok część włosów, które udało jej się delikatnie wypłukać pod prysznicem.

Wysuszyła je hotelową suszarką, założyła czystą bieliznę, o którą dzięki Bogu zatroszczył się Serge, przygotowując ich ekwipunek, i znów założyła sportowe ciuchy, w których czuła się tak samo idiotycznie jak wcześniej. Mimo to jej nastrój się poprawił. Opuszczając pokój, mijając się w drzwiach z Tomaszem, posłała mu szeroki uśmiech.

- Idę tam, gdzie wiesz - powiedziała na wszelki wypadek.

- Idź i powiedz tym, co wiesz, że z powodu okupacji pokoju przez pewną osobę będę spóźniony o jakieś dziesięć minut - odburknął. Przyjazne nastawienie Zoi uznał widocznie za podstęp.

Zoja wzruszyła ramionami i ruszyła korytarzem w prawo.

I tak jest lepiej niż w hotelu w Łodzi - podsumowała. Tu przynajmniej nie biegają po korytarzu szukający jej neonaziści z pistoletami. Nie musi skakać przez okno ani wdrapywać się na śliski gzyms. No i bądź co bądź otaczają ją ludzie, którym może ufać.

- Jest naprawdę nieźle - wyszeptała pod nosem, stukając trzy razy w drzwi pokoju numer 8. Podała hasło. Ochrypli męski głos, którego nie rozpoznała, a który skojarzył się jej z rechotem żaby, wyrecytował na jednym oddechu treść odzewu. Kiedy sekundę później drzwi się uchyliły, poczuła zapach jedzenia.

Nagle dotarło do niej, że nie jadła nic od ponad dziesięciu godzin. Dopóki bolała ją głowa, nie była w stanie nawet pomyśleć o przełknięciu czegokolwiek. Ale teraz, kiedy kolejna tabletką przeciwbólowa uśmierzyła ból do tego stopnia, że prawie o nim zapomniała, to co innego. Wchodząc do pokoju, poczuła niemal wilczy apetyt, a widok Serge'a stojącego przy oknie z kubkiem kawy w jednej ręce i złożoną połówką bagietki wypchanej po brzegi łososiem i twarożkiem tylko to uczucie wzmocnił.

Zoja szybko minęła kanapę, niewielki szklany stolik ze szkła i włączony telewizor i skierowała się do stołu z czterema krzesłami, na którym stały tace z jedzeniem i termosy z kawą i herbatą.

Nareszcie jedzenie - ucieszyła się Zoja, nakładając sobie na talerz spory kawałek tarty ze szpinakiem. Zaraz po tym, pomiędzy jednym kęsem a

drugim, naląła sobie do kubka kawy i dodała spienionego, gorącego mleka. Nagle zwykle rzeczy, ot, smak kawy z mlekiem i śniadanie na stole, sprawiły jej tak ogromną radość, że na moment zapomniała o tragedii, jaka rozgrywa się z jej udziałem, włącznie z tym, że już za kilka godzin może zostać oskarżona o porwanie głowy Kościoła.

Biorąc dokładkę tarty, spostrzegła, że do pokoju przybył Tomaso. Odświeżony i ogolony wyglądał znacznie lepiej. Do tego tylko on jeden spał w nocy choć kilka godzin. Podobnie jak Zoja pierwsze kroki skierował do stołu. Zamiast od jedzenia zaczął od kawy - bez mleka, z trzema łyżeczkami cukru. Wziął

kubek do ręki i ruszył w kierunku kanapy. Rozsiadł się wygodnie i wziął do ręki pilot od telewizora.

- Nie włączaj! - wrzasnął Serge, jakby włączenie telewizora było jednoznaczne z wyjęciem zawleczonego i rzuceniem granatu.

Zanim zdążył podbiec i wyrwać Tomasowi pilota, było już za późno; pokój wypełnił głos prezenterki wiadomości ze stacji BBC

News.

*Brutalne
zabójstwo
księdza
w kościele*

w Monachium mogło być kolejnym aktem terroru... Na razie wciąż nie ma oficjalnych informacji, kto mógłby stać za zamachem i zaraz potem bełkot gościa, którego zdaniem zastrzelenie księdza na oczach dzieci nie może być niczym innym, jak tylko kolejną próbą zastraszenia Niemiec. Stoimy u progu gigantycznego światowego konfliktu, związanego z działalnością Watykanu, to pewne... - ciągnął gość, a prezenterka kwitowała jego rewelacje szybkimi kiwnięciami głowy, udając, że to, co mówi, robi na niej ogromne wrażenie.

- Nie wyłączaj, Serge! - krzyknęła Zoja, podchodząc do telewizora. Zasłoniła mu plecami ekran i odczytała informację lecącą na czerwonym pasku w dole: *Niemiecki ksiądz Adolf Rielke zastrzelony w kościele St. Anna im Lehel w Monachium.*

Trwają poszukiwania napastnika. Władze Monachium proszą mieszkańców o nieopuszczanie budynków. Zaraz potem ekran wypełniły obrazy z wnętrza kościoła. Poprzewracane ławki, podłoga zakrystii cała w krwi, policyjne taśmy przed wejściem... jeden wielki Armagedon.

Zanim Zoja zdołała zebrać myśli w jedną całość, Tomaso zabrał głos.
- Ojciec ścigał tego drania trzydzieści lat. A oni nawet nie wspomną, że był nazistą i Kościół bawarski pomagał mu się ukrywać, a potem utajnił dowody jego zbrodni...

Zoja w mgnieniu oka skojarzyła fakty. Krew na ubraniu Serge'a. Akta Rielkego w jego plecaku. A w końcu całodzienna nieobecność i dziwne, nerwowe zachowanie po powrocie do klasztoru...

Podeszła i odciągnęła Serge'a w ustronne miejsce.

- Chcesz mi o czymś powiedzieć?

Nagle Tomaso złapał pilot i zrobił głośniej. Pokój znów wypełnił głos prezenterki. W tle dał się słyszeć szum śmigieł

helikoptera. *Nowe fakty w sprawie makabrycznego incydentu na dachu Bazyliki Świętego Piotra wskazują na to, że ukrzyżowania kobiety dokonał nie działający w pojedynkę fanatyk religijny, ale zorganizowana grupa terrorystyczna, która tym brutalnym atakiem, kolejnym w ciągu ostatnich dni, próbuje zastraszyć Watykan i papieża w związku z ujawnioną niedawno aferą finansową, w którą zamieszany jest watykański bank...*

- Co za bzdury... - rzucił Tomaso z powątpiewaniem i wyłączył telewizor.

Drzwi w głębi pokoju zaskrzypiały. W tej samej chwili pojawił się w nich nieznamy mężczyzna. Pomimo zamkniętych drzwi musiał usłyszeć telewizor, bo jego pierwsze słowa nawiązywały do tego, co mówiła przed chwilą prezenterka.

- Obie sprawy mają ze sobą tyle wspólnego co pięść z piętą - skwitował i wszedł do pokoju, od razu kierując się w kierunku stojącej w kącie z Sergem Zoi.

- Czyli mają wiele - odpowiedział wciąż nachmurzony Tomaso.

Nieznamy przystanął na kilka sekund i posłał mu pełne politowania spojrzenie.

- Pięść i pięta należą do jednego ciała, ale nie znajdują się obok siebie - rzucił ciętą ripostę.

- Dominic Dulli - przedstawił się, chwytając dłoń Zoi i potrząsając nią jak trzepaczką do jajek. Miał silny, stanowczy uścisk, który zupełnie nie pasował do jego wyglądu. Ubrany w ciemnozieloną kurtkę w wojskowym stylu, czerwoną koszulkę polo i granatowe spodnie, prezentował się niepozornie.

Nie był ani wysoki, ani niski. Miał ciemne, krótko przystrzyżone włosy i brązowe oczy. Do tego jego angielski zdradzał, że jest typowym Włochem, który nigdy, choćby nie wiadomo jak się starał, nie zdoła pozbyć się akcentu.

- Zoja Pietrowna, miło mi - odpowiedziała, kiedy Dulli puścił jej dłoń.

Założył ręce na piersi i zrobił zamyśloną minę.

- Pietrowna, hm... - zamyślił się, jakby próbował odnaleźć w pamięci jej nazwisko. - Nic mi to nie mówi...

Serge stał przy oknie, chyba celowo nie włączając się do rozmowy. Tomaso przy wciąż wyłączonym dźwięku zaczął zmieniać kanały w telewizorze, chcąc się upewnić, czy przypadkiem któraś z newsowych stacji nie dotarła do jakichś nowych informacji o tym, co stało się w Monachium.

- Nie możesz znać żadnej Zoi Pietrownej, bo taka osoba z całą pewnością nie istnieje. To Estera, Estera Gismoil, córka Jacquesa i Anny, których niestety nie miałeś okazji poznać -

wyjaśnił papież, stając w uchylonych drzwiach.

Dulli nerwowo zatrzepotał rękami i wybałuszył na Zoję oczy.

- Anny? Tej Anny, którą ojciec Bruno ukrzyżował na dachu Bazyliki Świętego Piotra?

Zoja zdrętwiała. Jak na jedną chwilę usłyszała zbyt wiele.

Poczuła, że musi usiąść.

Chcąc odciągnąć uwagę Dullego od Zoi, papież wskazał ręką najpierw na Serge'a, a potem na Tomasa.

- To Serge Magdi, światowej sławy badacz ikon prawosławnych, pracuje dla UNESCO. A to Tomaso Cippo, mój zaufany kamerling, syn Pietra Cippo, który niestety został zamordowany.

Dulli zrobił strapioną minę i posłał Tomasowi pełne współczucia spojrzenie.

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci pana ojca. To był naprawdę wyjątkowy łowca nazistów. Oddany sprawie...

- Panie Dulli, to że mną rozmawiał pan wczoraj w sprawie naszego spotkania - wtrącił nagle Serge, wychodząc z jasnej plamy, jaką rzucały na okno i podłogę załamujące się promienie słońca. - Cieszę się, że wreszcie udało nam się zobaczyć - jego ton był oschły, pełen dystansu, jakby Serge

nosił w sobie urazę do tego młodego, dość bezpośredniego Włocha, którego widzi pierwszy raz w życiu. Zoja od razu to zauważyła i zaczęła się gorączkowo zastanawiać, o co może chodzić. Nie musiała długo czekać na wyjaśnienie.

- Przykro mi, panie Magdi, że nie udało mi się pomóc tamtej nocy... - rzucił Dulli i dodał, że ma nadzieję, że tym razem będzie inaczej.

- Ja też mam taką nadzieję. W przeciwnym razie nie liczyłbym na to, że uda nam się wyjść z tego cało -

odpowiedział Serge i rozejrzał się po twarzach wszystkich, jakby chciał się upewnić, czy jego słowa wywarły na nich odpowiednie wrażenie.

W pokoju zapadła niezręczna cisza. Przerwał ją dopiero Tomaso, który po wyłączeniu telewizora oznajmił, że nie ma zamiaru brać w tym wszystkim udziału.

- No jak to? - zdziwił się Dulli. - Sądziłem, że przybył pan po to, żeby zastąpić swego ojca. Bez choćby części jego wiedzy będzie nam trudno się w tym wszystkim połapać.

- Nic z tego - upierał się Tomaso. - Na mnie nie liczcie. -

Wstał z kanapy i poszedł odstawić pusty kubek na stół. Mijając Zoję siedzącą na krześle pod oknem, zobaczył jej pełne pogardy spojrzenie. - No co? - zwrócił się do niej zaczepnym tonem. -

Myślałaś, że dam się w to wciągnąć tak jak mój ojciec? Że tak jak on poświęcę wszystko, żeby ratować ciebie i twoją córkę?

Dulli, papież i Serge jednocześnie spojrzeli w ich stronę.

Dulli zrobił taką minę, jakby słowa Tomasa wstrząsnęły nim do głębi.

- Nie jestem winna śmierci twojego ojca - wysyczała Zoja, czując, że rozpoczęta w samochodzie awantura właśnie rozpoczyna się na nowo. Tym razem nie miała zamiaru odpuścić. Nie pozwoli, żeby Tomaso tak ją traktował.

Zwłaszcza że jego oskarżenia słyszą wszyscy, włącznie z dziwnym Włochem, który gapi się na nią z rozdziawionymi ustami.

- Nie? - warknął Tomaso. - A ja uważam zupełnie co innego.

Gdyby mój ojciec nie zmusił mnie do umówienia spotkania z asystentem kardynała Angenera, Lucą Lambrettim, nie poszedłby do tego przekłętego apartamentu i nie dał się zastrzelić jak kaczka na polowaniu! - jego głos powoli zaczynał

przechodzić w krzyk, ujawniając całą złość, jaką Tomaso nosił

w sobie od dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

Serge zrobił krok w ich stronę i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale papież złapał go za ramię i pokręcił głową, żeby się nie wtrącał. Magdi wysłuchał jego polecenia. Wycofał się i stanął twarzą do okna, kładąc zaciśnięte ze zdenerwowania dłonie na parapecie. Dulli obejrzał się za nim, wyraźnie skonfundowany obrotem sytuacji. Tylko papież sprawiał wrażenie, jakby cała ta rozmowa była tym, na co czekał.

Dziwny spokój emanujący z jego spojrzenia, który Zoja dostrzegła kątem oka, wyzwolił w niej odwagę i poczucie, że oto nadeszła chwila prawdy, nie tylko dla niej, ale i dla wszystkich, którzy znaleźli się w tym pokoju.

- Nie prosiłam twojego ojca o pomoc. Sam się zjawił i zabrał mnie, Piotra i Serge'a do groty w La Sainte-Baume. Potem był z nami, choć ani razu go o to nie prosiłam. Nie musiał prosić cię o umówienie nas z Lambrettim, tak samo jak ty nie musiałeś zgodzić się sprowadzić go do apartamentu...

Tomaso wpadł w furję. Uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczały szklanki i talerze.

- OCZYWIŚCIE, ŻE NIE MUSIAŁEM! - wrzasnął ze łzami w oczach. -
ALE TY NIE ZNAŁAŚ MOJEGO OJCA TAK

DOBRZE JAK JA! - Wziął oddech i nagle ściszył głos. -

Gdybym tego nie zrobił, znów okazałbym się tym gorszym, mniej oddanym synem, który nie poszedł w ślady ojca i zamiast go wspierać, zamiast współcierpieć razem z nim za winy tego świata, chciał po prostu żyć swoim życiem... - Odwrócił się do Zoi i ukradkiem otarł z oczu łzy. Jego ręce drżały, podobnie jak ramiona i całe ciało.

Zoja nagle pojęła, że obwiniając ją, Tomaso w rzeczywistości obwinia siebie. Taka gra, w którą ona także grała przez wiele, wiele lat, aż do chwili, kiedy w hotelowym pokoju stanęła nad podziurawionym od kul ciałem swojego męża Andreasa i dotarło do niej, że uciekanie od odpowiedzialności za własne życie dosłownie ZABIJA tych, których w nie nieświadomie wplątujemy.

- Tomaso... - odezwała się Zoja, siląc się na spokój. -

W ostatnich dniach wszyscy przeżyliśmy takie potworności, o jakich nie można nawet śnić w najgorszych koszmarach. Ja...

- zawahała się, czując, że głos zaczyna się jej łamać. - Ja straciłam byłego męża, babkę... Dowiedziałam się o tym, jak

zginął mój ojciec i jakie potworności wyczyniała moja matka.
Porwano mi córkę...

Tomaso gwałtownie się odwrócił i rzucił się na Zoję, jakby chciał ją uderzyć.

- ZAMKNIJ SIĘ! ZAMKNIJ GĘBĘ! - wrzeszczał na całe gardło, opluwając się śliną, którą otarł rękawem.

Zoja odskoczyła w ostatniej chwili. Krzesło, na którym siedziała, z głośnym hukiem uderzyło o podłogę. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Serge podbiegł do Tomasa, złapał go za ubranie i pośród huku rozbijających się o podłogę kubków i talerzy przygwoździł do stołu.

- TOMASO! OBUDŹ SIĘ! OTRZAŚNIJ SIĘ Z TEJ ILUZJI, W KTÓREJ TKWISZ, BO NIC DO CIEBIE NIE DOCIERA!!!

- wydarł się, patrząc przerażonemu Tomasowi prosto w oczy. -
TWÓJ OJCIEC ZDRADZIŁ BRACTWO! SŁYSZYSZ?! TO
ON ROZPĘTAŁ CAŁE TO GÓWNO! - dodał Serge.

Nagle zabrał ręce od Tomasa, po czym wycofał się w stronę okna. Trzęsącą się ręką wyjął z kieszeni paczkę czerwonych marlboro i zapalił jednego. Mimo że uchylił okno, pokój wypełnił lekki zapach tytoniu.

- No już, spokojnie, panowie... - odezwał się Dulli. Podszedł do Tomasa, próbując pomóc mu pozbierać się ze stołu, ale ten go odepchnął.

- Poradzę sobie! - warknął Tomaso.

Zsunął się z blatu i stanął, nie odrywając wzroku od pleców Serge'a. Zachowywał się tak, jakby w pokoju nie było nikogo poza nimi. Dullemu, który wciąż wyglądał na zszokowanego tym, co się stało, nie pozostało nic innego, jak się wycofać. Tak też zrobił; szybko znalazł sobie krzesło. Zanim usiadł, na wszelki wypadek odsunął je z dala od rozwścieczonego Tomasa.

Podobnie

jak

Dulli,

Zoja

zapagnęła

ukryć

się

w najciemniejszym kącie pokoju i przeczekać. Błada ze strachu, przysiadła na podłodze pod ścianą. Nie mając pojęcia, co jeszcze może się

wydarzyć między Tomaszem a Sergem, przeczuwała najgorsze. Czuła się tak, jakby ktoś wylał jej na głowę wiadro lodowatej wody i wystawił ją na silny mróz.

Nie sądziłam, że tak się to skończy... - pomyślała ze smutkiem, przypominając sobie, jak jeszcze chwilę temu, siedząc w samochodzie, wspólnie ustalali plan działania. Gdyby wtedy ktoś powiedział jej, że oskarżenie ojca Bruno rzucone pod adresem Pietra jednak było prawdziwe, nie uwierzyłaby. Ale teraz... teraz wszystko stało się możliwe, jak w koszmarze, z którego nie można się obudzić...

Papież usiadł na kanapie i wlepił wzrok w ścianę. Serge odpalał jednego marlboro od drugiego, gasząc w połowie i wyrzucając za okno.

- Skoro już zacząłeś, powiedz mi, co wiesz. Mam prawo wiedzieć - głos Tomasa wypełnił pokój niczym uderzenie w gong. Zupełnie jakby stojąc w dwóch narożnikach, on i Serge rozpoczynali właśnie kolejną rundę walki.

Znowu się zaczyna - pomyślała Zoja, z niepokojem zerkając na Serge'a.

Napięcie, które towarzyszyło mu jeszcze kilkanaście sekund temu, nagle z niego zeszło. Czuł się wypompowany.

Rozgoryczony. Zaczął nawet żałować, że w ogóle dał się sprowokować Tomaszowi. Zgasił papierosa. Wypuścił powietrze z resztką dymu i machnięciem ręki odgonił białawy obłoczek unoszący się w powietrzu. Zamknął okno i pierwszy raz po całym zajściu spojrzał na Tomasa.

- Na początku stycznia byłem w Warszawie - zaczął mówić Serge, przerywając ciszę panującą w pokoju. - Doskonale

pamiętam ten dzień, bo akurat wtedy przywieźliśmy malowidło świętej Anny do Galerii Faras. Stałem w galerii, wpatrując się z dumą w jej zagadkową twarz, w palec przytknięty do ust, dokładnie wiedząc, jak wielką tajemnicę ukrywała i ile wysiłku włożyła w pomoc Marii Magdaleny i pozostałym członkom Bractwa Chryzmonu. Byłem z siebie naprawdę dumny.

Włożyłem w stworzenie tej galerii mnóstwo pracy... - Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, ale zaraz zniknął. - Nagle zadzwonił telefon. Oczywiście, nie miałem zamiaru odbierać.

Chciałem jedynie zerknąć, kto to. Na wszelki wypadek. Byłem zdziwiony, widząc, że to ojciec Bruno. Nie mieliśmy kontaktu od dobrych kilku miesięcy, więc od razu przyszło mi do głowy, że skoro dzwoni, może chodzić tylko o jedno. O Zoję.

Wyszedłem na korytarz i odebrałem. - Serge zrobił pauzę i ciężko

westchnął. - Teraz, kiedy o tym myślę, wiem, że to właśnie tamta chwila sprawiła, że wszyscy musimy przeżywać cały ten koszmar. Oczywiście powinienem był to przewidzieć.

Wszyscy powinniśmy byli wykazać się większą czujnością, ale zgubiła nas pycha. Sądziliśmy, że skoro udało nam się przekonać kardynałów do wyboru Augustina na papieża, wreszcie odzyskamy kontrolę nad tym, co dzieje się w Watykanie. Problem w tym, że nie doceniliśmy sprytu ludzi „brunatnego biskupa”, Aloisa Hudala. Kardynałowie Giovanni i Angener to spadkobiercy jego nazistowskiej działalności, którą jak truciznę rozlali po Watykanie, kontynuując jego dzieło, ba, nawet w wielu sprawach przewyższając mistrza! Hudal, sam będąc jednym z pierwszych członków NSDAP, nigdy, przenigdy nie odwrócił się od nazizmu. Pod boki kolejnych papieży stworzył struktury, których mogliby pozazdrościć mu najlepsi szpiedzy. W Watykanie do dziś stoi kościół nazistów, z orłem Rzeszy i koroną na iglicy... - Serge pokręcił głową. -

Mój Boże, jak mogliśmy pozwolić im tak się rozwinąć... - westchnął i na chwilę zamilkł, jakby nad czymś się zastanawiał.

W końcu powrócił do przerwanej wątku ojca Bruno. -

Tamtego dnia w muzeum rozmawialiśmy krótko. Wyczułem w jego głosie ogromne zdenerwowanie. Powiedział mi, że Gołda Nowak przywiozła mu do Montségur list od Zofii Trocińskiej, w którym nie było niczego poza prośbą o natychmiastowe spotkanie. Najbardziej zadziwiające było to, że Zofia chciała zobaczyć nas WSZYSTKICH, a nie tylko ojca Bruno. Nie widzieliśmy się przez ponad dziesięć lat, więc skoro poprosiła o to właśnie w tej chwili, musiało chodzić o coś bardzo poważnego. Spotkaliśmy się w Łodzi trzy dni później.

Zadziwiająco szybko, zwłaszcza że każde z nas miało swoje życie, wypełnione codziennymi sprawami do tego stopnia, że przez te lata zdążyliśmy już zapomnieć o łączącej nas tajemnicy.

Ja i ojciec Bruno przyszliśmy jako pierwsi. Zofia już tam była.

Siedziała w hotelowym lobby, uśmiechnięta, ale całkiem inna, niż ją zapamiętałem. Jak zawsze była elegancka i pełna wdzięku, ale jej twarz... Było w niej coś... smętnego, tak, właśnie tak, smętnego, wręcz ponurego, jakby jej wewnętrzny ogień nie palił się, ale tlił resztką siły woli. Gołda przyszła zaraz po nas. Potem Piotr. Na końcu Pietro. Strasznie się spóźnił i nawet nie próbował się wytłumaczyć. Po prostu przysiadł się do stolika, przy

którym siedzieliśmy, zamówił butelkę białego wina i jakby nigdy nic włączył się do rozmowy. - Serge zawiesił głos.

- Gdybym wiedział... gdybym choć przypuszczał, że właśnie tego dnia, kilka godzin wcześniej nas zdradził... - Pokręcił

głową, w oczach zaszklily mu się łzy. - To było krótkie spotkanie. Krótkie i przykre. Zofia bez ogródek wyznała, że zostało jej pięć, może sześć miesięcy. I że postanowiła odnaleźć wnuczkę. Esterę, gwiazdeczkę „jej gwiazdkę z nieba, do której

jej tęskno”, takie dokładnie były jej słowa. Ojciec Bruno obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby spełnić jej życzenie. Oczywiście doskonale wiedział, zresztą nie tylko on, wiedzieliśmy wszyscy, ja, Gołda, Piotr i Pietro, że Estera, czyli Zoja, żyje i ma się dobrze, i że z dnia, w którym zginął jej ojciec, nie pamięta ani jego, ani niczego innego, o babce Zofii nie wspominając. Było we mnie tyle złości, kiedy ojciec Bruno zabronił mi powiedzieć Zofii o tym, że jej wnuczka żyje, ma dziecko, że po tym wszystkim, co wydarzyło się, gdy była małą dziewczynką, zdołała jakoś posklejać swoje życie. Teraz sędzę, że ona właśnie tego chciała, że gdybyśmy powiedzieli jej prawdę o tym, że Zoja nawet jej nie pamięta, zrozumiałaby.

Może wystarczyłyby jej zdjęcia albo rozmowa, krótkie spotkanie, zupełnie jak z obcą osobą. Przecież Zoja nie musiałaby wiedzieć, kim jest ta kobieta. Można było zrobić tak wiele... było tyle sposobów. Ale ojciec Bruno nie pozwolił na nic. Zabronił nam mówienia Zofii o czymkolwiek, co dotyczyło Zoi. Kolejne tygodnie mijały, a my wciąż ją okłamywaliśmy.

„Nie, Zofio, jeszcze nie, och tak, robimy wszystko, co się da, nie martw się, znajdziemy ją...” - głos Sergeà zaczął się łamać. -

A Zofia przyjmowała to wszystko w milczeniu. I za naszymi plecami przygotowywała dla Zoi znaki i wskazówki, dzięki którym chciała przekazać jej wszystko, co zatailiśmy przed nią przez te wszystkie lata. Razem z Gołdą przerobiły jeden pokój w mieszkaniu na Przemysłowej na kaplicę, upodabniając ją do groty, dokładnie tej, do której zaprowadził Zoję Pietro w La Sainte-Baume. Do dziś nie wiem, jak Zofia to zrobiła, ale udało jej się zamówić u kogoś kopię malowidła świętej Anny.

Wykorzystała je jako kolejny znak, drogowskaz, który miał doprowadzić Zoję do mnie, do Muzeum Narodowego. Zofia wiedziała, że szykujemy otwarcie Galerii Faras, opowiadałem

jej o tym wiele razy i muszę przyznać, że wykorzystała to bezbłędnie. Wręczyła Gołdzie szkatułę z Gwiazdą Dawida, prosząc, żeby gdy tylko Zoja

się u niej zjawi, oddała ją w jej ręce. W swoim domu na Kopcińskiego urządziła swój gabinet, jakby przewidziała, że Zoja się tam zjawi i zechce odszukać listy, notatki i dokumenty z banku Begelin & Co.

- Skąd mogła to wiedzieć, skoro nie miała ze mną żadnego kontaktu i nie była nawet pewna, czy żyję, nie mówiąc o tym, że mogłam nigdy nie przyjechać do Łodzi... - wtrąciła nagle Zoja, przerywając Serge'owi.

- Och Zoju... Ona wiedziała, że będziesz w Łodzi.

Wiedziała, że będziesz chciała poznać prawdę - odpowiedział

Serge łamiącym się głosem. Wsunął rękę do kieszeni bluzy i wyjął z niej złożoną na pół kremową kopertę opatrzoną czerwonym lakiem w kształcie chryzmonu. - Na wszelki wypadek dała mi list, który miałem ci przekazać po jej śmierci.

Zoja zrobiła wielkie oczy.

- List? To dlaczego nie dałeś mi go wcześniej? Dlaczego dopiero teraz...

- urwała Zoja. Gula w gardle urosła jej do tego stopnia, że nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Serge podszedł i podał jej kopertę. Wzięła ją, nie bardzo wiedząc, co ma robić.

- Jeśli chcesz go przeczytać... - zaproponował Serge, ale Zoja przerwała mu w pół zdania.

- Jedyne, czego teraz chcę, to usłyszeć dalszy ciąg tej przekłętej historii. I chyba nie jestem jedyna. - Spojrzała na Tomasa, Dullego i papieża, licząc na to, że ją wesprą.

- Tak, właśnie, też chciałbym wiedzieć - powiedział

odważnym tonem Dulli, posyłając Zoi porozumiewawcze spojrzenie.

Jedyną osobą, która zdawała się być obojętna, był papież.

Siedział na kanapie wciąż w tej samej pozycji. Mając na wpół przymknięte oczy i złożone dłonie, którymi podpierał podbródek, wyglądał, jakby się modlił albo przysypiał.

- No więc... - odezwał się Serge, zmuszony do kontynuowania wyjaśnień. - Jak już powiedziałem, Gołda pomagała Zofii. Złamała przyrzeczenie dane ojcu Bruno i wyznała jej, że Zoja żyje i ma dziecko. Nie zdradziła, gdzie jest, bo o tym wiedzieliśmy tylko ja i ojciec Bruno, ale nie zmieniło to faktu, że Zofia czekała na Zoję, coraz bardziej wierząc w to, że Gołdzie uda się z nią skontaktować i przekazać jej prośbę o kontakt. Kiedy powiedziałem Gołdzie, co robi ojciec Bruno, jeśli się dowie o tym, co robi,

wystraszyła się do tego stopnia, że zaczęła mi donosić o wszystkim, co dzieje się w domu Zofii. W ten sposób dowiedziałem się, że jedną z osób, która odwiedza ją najczęściej, jest Pietro. W lutym przylatywał

do niej z Marsylii aż trzy razy. W marcu pięć. Po jego ostatniej wizycie Zofia trafiła do szpitala. Wtedy nie miałem pojęcia, co się za tym kryje, nie śmiałem nawet pomyśleć, że mogło chodzić o coś tak straszego...

- Nie, nie, to niemożliwe... - przerwał mu nagle Tomaso. -

Mój ojciec nigdy by czegoś takiego nie zrobił...

- To nie twój ojciec zabił Zofię - odpowiedział Serge. - Twój ojciec tylko wpuścił do jej domu chłopców z Wiking-Jugend.

Podał im adres, to wszystko.

- Ale dlaczego? Po co miałyby to robić? Przecież sam powiedziałaś, że byliście przyjaciółmi, że przez tyle lat... -

spytała Zoja, zanim Serge jej przerwał.

- Nedorzeczne, prawda? A jednak. Była w tym czysta matematyka.

Korzyść za korzyść. Pietro czuł, że się starzeje, że lada chwila straci resztkę sił. Poświęcił całe życie, żeby łapać

nazistowskich zbrodniarzy, i uznał, że ma ostatnią chwilę, żeby dokończyć zadanie. Skontaktował się z nim ktoś, kto miał

kontakt

w najwyższych

władzach

w Consortium

de

Levensboom, należącym do Holenderki Florentine Rost van Tonningen.

Ta organizacja stanowi główny punkt kontaktu wszystkich międzynarodówek wielbiących Hitlera. Dzięki kontaktom z nimi Pietro bez trudu uzyskał sporo informacji, w tym takich, o które bez skutku zabiegał przez wiele lat. Na jednym ze spotkań dogadali się. Pietro, kardynał Angener reprezentujący nazistowskie podziemie Watykanu, Thies Ingoborn z organizacji „Cicha Pomoc” i pewien młody prawnik, Heinrich Winckler. Pietro miał podać im adres, pod którym ukrywa się Zofia Trocińska, pomóc im namierzyć jej wnuczkę i córkę, a potem pomóc im dostać to, czego nie mogliby dostać, działając samodzielnie - Ewangelię Apostolic. W zamian dostał

dokładne adresy i dowody zbrodni kilkunastu wysokich rangą nazistów.

Jednym z nich był Adolf Rielke, ksiądz, który ukrywał

się w parafii świętej Anny w Monachium przez ponad trzydzieści lat. I na

którym osobiście wykonałem wczoraj wyrok śmierci.

- Jezu Chryste, a więc to pan wpadł do tego kościoła w Monachium i zastrzelił księdza!

-

krzyknął
Dulli

i z przerażenia aż złapał się za głowę.

- To nie był ksiądz, tylko nazista - skwitował Serge.

Papież poderwał się z kanapy i wycelował oskarżycielsko palec w jego pierś.

- A jakie miałeś prawo, żeby to zrobić? Kto pozwolił ci odegrać rolę Boga?! - rzucił, prawie krzycząc.

- A jakie oni mieli prawo, żeby mordować niewinne dzieci?!

Żeby odbierać je rodzicom i oddawać do ośrodków Lebensborn?

Kto dał im prawo do przeprowadzania na nich potwornych

eksperymentów? I jeszcze kto daje im prawo, żeby wciąż mogli to robić, bezkarnie, za cichym przyzwoleniem światowych mocarstw! Nie zapominaj, Augustin, że to nasze bractwo pomogło Hitlerowi dojść do władzy... Że gdyby nie nasze przyzwolenie, gdyby nie wsparcie, jakiego udzieliliśmy Łoży Braci Światła, nie byłoby ani Rosenberga, ani Himmlera, ani Führera, ani całej reszty tych szaleńców!

- Oooo... Mój drogi! - Papież pokręcił głową. - Ten przykład to już za wiele... Zbyt mocne oskarżenie... Dobrze wiesz, że nie zawsze da się przewidzieć, dokąd doprowadzą dobre intencje...

- BŁAGAM! - wrzasnęła nagle Zoja, wywołując konsternację pozostałych. - Rozumiem, że to, o czym mówicie, jest dla was... - poprawiła się. - Dla nas wszystkich ważne, ale chciałabym dowiedzieć się, co mają wspólnego członkowie Wiking-Jugend ze śmiercią mojej babki... - skończyła łagodniejszym tonem, posyłając Serge'owi błagalne spojrzenie.

W dłoni wciąż trzymała kopertę z listem.

- Słodcy chłopcy z Wiking-Jugend wpadli do domu twojej babki na herbatę... - wyjaśnił Serge. - Przy okazji wstrzyknęli jej krew chorego na malarię typu tropica, czyli najgorszą z możliwych. Problem w tym, że wcale nie chcieli jej tym zaszkodzić, ale pomóc. Tak samo jak pewien znany lekarz, który za leczenie malarią chorych pacjentów, głównie tych ze szpitali psychiatrycznych, dostał w 1927 roku nagrodę Nobla, a którego wiedzę

wykorzystali później naziści do prowadzenia dalszych „badań” na ludziach najpierw ze szpitali psychiatrycznych, a potem na więźniach obozów. Rozumiecie? Znani i uznani po wojnie lekarze pracowali w obozach nad wykorzystaniem malarii nie tylko, żeby zabijać, ale też żeby leczyć. Mniejsza z tym, że nikomu tym nie pomogli. Jednak wyniki ich badań są w obiegu do dziś i znam wielu, którzy wciąż korzystają nie tylko

z nich, ale na przykład ze spreparowanych szkieletów karłów albo głów noworodków i małych dzieci...

- Przestań, Serge! To okropne! - przerwała mu Zoja, wykrzywiając twarz z odrazą.

- Ale ja mówię prawdę. Słoiki z oczami, głowami, embrionami stoją wciąż na półkach w Instytucie Antropologii, Teorii Ludzkiego Dziedziczenia i Eugeniki im. Cesarza Wilhelma w Berlinie! O innych miejscach nawet nie wspomnę... - podsumował Serge, widząc po minach pozostałych, że to, co mówi, wprawia ich w osłupienie.

- Czyli co się stało z moją babką po tym, jak wstrzyknęli jej malarię? - dopytywała Zoja.

- Po trzech dniach zapadła w śpiączkę. Organizm wycieńczony rakiem nerki i przerzutami do wątroby nie wytrzymał...

- Ale lekarze w szpitalu powiedzieli mi, że przedawkowała opium! - powiedziała Zoja, przypominając sobie dokładnie przebieg rozmowy z lekarzami; jednym, który wykonywał

sekcję zwłok, i drugim, Krzysztofem, którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć. - Ten onkolog, Krzysztof... nie pamiętam nazwiska, Jakiś tam, powiedział wyraźnie, zresztą nawet gdyby chciał kłamać, miał przed sobą jej kartę choroby, przecież mogłam w każdej chwili chcieć ją zobaczyć, powiedział, że przyjęli ją na oddział na początku kwietnia w dobrym stanie, że faktycznie miała raka, przerzuty też, ale że miała przyjąć kolejną dawkę chemii...

- To bzdury. - Serge machnął ręką. - Na polecenie ojca Bruno osobiście dopilnowałem, żeby obydwaj dobrze odegrali swoje role. A nawet gdybyś zażądała historii choroby, była sfałszowana, więc nic by ci to nie dało.

- Jak mogliście!!! - wyszczała Zoja z wściekłością.

- Musieliśmy. I bez tego już wcześniej wszystko przestało się układać. Nic nie szło tak, jak powinno. I jeszcze te klucze od domu i notes. Naprawdę modliłem się, żebyś nie wyczuła w tym podstępu. Od początku mówiłem, że

to zbyt proste, żeby lekarz dał obcemu facetowi, do tego księdzu, klucze i notes, które niby to znalazł na podłodze przy łóżku chorej chwilę przed tym, jak zjawił się prokurator... - Serge zrobił przerwę, potarł kark, próbując rozmasować skurcz spowodowany zbyt długim staniem w zgarbionej pozycji. - Ehhh...Nie było żadnego prokuratora, żadnej policji. Kiedy po szpitalu rozniosła się wiadomość, że chora zmarła na malarię, musieli szybko zatuszować sprawę. W takich sytuacjach nikt nie chce rozgłosu.

Zoja wstała z podłogi, podeszła do stołu i nalała do szklanki wodę z dzbanka. Wrzuciła plaster cytryny i wypila duszkiem.

Zaschło jej w ustach. Nie miała już siły pytać, słuchać, analizować. Mimo to czuła, że musi, po prostu musi doprowadzić tę rozmowę do końca, zanim przeczyta list, który przed chwilą położyła na stole, a który teraz znów wzięła do ręki, przesuwając palce wzdłuż chropowatej powierzchni koperty. Nagle pojawiła się w jej głowie pewna myśl. Czyżbym właśnie przyłapała Serge'a na kłamstwie? - pomyślała, spoglądając na niego wzrokiem Sherlocka Holmesa.

- A jak wytłumaczysz to, że ojciec Bruno zadzwonił do mnie do Nowego Jorku dwa tygodnie przed jej rzekomo nagłą śmiercią?

Serge zrobił zaskoczoną minę.

- Zaraz... - powiedział i podszedł do stolika przy drzwiach wejściowych, biorąc do ręki stojący na nim kalendarz. - Zofia zmarła dokładnie czwartego kwietnia. I to ja, a nie ojciec Bruno zadzwoniłem do ciebie jeszcze tego samego dnia, u nas to był

wieczór, u ciebie wczesne przedpołudnie. Kupiłem ci bilet na lot z Nowego Jorku do Warszawy...

- Tak, zgadza się - potwierdziła Zoja. - Bilet dostarczył kurier kilka godzin po naszej rozmowie. Powiedziałeś mi wtedy, że miałam w Polsce babkę i że od dłuższego czasu próbowała mnie odnaleźć. - Zoja głośno przełknęła ślinę. W gardle znów jej zaschło. - Potem dodałeś, że zmarła nagle i że jej ostatnią wolą było, żebym przyleciała na jej pogrzeb. Nie uwierzyłabym w to, gdyby nie wcześniejsza rozmowa z ojcem Bruno. Potwierdziłeś jego słowa i tak jak on powiedziałeś, że bilet na samolot dostarczy mi do domu kurier.

- Ta osoba, która do ciebie dzwoniła, to nie był ojciec Bruno... - Serge pokręcił głową, przesuwając palec po kartce kalendarza nieco wyżej, zatrzymując go na marcu. - Jeśli mówisz, że to było dwa tygodnie wcześniej,

a Zofia zmarła czwartego, to znaczy, że musiał to być dwudziesty pierwszy marca. Pietro był u niej w domu po raz ostatni dziewiętnastego.

Ludzie z Wiking-Jugend zjawili się następnego dnia wieczorem... Tak...

- Skinieniem głowy Serge potwierdził

swoje przypuszczenia. - To by się zgadzało - podsumował

i spojrzał na Zoję z przejęciem. - Z całą pewnością zadzwonił do ciebie ktoś od nich. Po tym jak Pietro zdradził im to, co w tajemnicy powiedziała mu Zofia, że żyjesz gdzieś w Stanach, bez trudu wpadli na twój trop. Zoja! - wykrzyknął, jakby nagle doznał olśnienia. - To wszystko zaczyna do siebie pasować! -

odwrócił głowę, spoglądając w okno, i zamyślił się na kilka sekund. -

Tak, teraz rozumiem. Rozumiem, dlaczego nasza rozmowa przez telefon była taka. . . krótka... i taka formalna.

To, co mówiłaś, ton twojego głosu sprawiały wrażenie, jakbyś doskonale o wszystkim wiedziała i jakby wcale cię to nie poruszyło.

- Dziwisz się? - odpowiedziała pytaniem Zoja. - W ciągu dwóch tygodni zadzwoniły do mnie trzy osoby, informując mnie o tym, że zmarła mi babka, o której istnieniu nie miałam zielonego pojęcia, bo wymazaliście mi pamięć! Najpierw ktoś, kto podał się za ojca Bruno, potem ty, a na końcu jakaś kobieta...

- Kobieta?! - zdziwił się Serge.

- No tak, kobieta. Nie przedstawiła się i zapytała tylko, czy na pogrzebie będzie moja matka. Odpowiedziałam, że nie, a wtedy ona rzuciła słuchawkę. Jeszcze tego brakowało, żebym musiała tłumaczyć się przed jakąś obcą babą z tego, że jestem sierotą... To znaczy wtedy myślałam, że jestem - poprawiła się Zoja, po czym pokręciła głową z rezygnacją. - Chwilami się w tym wszystkim gubię. Mieszają mi się fakty, wydarzenia, a także to, kto jest kim i czego właściwie ode mnie chce... -

Zerknęła na kopertę z listem w swojej lewej dłoni, która stanowiła niezbity dowód, że jej życie zmienia się z sekundy na sekundę, a wszystko przybiera coraz bardziej nieoczekiwany obrót.

Kto do diaska by się w tym połapał?! - przebiegło jej przez myśl.

- Zgadza się z tobą całkowicie, Zoja. Zbyt wielu ludzi było i jest zamieszanych w tę sprawę. Powiniennem był przewidzieć, że każdy, kto znał twoją babkę, będzie próbował wykorzystać cię do swojego celu - odpowiedział przepaszającym tonem Serge i spojrzał na Zoję tak, jakby

prosił ją o wybaczenie.

- Nie patrz tak na mnie! - warknęła na niego.

- Nie powinienem był dzielić się z Gołdą swoimi emocjami po naszej rozmowie przez telefon... Mój błąd, kolejny... -

powiedział ze smutkiem Serge.

Zoi nagle wyświetliły się przed oczyma obrazy z przeszłości.

Ona i Gołda Nowak w pokoju w robotniczym hotelu, dzień po tym, jak budynek przy Przemysłowej wyleciał w powietrze.

Wściekłe spojrzenie Gołdy, to, co mówiła, i to, że na sam koniec przeklęła ją Bóg jeden wie za co...

- Co takiego jej powiedziałeś?

- Raz, jeden jedyny, zwątpiłem. Właśnie wtedy, po naszej rozmowie przez telefon. Byłaś taka zimna, tak zdystansowana, tak całkowicie pozbawiona choćby cienia emocji, że przez chwilę, ale tylko przez chwilę... zaczęłaś mi przypominać swoją matkę. Ona też, po tym jak poleciała do Argentyny i wróciła do Europy, związując się z siostrą Hummel i Stille Hilfe, zaczęła się tak zachowywać.

- Czyli jak? - dopytywała Zoja, czując, jak wzbiera w niej fala złości. Nie mogła uwierzyć, że Serge w nią zwątpił.

Owszem, kiedy rozmawiali przez telefon, nie znał jej na tyle dobrze, żeby móc ocenić, że NIE JEST TAKA JAK JEJ

MATKA, ale mimo wszystko...

- Czyli bezlitosna. Zimna. Opanowana. Nauczona, że nie wolno okazywać emocji. Dokładnie tak zachowywały się Gudrun, siostra Hummel, siostra Marta, a przez to, że do nich przystała, także twoja matka...

- UZNAŁEŚ, ŻE JESTEM NAZISTKĄ? - wrzasnęła Zoja.

Ze złości zachciało jej się krzyczeć. Czuła się tak, jakby nagromadzone emocje w każdej chwili mogły spowodować, że dosłownie wybuchnie.

- Tak - potwierdził Serge.

- I powiedziałeś o tym Gołdzie?

- Niestety. I dlatego jestem pewien, że to ona do ciebie zadzwoniła. Poza mną i ojcem Bruno była jedyną osobą z bractwa, która dostała twój adres i numer telefonu. Podałem go

jej po śmierci Zofii... na wszelki wypadek. - Serge zrobił kilka kroków w stronę Zoi i wyciągnął rękę, jakby liczył na to, że uda mu się ją przeprosić. - Zoja, ja naprawdę nie wiem, jak mogłem tak pomyśleć... To był impuls...

Jedna chwila.

Zoja odepchnęła jego rękę i odeszła na bok, stając kilka kroków od Tomasa. Koperta z listem wypadła jej z ręki. Dulli podbiegł i podniósł ją, po czym podał Zoi. Wyrwała mu ją z ręki i złapała w pół, robiąc taki ruch ręką, jakby zamierzała ją podrzeć. Dulli w ostatniej chwili złapał jej dłoń.

- Nie rób tego - powiedział ostrzegawczym tonem. - Kiedy przejdzie ci złość, będziesz żałowała, że nie dałaś jej szansy, żeby mogła wyznać ci to, czego nie zdążyła ci powiedzieć.

Zoja zaczęła płakać. Z początku łzy spływały po jej drżących policzkach, ale w końcu nie wytrzymała i wybuchnęła głośnym szlochem.

- WSZYSCY WZIEŁIŚCIE MNIE ZA JEDNĄ Z NICH. - Ze łzami w oczach spojrzała z wyrzutem na Serge'a, Dullego, Tomasa i papieża. - Tylko jedna jedyna Gołda ośmieliła się wykrzyknąć mi to prosto w twarz... - otarła ręką łzy z policzków. - Po tym jak opowiedziała mi, co naziści zrobili z jej matką w Auschwitz, jak pozwolili jej wyciągnąć z pieca jej głowę z warkoczem, którą potem okładała ją jak batem funkcjonariuszka na placu... Po tym jak opowiedziała mi o pewnym chłopcu z obozu dla sierot na Przemysłowej, którego inne dzieci rozszarpały żywcem za bochenek chleba... - Zoja pokręciła głową, ocierając ręką łzy. - Było w niej tyle złości, tyle żalu... Nie miałam pojęcia, dlaczego akurat mnie chciała o tym opowiedzieć, dlaczego akurat wtedy... Potem powiedziała, „Uratowała mi życie, a teraz ty uratuj moje. Zabierz to, czego ci trzeba, i odejdz. . .”. - Zoja zacisnęła pięści i zaczęła wrzeszczeć na całe gardło. Miała w tej chwili gdzieś

to, czy będzie ją słyszeć w całym hotelu. - SKĄD MOGŁAM WIEDZIEĆ, ŻE TO JAKIEŚ PRZEKLĘTE HASŁO, NA KTÓRE TRZEBA ODPOWIEDZIEĆ WERSAMI Z KSIĘGI KOHELETA!!! - załkała i nie mając siły dalej krzyczeć, ściszyła głos zachrypnięty od wyrzucania emocji. - To, że nie odpowiedziałam, było dla niej kolejnym dowodem na to, że Serge miał rację. Zaczęła rzucać wyzwiskami, przeklinać mnie i moje dzieci... Kiedy wybiegłam z pokoju, krzyczała za mną „Hitler won!”.

- Zoju... - odezwał się Serge, wykorzystując to, że Zoja łkając, podeszła do stołu po serwetkę, żeby wysmarkać nos.

Papież nagle wstał z kanapy. Zmierzył Serge'a srogim spojrzeniem, jakby chciał go ostrzec.

- Nie mów jej! Zabraniam ci! - rzucił ostro. - Ona nie musi tego wiedzieć!

- Musi! - odpowiedział Serge, nawet nie patrząc w jego stronę. - Gołda Nowak zaraz po twoim wyjściu wyskoczyła z okna.

Zoja oderwała chusteczkę od nosa i gwałtownie się odwróciła.

- To straszne - powiedziała. Jej oczy znów zasły łzami. Była pewna, że Gołda popełniła samobójstwo, tamtego feralnego dnia, zaraz po ich spotkaniu. Owszem, kuląc się pod ścianą budynku, usłyszała, jak coś wypada z okna i uderza o ziemię, ale nie sądziła, że to Gołda...

- Myślicie, że to moja wina? Że gdybym nie poszła do niej wtedy...

- Nawet tak nie myśl! - uciął zdecydowanym tonem Serge.

- Widzisz? - wtrącił z ponurą satysfakcją papież i z powrotem usiadł na swoje miejsce. - Właśnie dlatego prosiłem, żebyś jej o tym nie mówił.

- I tak prędzej czy później by się dowiedziała - odpowiedział

Serge. - A śmierć Gołdy... - pod wpływem karcącego spojrzenia papieża urwał w pół zdania. - W każdym razie od początku wszystko nie szło zgodnie z planem - szybko zmienił temat. -

Zoja przyleciała do Warszawy o dzień za wcześnie. Miała dotrzeć do Łodzi w poniedziałek nad ranem, a zjawiła się w niedzielę. Teraz już wiem, że ktoś dostarczył jej bilet na wcześniejszy lot, bo CHCIAŁ, żeby zjawiła się w Sobótce Nowej, kiedy był tam tylko Piotr. Zanim zdążyłem się tam zjawić, wprowadził w życie swój plan, całkiem inny od tego, który krok po kroku ustalaliśmy z ojcem Bruno. To mój kolejny błąd. Nie domyśliłem się, że Piotr robi to, co każe mu kardynał

Giovanno. Od początku donosił o wszystkim nam i jemu...

- Czyli nie tylko mój ojciec okazał się niegodny - zauważył Tomaso.

- Twój ojciec działał z zupełnie innych pobudek - powiedział papież, nagle włączając się do rozmowy. - Pietro za wszelką cenę chciał ukarać zbrodniarzy. Nie sądzę, żeby spotykając się z nazistami, zdawał sobie sprawę, że cel nie zawsze uświęca środki - westchnął smutno. - Jeśli chodzi o Piotra, bez wątpienia dał się omamić. Pamiętasz, Serge, kilka miesięcy temu mówiłem ci o tym, jak spotkałem go pod drzwiami kościoła Santa Maria dell' Anima.

- Tak, pamiętam - potwierdził smutno Serge. - Już wtedy powinno nas to było zaalarmować...

- Nie wszystko da się przewidzieć - skwitował papież.

- Ale gdybym w porę się zorientował... - Serge upierał się przy swoim

poczuciu winy. - Choćby wtedy, kiedy Zoja pojechała z nim do mieszkania na Przemysłowej. Udało nam się wysłać za nimi naszego zaufanego człowieka, Jeremiego Mognowida, ale nie mogliśmy wiedzieć, że kardynał Giovanni

poprosił Annę i Ingeborna, żeby oddelegowali kilku ludzi z Wiking-Jugend. Mognowid spóźnił się, dotarł na Przemysłową dosłownie kilka minut po tym, jak Zoja i Piotr wyszli. Zamiast nich zastał w mieszkaniu pięciu zbirów z nazistowskiej młodzieżówki. Jego ciało zostawili w mieszkaniu, wiedząc, że za kilka godzin i tak wysadzą cały budynek.

- A kiedy ty się tam zjawiłeś? - zapytała Zoja.

- Ja? Dopiero w nocy. Stamtąd pojechałem prosto do parafii w Sobótce Nowej... Zostawiłem samochód w lesie, żeby nikt nie widział, że ktoś nowy pojawił się na miejscu. Idąc przez cmentarz od strony szosy, zobaczyłem ciebie. Nie chciałem, żebyś mnie zauważyła, ale było już za późno...

- To byłeś ty? - powiedziała Zoja z niedowierzaniem. - To dlatego ukryłeś twarz pod maską! Kiedy się na mnie natknąłeś, wyszeptałeś „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił” i zaraz potem zniknąłeś... Masz pojęcie, jak bardzo mnie wystraszyłeś?! - oburzyła się.

Serge spłonął rumieńcem, jakby wspomnienie tamtej chwili z jakiegoś powodu wywoływało w nim wstyd.

- Nie widziałem cię przez ponad piętnaście lat - zaczął się tłumaczyć. - Nagle, na tym cmentarzu, w świetle nocy, wydałaś mi się taka podobna do swojej matki...

Słuchając go, Zoja próbowała poskładać w całość to, co wydarzyło się później w Łodzi. Nagle, niczym rozsypane puzzle, dotąd pozornie przypadkowe zdarzenia zaczęły do siebie pasować. Jeśli to Serge był na cmentarzu, to znaczy, że mógł

być także tym, kto potem zjawiał się z pomocą w najgorszych momentach!

- To ty zadzwoniłeś do hotelu, żeby mnie ostrzec - oskarżycielsko wycelowała palec w jego pierś. - Kazałeś mi nie słuchać Piotra, tylko wykonywać twoje polecenia!

- Zgadza się.

- I na parkingu pod szpitalem. Kiedy tamci dwaj agenci wysłani przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego...

Serge uciszył Zoję.

- Oni nie byli w żaden sposób powiązani z ABW - wyjaśnił. -
Obaj byli agentami Służby Wywiadu Zagranicznego Rosji.

Zoja nie mogła uwierzyć, że tak łatwo wskoczył na swoje miejsce kolejny element układanki.

- O rany, no tak... - wyszeptała. - No i następnego dnia w Kancelarii Premiera zjawił się ktoś, kto miał być zaufanym człowiekiem od was, a potem okazało się, że to podstawiony bandyta...

- Szpieg - powiedział Serge. - Władysław Ivan Chercherov, pseudonim „Babuszka”. Chciał zabrać ci mikrodysek, który wykradłaś z sejfu w gabinecie premiera. Ten sam mikrodysek, który później zniszczył Pietro, mówiąc, że całą wiedzę ze znajdującego się na nim raportu FBI ma w głowie i może się nią podzielić za darmo, a nie za te grube miliony, które zapłacił za raport Fiodorow. , Teraz już wiesz, czemu Pietro zniszczył mikrodysek.

- Bo ujawnienie tego raportu przeszkodziłoby mu w realizacji jego planu.

- Zoja pokręciła głową, czując złość na samą siebie.

Jak mogłam mu na to pozwolić? - pomyślała.

- Niestety pozwoliliśmy mu zniszczyć koronny dowód na to, że naziści wciąż działają i prowadzą ośrodki wychowawcze, kontynuując tradycje Hitlerjugend i Lebensborn - Serge potwierdził jej myśli. Z tonu jego głosu dało się wyczuć, że jest na siebie tak samo wściekły jak ona.

- Raport wart dwanaście milionów dolarów - powiedziała Zoja. Na samą myśl ciśnienie znów jej skoczyło. - Wtedy, w Warszawie, w dniu otwarcia Galerii Faras - spojrzała w okno,

jakby dostrzegła w nim zagładające do środka cienie przeszłości - poszłam za ojcem Bruno. Widziałam i słyszałam, jak Fiodorow mówi o tym, że zapłacił za niego właśnie tyle. Nuncjusz się wściekł, kiedy usłyszał, o jaką sumę chodzi. Serge, Rosjanie są w takim razie w to zamieszani tak samo jak Watykan!

- Jeden Rosjanin to nie cała Federacja - Serge wyprowadził Zoję z błędu.

Tomaso stojąc od dobrych kilku minut oparty plecami o stół, wreszcie się od niego oderwał. Przeciągnął się i powiedział, że idzie do łazienki. Kiedy wyszedł z pokoju, papież przywołał do siebie Serge'a i dając mu znak, że ma usiąść obok niego, zaczął

tłumaczyć mu coś konspiracyjnym szeptem, ewidentnie nie chcąc, żeby Zoja usłyszała, o czym mówi.

Chcąc dać im chwilę prywatności, Zoja odwróciła się do stołu, udając, że chce nalać sobie kawy. Dulli zniemacka zjawił się tuż obok niej.

- Widziałem twoją córkę - wyszeptał jej do ucha.

Zoja o mały włos nie wypuściła kubka z rąk.

- Co?

- Tamtego dnia, kiedy doszło do ukrzyżowania. Byłem na dachu Bazyliki. Bardzo dobry rogalik, prawda? - dodał głośno, oglądając się na Serge'a i papieża. Na szczęście wciąż byli zajęci rozmową. - Siedziała w helikopterze, który zawisł nad dachem na kilkanaście sekund, zanim odleciał.

- Skąd możesz być pewien, że chodzi o moją córkę, skoro nigdy jej nie widziałeś.

- Miała przy sobie to. - Wyjął z kieszeni i podał Zoi ukradkiem maleńkiego pluszowego królika z długimi uszami.

Zoja wzięła maskotkę. Nie musiała długo jej się przyglądać, żeby móc ocenić, że zabawka z całą pewnością należała do jej córki. Identyczny, nieco większy miś został w łóżeczku

w hotelowym pokoju. Obydwie maskotki kupiła jej rok temu na urodziny.

- Znalazł ją jeden z chłopców, z grupy turystów, którą akurat wtedy oprowadzałem po Watykanie. Leżała na dachu, niedaleko krzyża, na którym, no, sama wiesz... - urwał Dulli, bo Tomaso właśnie wyszedł z łazienki, a Serge i papież przerwali rozmowę, i zaczęli się im przyglądać.

- Co to za tajemnice? - rzucił Serge, grożąc Dullemu palcem.

Zoja ukryła maskotkę za plecami.

- Takie same jak twoje z papieżem - zripostował Dulli.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Lekkie, leciuteńkie, trzy uderzenia, po nich cisza, i znów trzy.

- Schowajcie się w drugim pokoju! - rozkazał Dulli Zoi i Serge'owi, po czym ruszył w kierunku drzwi.

Papież z trudem wstał i powiedział, że on też woli się schować. Na wszelki wypadek.

- Wracaj do łazienki! - rzucił Dulli, mijając w wąskim korytarzu Tomasa, który zaskakująco chętnie wykonał polecenie.

Zoja i Serge pomogli papieżowi i razem z nim w ostatniej chwili weszli do sypialni i przymknęli drzwi. Zoja pomogła papieżowi usiąść na łóżku, a Serge stanął pod drzwiami, nasłuchując. Odetchnął z ulgą, słysząc, że do

pokoju weszła tylko jedna osoba. Sądząc po jej głosie, była to starsza kobieta.

Wymieniła z Dullim kilka zdań po niemiecku, po czym rozległo się wołanie.

- Panie Magdi! Można pana prosić?

Zoja złapała go za rękaw, próbując go zatrzymać.

- Nie idź tam! To może być jakiś podstęp! - ostrzegła go.

Serge nie miał najmniejszego zamiaru zostać. Lekko uchyliwszy drzwi, wszedł do drugiego pokoju, skinieniem

głowy witając się z kobietą. Tak jak ocenił, była to starsza pani o zdecydowanym wyrazie twarzy. Niska i pulchna, miała rumiane policzki, które zdawały się płonąć ogniem tak żywym, jakby przeskoczył z palników, na których dopiero co gotowała obiad dla gości.

- HerSerge Magdi? - zapytała po niemiecku.

Serge spojrzał na Dullego, jakby nie był pewien, co robić. Nie uważał, żeby wyjawianie jej swoich personaliów było rozsądne.

Zwłaszcza w obecnej sytuacji.

- Niech się pan nie boi. To pani Helga, właścicielka hotelu - wyjaśnił Dulli, chcąc uspokoić Serge'a. - Znamy się od ponad dziesięciu lat. - Jakby na potwierdzenie tego faktu poklepał kobietę po ramieniu i przydusił ją do swojego policzka.

Niemka zaczęła się radośnie śmiać.

- Alles Gut Frau Helga, Alles Gut! - zapewnił ją Dulli, i zwrócił się do Serge'a. - Ona nie zna angielskiego. Uśmiechaj się pan, bo jeśli pomyśli, że coś tu knujemy, wyrzuci nas na zbity pysk! - oznajmił i z przyklejonym uśmiechem uszczypnął

w ramię panią Helgę, która znów roześmiała się w głos.

Serge spróbował się uśmiechnąć, obserwując, jak właścicielka hotelu pulchnymi palcami ociera z oczu łzy, potwierdzając, że dzięki Dullemu ubawiła się po pachy.

Gdybym chociaż wiedział, co ją tak rozśmieszyło - przebiegło Serge'owi przez myśl.

Zwracając się do Dullego, pani Helga płynnym niemieckim przekazała mu wiadomość dla pana Serge'a.

- Ona mówi, że telefonowano do pana z Monachium -

przetłumaczył Dulli. - Niejaki pan Gerard zawiadamia, że będą w hotelu za najdalej dwie godziny. On i kilku przyjaciół

z jakiejś instytucji, której nazwy nie zapamiętała.

- Danke Schon Frau Helga! - zwrócił się Serge do pani Helgi, przyjacielsko szczypiąc ją po ramieniu i puszczając do niej oko.

Pokój znów wypełnił jej gromki śmiech.

Najwidoczniej lubi takie gierki - ocenił Serge, udając, że cieszy się razem z nią.

Pani Helga ze śmiechu dostała czkawki. Stojąc przy drzwiach, z ręką na klamce, odwróciła głowę, czknęła donośnie i oznajmiła, że obiad będzie około pierwszej.

- Powiedziała że... - Dulli znów chciał odegrać rolę tłumacza.

- Wiem, co powiedziała, tyle jestem w stanie zrozumieć -

odburknął pod nosem Serge. Widząc, że pani Helga go obserwuje, posłał jej szeroki uśmiech. - Gut, Gut! Ich bin sehr hungrig - zapewnił ją, kalecząc jej ojczysty język, na koniec poklepując się po brzuchu.

Kiedy kobieta opuściła pokój, Dulli spojrzał na niego z politowaniem.

- Może i rozumie pan po niemiecku, ale mówić nie umie pan wcale. Ich bin sehr hungrig... - powtórzył, chichocząc.

Naśladowując Serge'a, zamasztył ruchem poklepał się po brzuchu. - Ich bin sehr, sehr hungrig Franzos!

- Niech się pan przymknie. Mamy teraz poważniejsze sprawy niż pana wygłupy - uciszył go Serge, po czym poszedł otworzyć drzwi od drugiego pokoju.

Tomaso wyszedł z łazienki.

- No to pięknie... - skwitował.

- Co się dzieje? - zapytała Zoja, trzymając drzwi, żeby Serge mógł pomóc papieżowi dojść z powrotem do kanapy.

Posadził go wygodnie, a potem zapytał, która godzina.

Dulli zerknął na zegarek.

- Dochodzi dwunasta.

- Czyli minęło dziesięć godzin. No cóż... - westchnął Serge.

- Można się było tego spodziewać. Mamy niecałe dwie godziny, zanim zjawi się tu Gwardia Szwajcarska.

Zoja zrobiła skwaszoną minę.

- A można wiedzieć, kto doniósł Gerardowi, gdzie jesteśmy?!

- zapytała Zoja, podchodząc do okna i wyglądając na zewnątrz, jakby bała się, że gwardziści już są na miejscu i otoczyli budynek.

- Ja - oznajmił spokojnie Serge.

- A MOŻNA WIEDZIEĆ PO CO?!

- To chyba oczywiste. Po to, żeby nikt nie oskarżył nas o porwanie papieża...

- I tak nikt by was nie oskarżył. Jestem tu z własnej woli - uspokoił ich papież.

Dulli nagle zniknął za drzwiami sypialni. Wrócił po chwili, ciągnąc za sobą niewielką walizkę na kółkach. Marudząc pod nosem, otworzył ją i zaczął zbierać swoje rzeczy porozkładane tu i ówdzie; notatnik, okulary do czytania i kilka książek, wylądowały jedno po drugim w jej wnętrzu, powiększając bałagan panujący w środku. Zoja, zaciekawiona okładką jednej z książek leżących na wierzchu, podeszła i wzięła ją do ręki.

Angielski tytuł brzmiał *Odyn zamiast Jezusa*. Imię i nazwisko autora wskazywało na raczej nordyckie pochodzenie. Zoja szybko przypomniała sobie, że gdzieś już słyszała o tym człowieku...

- Thies Ingoborn - przeczytała na głos, kartkując książkę. -

Czy to nie jest ten sam człowiek, który przekonał Pietra do współpracy z Cichą Pomocą?

- Zgadza się - potwierdził Serge i podszedł bliżej, zerkając z zaciekawieniem na książkę.

- Lepiej to schowaj - ostrzegł Zoję Dulli. - Ta książka jest w Niemczech na liście dzieł zakazanych. Za jej posiadanie można trafić do więzienia.

- Ale ty ją masz - odpowiedziała, uśmiechając się pod nosem.

- Zdradzisz, po co ci ona?

Dulli bez słowa zabrał Zoi książkę i wrzucił do walizki.

- Nie starczy nam czasu - odpowiedział, zasuważąc zamek w walizce.

Postawił ją pod ścianą i otarł rękawem czoło, wzdychając tak, jakby wykonał właśnie ogromnie ciężką pracę.

- Można wiedzieć, do czego się pan tak spieszy? - rzucił

Serge, obserwując, jak Dulli rozgląda się po pokoju, chcąc się upewnić, czy czegoś nie zostawił.

- Zanim wyjdę, chce zdążyć zjeść. Obiady pani Helgi są wspaniałe, naprawdę godne polecenia. Z tego, co wiem, dziś zrazy z kluseczkami i sałatka z marynowanych ziemniaków. Na deser...

- Chcesz tak po prostu sobie pójść?! - przerwała mu Zoja. -

Po wszystkim, co tu usłyszałeś? Sądziłam, że jesteś tu, żeby nam pomóc!

- Mogę pomóc. Nawet bardzo chcę. Cały kłopot w tym, że jeśli mnie zamkną, na nic się wam nie przydam.

Zoja zrobiła wielkie oczy. Pozostali także.

- Sądziłem że wiecie... - powiedział Dulli. - Powinienem siedzieć teraz w pokoju w Domu Świętej Marty, razem z dziesięciorgiem turystów, którzy byli na dachu Bazyliki Świętego Piotra, wtedy kiedy, no... - znów uciekł od nazwania tego, czego był świadkiem w Watykanie. - Zaraz po tym, jak na dachu zjawili się prokurator i patomorfolog...I cała zgraja żandarmów, wojsko, karabinierzy, gwardziści... Och, kogo tam nie było... - podsumował, przewracając oczami. - Kazali nam usiąść pod ścianą i czekać. Po około godzinie, kiedy nad

naszymi
głowami
przystały
latać
helikoptery
stacji

telewizyjnych, zażądali ode mnie listy z nazwiskami i po kolei zaczęli nas wszystkich przesłuchiwać. Najpierw tych dwóch chłopców, Kane'a i Johnny'ego. Biedne dzieciaki, naprawdę.

Od pierwszej chwili było mi ich szkoda. Przeczuwałem, że zrobią im niezłe pranie mózgu. Po tym jak skończyli, sprowadzili nas pod eskortą na dół, do bazyliki. Tam czekaliśmy kolejne cztery godziny, aż przyszedł dowódca Gwardii Szwajcarskiej i oświadczył, że będziemy musieli spędzić noc w domu dla pielgrzymów. Z jednej nocy zrobił się poranek, potem przedpołudnie... i wciąż nikt nie chciał nam nic powiedzieć. Watykańscy żandarmi nie spuszczali nas z oka.

Byliśmy pod stałą obserwacją, z cogodzinnymi kontrolami w pokojach włącznie. Kiedy uznałem, że coś tu nie gra i nie mam zamiaru być więźniem Watykanu, wykorzystałem okazję i zwałem. Zabrałem z domu kilka rzeczy, w tym belgijski paszport, niech ziemia będzie lekka mojej matce - przerwał na kilka sekund i zrobił w powietrzu znak krzyża, po czym ciągnął

dalej, prawie nie robiąc przerw na wzięcie oddechu. - Nie wspomnę nawet, że ktoś musiał tam być wcześniej, bo wszystko było wywrócone do góry nogami. Nie ma tego złego, bo dzięki temu, że zrobili mi w mieszkaniu kipisz, mogłem przedsięwziąć specjalne środki ostrożności. Zamiast brać swoje auto, pożyczyłem samochód od sąsiada. Pod osłoną nocy

przekroczyłem granicę ze Szwajcarią. Jakimś cudem udało mi się dotrzeć aż tu. Staram się cały czas być jak najbliżej granicy z Belgią - wyjaśnił i zwrócił się do Serge'a. - Właśnie dlatego przez tyle czasu nie mógł się pan ze mną skontaktować.

- Skończmy z tym panowaniem - zapronował nagle Serge.
Dulli zgodził się bez mrugnięcia okiem.

- I to z tego powodu, Serge, nie mogłeś się do mnie dodzwonić. Musiałem zlikwidować stary telefon. W ciągu dwóch dni zmieniałem numer trzy razy.

- Chyba trochę przesadzasz. Nie jesteś ścigany listem gończym... - wtrąciła Zoja.

Nagle do rozmowy włączył się Tomaso.

- Obawiam się, że pan Dulli ma rację. Środki ostrożności wprowadzone po zejściu na dachu Bazyliki Świętego Piotrasą wyjątkowo wyśrubowane, i to delikatnie mówiąc. - Zerknął na papieża, chcąc się upewnić, czy może mówić dalej. Nie widząc z jego strony sprzeciwu, podjął wątek sprzed paru sekund. -

Zaraz po tym jak zdjęto krzyż z podestu, dowiedzieliśmy się, że ukrzyżowana kobieta żyje, a jej pierwsze słowa brzmiały „Heil Hitler”. Nasze służby wywiadowcze natychmiast ostrzegły ojca świętego, że to, co się stało, może mieć bezpośredni związek z listownymi pogrózkami, jakie otrzymuje od jakiegoś czasu...

I jeszcze to, że tego dnia, dokładnie o dziewiątej rano, miało dojść do spotkania papieża i kardynała Giovanni. Od dawna ich relacja była napięta, ale ostatnie tygodnie... to już była niemal otwarta wojna. I nagle kardynał odwołuje spotkanie. Dostaliśmy informacje, że jego helikopter wylądował i minutę później odleciał w kierunku Bazyliki. Widocznie wolał zobaczyć na własne oczy rozmiar tragedii, niż rozmawiać z ojcem świętym...

Zoja drgnęła. Po tym co powiedział Tomaso, od razu przyszło jej do głowy, że być może ktoś z pracowników lotniska widział

Sashę.

- Czy ktokolwiek wspominał coś o dziewczynce w helikopterze? Może ktoś widział ją na płycie lotniska? Albo kamery na watykańskim lądowisku zarejestrowały coś dziwnego?

Tomaso zerknął na nią i pokręcił głową, mówiąc, że niestety nie

przypomina sobie, żeby ktokolwiek doniósł mu, że widział tam dziecko.

- Jedyne dzieci, jakie zapamiętałem, to dwóch chłopców z wycieczki, którzy jako pierwsi dotarli na dach...

Zoja ze smutkiem spuściła głowę. Przez chwilę miała nadzieję, że jeśli ktokolwiek widział jej córkę albo zachowały się jakieś nagrania z lotniska, na których widać dziewczynkę, mogłaby to wykorzystać. Wreszcie miałyby jakiś racjonalny dowód na to, że kardynał Giovanni porwał jej dziecko. A tak wciąż nie ma absolutnie nic, poza słowami świadka, którego wiarygodność przez to, że uciekł z Watykanu, spadła do zera.

Spojrzała na Dullego. Odpowiedział jej kiwnięciem głowy, które miało znaczyć tyle co „będzie dobrze”. Jakoś trudno było jej w to uwierzyć. Mimo to poczuła, że poza Serge'em jest jej jedynym przyjacielem. Zapragnęła podejść i stanąć obok niego.

- O czym on mówi? - zapytał zniecierpliwiona Dulli, kiedy Zoja niechętnie trąciła go ramieniem.

Zoja spojrzała na Tomasa, który właśnie mówił coś o wypadkach z dwiema odciętymi dłońmi, najpierw siostry Hummel, a potem kardynała Angenera.

- Oczywiście wtedy nie mogliśmy wiedzieć, że i odcięcie dłoni zakonnicy, i kardynała, i późniejsze ukrzyżowanie to działanie nie nazistów, ale Bractwa Chryzmonu... - ciągnął

Tomaso, nie zwracając uwagi na zdziwioną minę Dullego.

- Kiedy to się stało? - zapytał Zoję szeptem.

- Ale co?

- Te okaleczenia...

Zoja spróbowała sobie przypomnieć.

- Ja znalazłam dłoń siostry Hummel w poniedziałek, a Pietro... chyba dwa dni później, nie pamiętam dokładnie. -

Zerknęła na Dullego. Wciąż wyglądał na zaskoczzonego. -

Wyglądasz, jakbyś o niczym nie wiedział. Przecież musieli pisać o tym we wszystkich włoskich gazetach...

- Być może. Tyle że ja nie czytam prasy, nie oglądam telewizji, a z Internetu korzystam sporadycznie. Dlatego mogło mi umknąć. Niestety. - Jego twarz przeciął grymas niezadowolenia.

- W tej chwili nie ma to dla nas zbyt wielkiego znaczenia.

Odczytaliśmy symbole i niewiele to dało - spróbowała go pocieszyć Zoja.

- Symbole? Jakie? - zainteresował się Dulli.

Szepcząc, wyjaśniła mu, co wytatuowano w dłoni zakonnicy, którą podrzuciono jej do samochodu.

- Obawiam się, że nie zrobiliście tego jak trzeba -

odpowiedział złowieszczo Dulli i nagle jakby odzyskał werwę.

Nie zwracając uwagi na mówiącego Tomasa, podszedł do walizki i energicznie ją otworzył. Wziął do ręki notatnik, długopis i wrócił do stołu.

- Dlatego uważam, że powinniśmy... - ciągnął Tomaso, łypiąc groźnie na Dullego, który ostentacyjnie okazywał, że wcale nie interesuje go, co ma do powiedzenia.

- Przepraszam! - prawie krzyknął Dulli, ostatecznie odrywając uwagę Serge'a i papieża od Tomasa. - Oświadczam, że zmieniłem plany. Nie będę jadł obiadu, słysząc o odciętych rękach, straciłem apetyt... - wzdrygnął się na samo wspomnienie. - Za to chętnie wykorzystam te kilka chwil spokoju,

które

nam

zostały,

żeby

dowiedzieć

się

WSZYSTKIEGO na temat tych odciętych dłoni.

Serge zbył jego słowa machnięciem ręki.

- To strata czasu. I ja, i Pietro sprawdziliśmy wszystkie symbole. Nie było ich aż tak wiele. I ostatecznie żaden nie naprowadził nas na właściwy trop.

Dulli zazgrzytał zębami.

- Panie Magdi - odezwał się. - Gdyby przy tym stole zamiast mnie siedział Vincenzo Saba Dulli, powiedziała by mu pan to samo co mnie?

- Co za bzdura... - Serge parsknął nerwowym śmiechem, ale szybko zamilkł. Ze zdumieniem spojrzął na Dullego, jakby nagle odkrył jakieś całkiem nowe okoliczności, których wcześniej nie wziął pod uwagę.

- Tak, panie Magdi. Jestem jego synem - powiedział Dulli, jakby odczytał jego myśli. - I dlatego wiem na temat gnostyki, kabały i symboli sto razy więcej niż pan. Pewnie zdążył się pan zorientować, że wszystkie wydarzenia, o których przed chwilą rozmawialiśmy, mają związek ze Starym Testamentem, Ewangelią Apostolic i wiedzą gnostyczną.

Zoja spojrzała na Serge'a, a potem na Dullego. Dostrzegła między nimi
nić porozumienia. Po raz pierwszy naprawdę poczuła, że Ewangelia
Apostolic istnieje. I z pomocą Dullego i Serge'a odnajdzie ją i odzyska Saszę.



GODZINA 11. 04

Pullach im Isartal, Niemcy. Siedziba Federalnej Służby Wywiadowczej (BND)

Przez przeszklone okna sali konferencyjnej na czwartym piętrze budynku należącego do niemieckiej służby

wywiadowczej wpadało ponure światło. Krople deszczu bębniące o szyby rozpraszały generała Richarda McGregora.

Wciąż nie mógł dojść do siebie po ponadgodzinnym locie ponaddzwiękowym myśliwcem wojskowym F-22, a do tego rozmowa z dyrektorem BND Gerhardem Schlosselem zaczynała go mocno irytować. Na szczęście byli sobie równi stopniem.

I na szczęście Schlossel był od niego o dwa lata młodszy.

- Pan sobie zdaje sprawę, że Rosjanie nie zostawią tak tej sprawy, prawda? - zwrócił się McGregor do Schlossela, odrywając wzrok od okna i spoglądając na niego badawczo.

Dyrektor BND odpowiedział, że owszem, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, po czym jakby nigdy nic wstał od stołu i poszedł dolać sobie kawy.

- Panu też? - Zamachał termosem, widząc, że McGregor nie spuszcza z niego oka.

- W takim razie zdaje pan sobie sprawę również z tego, że wnuczka Hitlera nie może ot tak podróżować po Polsce i strzelać do rosyjskich agentów jak do kaczek?! - kontynuował

McGregor, zbywając propozycję kawy machnięciem ręki.

Schlossel odstawił termos i napełniony kubek na stół.

- Pozwolę sobie tylko przypomnieć panu, drogi generale - zakasłał nerwowo - że pani Gismoil, posługując się fałszywymi danymi, uzyskała amerykańskie obywatelstwo, a co za tym idzie, jej godne

pożałowania wyczyny są bardziej pańskim kłopotem niż moim. - Wziął do ręki kubek i wrócił na swoje miejsce, siadając u szczytu długiego, wypolerowanego stołu otoczonego kilkunastoma fotelami obitymi skórzaną tapicerką.

- O tak... - Pokiwał głową z uznaniem McGregor. - Generał Gehlen byłby z pana dumny.

Oczy Schlossela nagle zapłonęły z wściekłości.

- Cokolwiek chce pan przez to powiedzieć, proszę nie zapominać, że Organizacja Gehlena nie miałaby szansy się rozwinąć, gdyby nie pomoc rządu pańskiego kraju. Jeśli ma pan zamiar udawać świętoszka, generale, to nic z tego. Tkwimy w tym po same uszy, pan, ja i instytucje, na czele których przyszło nam stanąć. Chcemy czy nie, musimy stawić czoło zaistniałej sytuacji, zanim ktokolwiek zainteresuje się sprawą i zacznie węszyć.

McGregor uśmiechnął się pod nosem.

- A jak sprawa z odebraniem Annie Braun niemieckiego obywatelstwa? - zapytał, nagle zmieniając temat.

- W normalnej sytuacji odpowiedziałbym panu, z całym szacunkiem oczywiście, że to już od dawna nie jest sprawa amerykańskiego wywiadu. Ale... - Schlossel na kilka sekund zawiesił głos - ...ponieważ sprawy wymknęły się nam spod kontroli, mogę panu zdradzić, że Argentyna nie chce jej przyjąć z powrotem. Ci idioci uważają, że jeśli będą siedzieć cicho, wszyscy zapomną o tym, co się u nich działo przez ostatnie kilkadziesiąt lat.

- Dlaczego mnie to nie dziwi... - McGregor pokręcił głową z dezaprobatą. - Mam nadzieję, że chociaż ulokowaliście ją w odpowiednim miejscu. Po tym jak wrzasnęła na dachu bazyliki „Heil Hitler”, można spodziewać się po niej wszystkiego...

- Och, oczywiście, oczywiście, generale, zapewniam, że mamy wszystko pod kontrolą. Jesteśmy w stałym kontakcie z watykańskimi służbami. A Anna Braun od wczoraj przebywa na terenie Republiki Federalnej Niemiec. - Schlossel aż zacmokał z zadowolenia, po czym upił łyk kawy i się skrzywił. -

Zimna - powiedział i odsunął kubek na bok.

- To bardzo dobra wiadomość, panie generale... - powiedział z uznaniem McGregor. - W moim odczuciu to właśnie Watykan jest w tej chwili punktem zapalnym. Zagrożenie zamachu na życie papieża jest coraz poważniejsze. Gdyby jeszcze do mediów przeciekły informacje, że ukrzyżowana kobieta to Anna Braun, córka Hitlera i Evy Braun, i na dodatek

jej córka, Estera, urządza sobie w Europie istny poligon... Ile mamy już ofiar? -

Zaczął liczyć na palcach. - Jej babka, Zofia Trocińska, ten ksiądz z Polski...

- Z Niemiec - poprawił go Schlossel. - Piotr Gruner.

I seminarzysta, nie ksiądz...

- A tak, tak, oczywiście - przyznał McGregor i zabrał się do dalszego wyliczania ofiar. - Potem dwóch rosyjskich agentów na parkingu pod szpitalem w Łodzi, dwóch lekarzy z tego samego szpitala, Chercherov, pseudonim „Babuszka” w Warszawie, pod nosem polskiego premiera...

- Mognowid i ta Żydówka, Gołda Nowak - uzupełnił Schlossel.

- A tak, zapomniałem. Potem w Wiedniu zastrzeliła swojego byłego męża, Aleksieja Roskolnikowa. Potem zostają już tylko... - spojrzał na ostatnie dwa zgięte palce lewej dłoni -

...Pietro Cippo, słynny łowca nazistów, i dzień po tym ksiądz Adolf Rielke. Czy kogoś pominąłem?

- Nie, moim zdaniem to wszyscy. Wszyscy, o których wiemy. Nie licząc okaleczonej zakonnicy i kardynała. No i tragicznego incydentu na dachu Bazyliki Świętego Piotra -

skwitował Schlossel.

McGregor przeciągnął się i spojrzał w okno, jakby zobaczył tam coś ciekawego.

- No, tak czy inaczej, trzeba przyznać, że zasłużył pan ostatnio na uznanie - powiedział. - Świetna robota z tym Rielkiem, naprawdę, moi ludzie nie zrobiliby tego lepiej. -

Zerknął na Schlossela, chcąc wy badać jego reakcję.

Schlossel zrobił wielkie oczy. Nie do końca rozumiał, co ma na myśli McGregor.

- No już, niech pan się nie kryguje! Przecież Rielke od lat jest na naszej liście. W archiwum mamy na niego z pięć teczek.

Zagorzały nazista, bliski współpracownik biskupa Hudala, zaraz po tym jak Gudrun i reszta założyli „Stille Hilfe”, wstąpił w ich szeregi. Doprawdy, zamieść pod dywan coś takiego to spore wyzwanie.

Schlossel zakasłał. Widać było, że temat nie jest dla niego wygodny. Szybko znalazł sposób, żeby od niego odejść.

- Mam poważne wątpliwości, czy Estera, to znaczy Zoja, działa sama. - Z

tego co wiemy, większości tych morderstw dokonały osoby, które z nią współpracują.

- My też to wiemy - odpowiedział McGregor. Nagła zmiana tematu nie wywołała w nim zdziwienia. Był na to przygotowany. - To jest jakaś sekta, cholera wie jaka, pracujemy nad tym, żeby rozpracować ich struktury.

Schlossel zamrugał. Tak, pomyślał, to właśnie chciałem od ciebie usłyszeć...

- Odyn zamiast Jezusa, co? - rzucił, chcąc zbadać, czy McGregor wie coś więcej.

- Najważniejsze, żeby w razie gdyby wyciekły informacje, cała wina spoczęła na barkach Zoi, czyli Estery - ciągnął

McGregor, jakby wcale nie usłyszał, co powiedział Schlossel. -

Proszę nie zapominać, że naszym zadaniem jest nie dopuścić do rozprzestrzenienia się informacji, że naziści szykują powrót do władzy i... - McGregor nachylił się nad stołem, jakby obawiał

się, że ktoś niepowołany może podsłuchiwać ich rozmowę. -

...że ani my, ani wy nie zrobiliśmy nic, żeby im w tym przeszkodzić.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. McGregor i Schlossel usiedli prawie na baczność. Obydwaj chwycili kubki, udając, że jakby nigdy nic piją kawę.

- Wejść! - rozkazał Schlossel.

Drzwi się uchyliły. Do sali konferencyjnej wślizgnął się major Linsky. Zasalutował i zwrócił się do generała McGregora, tłumacząc, że pojawiły się nowe informacje.

- Mówcie, Linsky - powiedział McGregor, zadowolony z tego, że przy Schlosselu może rozkazywać podwładnemu.

- Zgodnie z pana rozkazem, panie generale, jeszcze raz przeszukaliśmy teren KL Dachau. Brak śladów walki, krwi, odcisków palców ani czegokolwiek, co mogłoby wskazywać, że Pietrowna usunęła nadajnik samodzielnie - zrobił pauzę, obserwując reakcję generałów. Obaj wydali się zawiedzeni. -

Ale... - dodał po chwili - ...mamy odciski palców. Niewiele, ale wystarczy jako dowód, że ktoś usunął mikronadajnik z jej głowy i potem przerzucił go przez ogrodzenie jakieś dwieście metrów od tamtego miejsca. Poza tym mamy odciski butów i ślady

opon. Wiemy, że ten ktoś i Pietrowna przemieszczali się land roverem, granatowym, rocznik 2014. Sprawdziliśmy nagrania z kamer ulicznych w

Monachium i wiemy, że podobny samochód dwukrotnie przemieszczał się podobnymi trasami, przy czym pierwszy raz od klasztoru Archiconvent der Templerdo kościoła St. Anna im Lehel, a drugi raz spod do KL

Dachau.

- I co dalej? - niecierpliwił się McGregor.

- Samochód jest teraz w drodze domiejscowości Monschau -

odpowiedział

z satysfakcją

Linsky.

-

Po

numerach

rejestracyjnych udało nam się ustalić, że został wypożyczony z firmy AVIS zaledwie dzień wcześniej. Wypożyczający to -

Linsky otworzył czarny notatnik, który do tej pory trzymał pod pachą - Serge Magdi, obywatel Francji, posiadający także sudański paszport - wziął oddech, zerkając na generałów. - Na tę chwilę wiemy, że ma pięćdziesiąt lat, pracownik UNESCO, uznany autorytet w dziedzinie symboliki prawosławnej i archeologii, brak formalnie zarejestrowanych członków rodziny, żony i dzieci. Człowiek z przeszłością, panie generale... - powiedział Linsky, przewracając kartkę w notesie pełnym notatek.

McGregor machnął ręką.

- Dobra, nie czytaj mi tu jego biogramu. Znam Magdiego aż za dobrze. Przez lata pomagał Pietrowi Cippo przy tropieniu nazistów - skwitował z niezadowoleniem. Zaraz potem zapytał

Linsky'ego, czy ich ludzie są już w tym klasztorze, o którym wspomniał.

- Tak jest, panie generale - odpowiedział szybko Linsky.

- No i? - dopytywał zniecierpliwiony McGregor. - No co tak stoisz, mów!

Zbity z tropu nagłą reprimendą dowódcy Linsky odpowiedział, że na terenie klasztoru poza zakonnicami i mnichami agenci EUCOM-u zastali czterech oficerów Gwardii Szwajcarskiej.

McGregor i Schlossel spojrzeli po sobie. Linsky nie pytając o zgodę, wciąż bladej jak ściana, cofnął się o krok i uchylił

drzwi. Niemal natychmiast pojawił się w nich wysoki mężczyzna w przekrzywionym na bok granatowym berecie.

Zamiast zsalutować, skinął nieznacznie głową, oznajmiając tym, że nie

respektuje wojskowych dystynkcji obowiązujących agencje wywiadu.

- Gerard Hohuli, oficer Gwardii Szwajcarskiej - przedstawił się.

McGregor i Schlossel spojrzeli po sobie, próbując porozumieć się wzrokowo. W końcu jako pierwszy odezwał się McGregor.

- Czy będzie pan, panie oficerze, łaskaw wyjaśnić nam, co Gwardia Szwajcarska robi w niemieckim klasztorze?

Gerard uśmiechnął się z satysfakcją.

- Niestety, pierwsze pytanie, i już błąd. Mam prawo uchylić się od odpowiedzi, powołując się na Reichskonkordat. - wyjaśnił zwięźle.

McGregor zazgrzytał zębami. Opór ze strony watykańskiego oficera ewidentnie nie był mu na rękę. Potrzebował informacji.

I to natychmiast.

- A jeśli uznam pana za watykańskiego szpiega? - zagroził nagle.

Gerard wzruszył ramionami.

- Trudno. Tyle że wtedy ja uznam pana za amerykańskiego - odpowiedział stanowczo, zdając sobie sprawę, że rozwścieczy tym tego cholernego amerykańskiego mizogina. - Będę musiał przekazać szefowi watykańskiej dyplomacji raport o tym, jak pańscy żołnierze wtargnęli na teren klasztoru, podlegającego bezpośredniej jurysdykcji Watykanu - dodał, nie spuszczając wzroku z McGregora. Nie miał wątpliwości, że jeszcze chwila, a nie będzie w stanie okręcić go sobie wokół palca.

W przeciwieństwie do tego drugiego, Schlossela, sprawiał wrażenie kogoś, kto lubi spokój i brak konfliktów.

Przedłużającą się, niezręczną ciszę po raz kolejny przerwało pukanie do drzwi. Generał Schlossel rzucił rozkaz „wejść”.

Kilka sekund później na progu sali konferencyjnej stanął kolejny żołnierz, tym razem w wojskowym mundurze z pagonami. Żeby zrobić mu miejsce i uniknąć zderzenia, Gerard musiał odsunąć się na bok. Tak jak on porucznik zasalutował i nawet się nie przedstawiwszy, podał Linsky'emu kopertę z wiadomością dla generałów McGregora i Schlossela, po czym znowu stanął na baczność i już go nie było; został po nim jedynie wiatr i lekkie drżenie podłogi od jego szybkich kroków na korytarzu.

Linsky rozerwał kopertę, przeczytał wiadomość zapisaną na białej jak

śnieg kartce, po czym zameldował: - W miasteczku Monshau zlokalizowaliśmy samochód land rover, którym przemieszczała się Pietrowna. Stoi zaparkowany przy Laufenstrasse 82. Niedaleko znajduje się hotel Carat, którego właścicielką jest Niemka, Helga Britzl... - Na widok zniecierpliwionego spojrzenia McGregora zdecydował się pominąć pozostałe detale i przejść do konkretów. - Chodzi o to, że w tym hotelu niecałą dobę temu zameldował się niejaki Dominic Dulli, Włoch, watykański przewodnik, który był na dachu Bazyliki Świętego Piotra, w czasie kiedy...

- W czasie kiedy stało się wiemy co - przerwał mu McGregor i z wściekłą miną spojrzał na Schlossela. - Dalej chce mi pan wmówić, że ma pan wszystko pod kontrolą?

Gerard ukradkiem zerknął na zegarek. Dochodziło wpół do dwunastej. Jeszcze chwila, a będzie musiał zgłosić watykańskim specjalnym służbom, że papież został porwany. Na samą myśl o tym oblał go zimny pot.

- Czy pan sobie zdaje sprawę, generale, co się stanie, jeśli NATYCHMIAST nie zatrzymamy tego człowieka?! - coraz bardziej podniesiony głos McGregora zdradzał, że jest zdesperowany. - Powiem panu. Otóż on ma belgijski paszport.

Zwieje do Belgii. Będziemy czekać, aż tamtejszy sąd zdecyduje się go przekazać w charakterze świadka, ewentualnie podejrzanego o udział w zamachu terrorystycznym, a to będzie trwało, i trwało, i trwało... A Dulli w tym czasie znajdzie jakiegoś dziennikarzynę i opowie mu, co się naprawdę stało w Watykanie. - McGregor walnął pięścią w stół. - ŻE

O UCZESTNIKACH TEJ PRZEKLĘTEJ WYCIECZKI NIE WSPOMNĘ! JEŚLI PODA DO PUBLICZNEJ WIADOMOŚCI ICH DANE, ROZPĘTA SIĘ PIEKŁO!

Schlossel nagle zapadł się w fotel. Zaczął zachowywać się tak, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że sytuacja naprawdę zaczyna im się wymykać spod kontroli.

- Panie generale... - wtrącił Linsky, czując, że nie może dłużej zwlekać, zanim, i o ile w ogóle, McGregor się uspokoi.

- CZEGO???? - Dyrektor DIA łypnął na niego groźnie.

- Dwie godziny temu w tym samym hotelu wynajęto dwa dwuosobowe pokoje, właściwie jeden po drugim. W pierwszym zameldowała się kobieta, niejaka Linda Jacobsen. Problem w tym, że ciało Lindy Jacobsen od trzech dni leży w policyjnej kostnicy w Berlinie. Drugi pokój wynajął...

- To przecież jasne, że Serge Magdi - dokończył McGregor.
- Zgadza się - potwierdził Linsky.

- W takim razie co my tu jeszcze robimy?! - zapytał McGregor i z błyskiem w oku poderwał się z fotela. Zdołał zrobić trzy kroki w stronę drzwi, kiedy salę znów wypełnił głos Linsky'ego.

- To wciąż nie wszystko, panie generale.

McGregor odwrócił się z taką szybkością, że omal nie wykonał piruetu.

- Chodzi o to, że na nagraniach z ulicznego monitoringu przy klasztorze udało nam się odtworzyć klatka po klatce ujęcia, na których wyraźnie widać, kto wsiada do land rovera. Bez wątpienia są to Zoja Pietrowna, Serge Magdi i... - Linsky urwał, głośno przełykając ślinę.

- IIII???? - wrzasnął zniecierpliwiony McGregor.

- Trzecią osobą bez wątpienia jest ojciec święty. Razem z nim jest też kamerling.

Gerard wstrzymał oddech. Niech to szlag - pomyślał.

Z ust McGregorawydobył się nerwowy spazm, brzmiący tak, jakby coś utknęło mu w przełyku. Czerwony na twarzy, zerknął

na na Linsky'ego, jakby liczył na to, że major zacznie się śmiać i powie, że to żart.

- Panie generale, mówię zupełnie poważnie - odezwał się major, najwyraźniej widząc w oczach generała niedowierzanie. -

Razem z Pietrowną i Magdim są papież i jego kamerling.

McGregor wypuścił powietrze ze świstem. Z podejrzliwą miną odwrócił się i spojrzał na Gerarda.

- Nie zgubił się wam przypadkiem papież?

Gerard pokręcił głową. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Oczywiście, miał ochotę powiedzieć temu bufonowi, że skoro papież tam jest, to najwyraźniej tego chciał, w końcu ma prawo robić co chce, niezależnie od tego, czy inni uznają to za szaleństwo. Czuł jednak, że jedyną szansą, żeby uratować honor

Gwardii Szwajcarskiej i jednocześnie nie zdradzić Bractwa Chryzmonu oraz nie złamać przysięgi danej Serge'owi, jest udawanie idioty. Kompletnego, skończonego durnia.

- Proszę wybaczyć, generale, ale to, co pan mówi, brzmi niedorzecznie - odpowiedział Gerard. - Nie moglibyśmy zgubić ojca świętego, ponieważ... -

urwał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, żeby nie zdradzić Serge'a i Zoi.

- Ponieważ? - McGregor zmarszczył brwi. Zauważył niepewność Gerarda i postanowił to wykorzystać. - Nie wie pan, co chce powiedzieć, czy nie chce pan powiedzieć tego, co pan wie? - naciskał.

- Ponieważ nigdy do tej pory go nie zgubiliśmy - wypalił Gerard, modląc się w duchu, żeby to wystarczyło generałowi, by mógł uznać, że rozmowa z nim nic mu nie da.

Generał McGregor oparł ręce o stół i podparł głowę. Milczał długo, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

- Powiem wam, panowie, co zrobimy - odezwał się po chwili tonem, jakby jego plan był nie do odrzucenia. - Zapakujemy tyłki w samolot. Polecimy do tego przekłętego Monschau i znajdziemy tam hotel Carat. Obstawimy cały budynek i jeśli trzeba, połowę miasteczka. Gwardziści sprawdzą, czy jednak przypadkiem nie zgubił im się papież - zerknął z dezaprobatą na Gerarda. - Generał Schlossel i jego ludzie poszukają pana Dullego i czule się nim zaopiekują, na wypadek gdyby znów próbował zwiać. Ja przygarnę panią Pietrowną i pana Magdiego.

Po tym wszystkim zjemy po sznyclu, wypijemy po kuflu chłodnego piwa i każdy zajmie się swoimi sprawami, pilnując, żebyśmy nie musieli się prędko spotkać. Tak właśnie zrobimy -

podsumował, podnosząc głowę i spoglądając w okno, za którym deszcz właśnie przestał walić w szyby.

Gerardowi ten plan wydał się szalony. Był jedyną osobą w sali, która wiedziała, że Serge i Zoja nie dadzą się łatwo złapać. Zamiast tego narobią im sporo kłopotów, czuł to. Zerknął

z nadzieją na Schlossela. Wyglądało na to, że niestety nie ma zamiaru oponować.

- Nie uważam, żeby to był dobry plan - oznajmił ostrzegawczym tonem Gerard.

- A kto pytał pana o zdanie? - odpyskował McGregor i zaczął wstawać. - No! - rzucił z werwą, szybkim krokiem ruszając do drzwi. - To widzimy się na płycie lotniska dokładnie za piętnaście minut.

Gerard wybiegł z sali konferencyjnej. Czuł, że wszystko, co się dzieje od kilkunastu godzin, jest podszyte warstwą mgły, która gęstniejąc z godziny na godzinę, coraz bardziej ogranicza mu pole widzenia. W tej chwili nie myślał o tym, co stanie się z nim, jeśli któryś z pracowników centrali niemieckiej

służby wywiadowczej przyłapie go przy swoim biurku, jak z słuchawką telefonu stacjonarnego w jednej dłoni, w drugiej trzymając pomięty kawałek kartki, dyktuje wiadomość jakiejś Frau Heldze, prosząc ją o pilne przekazanie jej komuś, kogo próbuje dopaść niemiecki i amerykański wywiad i kogo właściwie -

spojrzał na wskazówki zegara na ścianie, które właśnie ułożyły się równo na dwunastej - od tej chwili powinien ścigać także i on.



NIECH PRZEMÓWIĄ CYFRY

Dulli siedział pochylony nad notatnikiem, z ekscytacji aż ssąc skuwkę od pióra wiecznego. Wpatrywał się w kilka zdań, które dopiero co podyktował mu Serge: IN HOC SIGNO VINCES. GNOSIS.

ZOE PIETRO. IAM TEMPUS EST.

W TYM ZNAKU ZWYCIĘŻYSZ. POZNANIE.

ŻYCIE PIOTRA. JUŻ CZAS.

POZNAJ ŻYCIE PIOTRA. JUŻ CZAS. W TYM ZNAKU
ZWYCIĘŻYSZ.

Nie miał wątpliwości, że Zoja, Pietro Cippo i Serge w większości dobrze zinterpretowali zaszyfrowane słowa.

Z gnostycznego punktu widzenia mieli słuszność; nie da się ukryć, że ojciec Bruno opętany wizją Czasów Ostatecznych przepowiedzianych przez proroków ze Starego Testamentu od początku prowadził Zoję w konkretnym kierunku. To, że wykorzystał do tego, by jej pomogli, Serge'a, Pietra i pozostałych, świadczy tylko o jego wybornej wręcz przebiegłości i niestety braku jakichkolwiek skrupułów. Byłby osiągnął swój cel, tyle że nie przewidział dwóch ich potknięć, które sprawiły, że całe zadanie zaczęło iść w niewłaściwym kierunku, a oni przejechali pół Europy, po omacku szukając kolejnych znaków, których i tak nie byli w stanie połączyć w logiczną całość.

- Ty znalazłaś dłoń zakonnicy, Pietro kardynała... -
powiedział nagle Dulli, odrywając wzrok od kartki i spoglądając na Zoję nerwowo kręcącą się po pokoju. Nie udało mu się uchwycić jej spojrzenia. Serge i papież siedzieli na kanapie, a Tomaso poszedł na dół pilnować wejścia, żeby w razie czego, kiedy Gerard i gwardziści zjawią się w hotelu, mógł ich w porę ostrzec.

- ...idę o zakład - kontynuował Dulli - że dłoń zakonnicy była prawą, a kardynała lewą.

Zoja zatrzymała się w pół kroku, spoglądając na Dullego z miną „a jakie to może mieć znaczenie?!”.

- Być może... - powiedziała i spróbowała sobie przypomnieć dłoń siostry Hummel, a dokładnie to, z której strony był kciuk. -

Zdaje mi się, że tak mogło być. Ja znalazłam prawą dłoń. A co do tej drugiej, niestety nie pamiętam...

- Angenerowi odcięto lewą dłoń, a siostrze Hummel prawą -
wspomógł ich Serge. - Jestem pewien. Tak jak mówiłem, w środku
znajdowało się wytatuowane zdanie IAM TEMPUS
EST. JUŻ CZAS.

Dulli zaczął się wiercić na krześle, wykonując dziwne gesty dłońmi - to prostował, to zginał palce obu dłoni, potem zaciskał je w pięść, a na końcu zakrył prawą dłoń lewą.

Nagle zza okna dobiegł szmer. Kilka gałęzi jodły niebezpiecznie zafalowało. Serge przyłożył palec do ust, dając im znak, że mają być cicho, a sam podszedł do okna i ukradkiem wyjrzał na zewnątrz.

- Nic się nie dzieje - oznajmił, dzięki czemu wszyscy czworo odetchnęli z ulgą. Przynajmniej w tej chwili mogli jeszcze czuć się w miarę bezpiecznie. I kontynuować rozmowę, licząc na to, że Dulli, jako gnostyk Bractwa Chryzmonu, pomoże im wyjść z impasu wiedzy.

- Czyli w dłoni Angenera znajdowała się wiadomość IAM
TEMPUS EST - podsumował Dulli. Uniósł wysoko lewą dłoń i zaczął się jej przyglądać. - W dłoni zakonnicy był natomiast chryzmon i słowa IN HOC
SIGNO VINCES. W TYM ZNAKU

ZWYCIĘŻYSZ. - Zlewej dłoni przeniósł wzrok na prawą.

Lekko zgiął palce, upodabniając ją do koszyka. - No i oczywiście medalik, który razem ze sztyletem zapier... -

urwał, widząc karcące spojrzenie papieża - ...ehm...chciałem

powiedzieć, ukradł Zoi chłopak z Wiking-Jugend - podsumował, kładąc lewą dłoń na prawej dłoni i szczelnie składając palce, jakby w środku znajdowało się coś delikatnego, co w każdej chwili może wypaść.

- Problem w tym, że Serge chcąc wyjaśnić symbolikę okaleczenia zakonnic i kardynała, poszedł w złym kierunku.

Owszem, Ewangelia Mateusza i słowa: „Jeśli twoja ręka lub noga jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie! Lepiej jest dla ciebie wejść do życia ułomnym lub chromym, niż z dwiema rękami lub dwiema nogami być wrzuconym w ogień wieczny...” pasują do tego, co się stało.

Tyle że jeśli pójdziemy tą drogą, okaże się, że znaleziona dłoń i tatuaże nie miały być dla Zoi ukrytymi wiadomościami.

A moim zdaniem były, były i to bardzo. Tylko żeby właściwie je odczytać, trzeba wykorzystał to, co mówi kabała.

Zoja spojrzała na Serge'a, jakby nie wierzyła do końca w to, że Dulli wie, co mówi.

- Ma rację - potwierdził Serge, spoglądając na Dullego z uznaniem.

- Chodzi o dłoń, samą w sobie, jako narzędzie PRZYJMOWANIA wiedzy, mające bezpośrednie powiązanie z wolną wolą, samostanowieniem, a zwłaszcza z dualizmem,

czyli uzupełnieniem się kobiety i mężczyzny, wyrażonym w gematrii liczbą dwa... - wyjaśnił Dulli.

- Jednym słowem mówiąc, Ewangelia Mateusza nie ma tu nic do rzeczy - skwitował Serge.

- Tak właśnie uważam. Poza tym Lewi, syn Alfeusza, nie napisał żadnej Ewangelii - odparł Dulli.

- Ale przecież byłem w Egipcie. Na własne oczy widziałem fragmenty papirusa,

z przetłumaczonymi

na

koptyjski

fragmentami. Nie da się zaprzeczyć...

Dulli odłożył notatnik i pióro. Westchnął, jakby spodziewał się, że Serge będzie obstawał przy swoim.

- Jeśli Mateusz cokolwiek napisał, to raczej PRZEPISAŁ

i były to jedynie kopie listów Marii Magdaleny do Jezusa i odwrotnie, a nie Ewangelia - wyjaśnił Dulli. - Oczywiście nie da się ukryć, że to, co udało mu się skopiować, MOGŁOBY

stanowić dobry wstęp do Ewangelii Apostolic, bo spora część tekstu ma podobny sens. Mowa tam i o prorokach ze Starego Testamentu, których Jezus, gdyby faktycznie był synem biednego cieśli, za nic nie mógłby studiować. - Uśmiechnął się pod nosem. - Ciągłe nie mogę zrozumieć, jak ludzie mogą wierzyć w Ewangelię, która ewidentnie podważa sens istnienia Kościoła hierarchicznego. „Darmo wzięliście, darmo dawajcie”, czy nie tak mówi Jezus? A co robi Kościół? Darmo bierze, drogo daje... Poza tym pierwsze słowa Ewangelii dokładnie opisują, czym był potomkiem...

Zoja zrobiła wielkie oczy. Dzięki Serge'owi i Pietrowi dowiedziała się już sporo na temat kłamstw, jakimi posługuje się Kościół, żeby ukryć prawdę o początkach chrześcijaństwa.

Sądziła, że po tym, co przed nią odkryli i co jej pokazali w grocie

La

Sainte-Baume,

a także

po

opowieści

Serge'a o prawdziwych losach Jezusa i Marii Magdaleny, nic już nie zdoła jej zaskoczyć. Tymczasem im dłużej słuchała Dullego, tym bardziej czuła, że to dopiero początek odkrywania wielkiej tajemnicy...

Drgnęła, słysząc za plecami głos papieża. Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Wyglądał w tej chwili bardziej jak kontemplujący mnich niż głowa Kościoła.

- Oczywiście, zgoda, Dominicu - powiedział. - Nie ma ŻADNYCH wątpliwości co do tego, że Jezus był potomkiem króla Dawida. Że Maria Magdalena, Marta, Łazarz, Salomea, Judasz, Jan i Szymon zwany Piotrem, a z nimi Lewi i Anna, babka Jezusa, że wszyscy oni byli powiązani z królewskimi rodami, a ich szerokie kontakty polityczne i zaplecze finansowe pozwalały im na odejście od judaizmu i sprzeciwienie się złej interpretacji Starego Testamentu, zapowiadającego nadejście KOLEJNYCH proroków, do których należeli Jezus i Maria Magdalena. Wszyscy w tym pokoju wiemy, że nie chcieli i nie mogli mieć monopolu na zbawienie świata...Nigdy nie uzurpowali sobie prawa do wyłączności na dusze zbawione i potępione, które strąca się do piekieł. To robił Kościół, od którego odeszli. I to, niestety, robi Kościół dziś. Mimo wszystko uważam, że to, co napisał Mateusz, słusznie czy nie nazwane Ewangelią, jest mimo wszystko najbliższe nauczaniu Nauczyciela i Nauczycielki. Oczywiście pod warunkiem, że umie

się
odnaleźć
oczywiste
błędy,
przeinaczenia

w tłumaczeniach i inne interpretacyjne komplikacje, jakie wykorzystuje Kościół... - Zrobił minę, jakby czuł się niezręcznie, krytykując instytucję, którą osobiście zarządza.

I którą mógłby zmienić, gdyby nie ludzie tacy jak kardynał
Giovanno, Angener i inni...

- Ja tam uważam, że pisma Lewiego to zaledwie uzupełnienie Ewangelii Apostolic. I nic więcej - upierał się Dulli.

- Ale jeśli nie zna się Ewangelii Apostolic, to najlepiej oddaje jej treść właśnie to, co napisał Lewi - podsumował papież i zerknął na Zoję, jakby te słowa kierował właśnie do niej.

Nie mogła widzieć, że się jej przygląda, bo z rosnącym niepokojem obserwowała Serge'a. Od dłuższej chwili zachowywał się dziwnie. Pocierał brodę, liczył na palcach, marudząc niezrozumiale pod nosem, jednocześnie co chwila spoglądając w okno. Zoja doszła do wniosku, że nagle wpadł na jakiś trop.

- Jeśli ktoś miałby zaczynać, to najlepiej nie od żadnej tam Ewangelii Mateusza, ale od Pierwszej Księgi Samuela - Dulli kontynuował rozmowę z papieżem. - To tak na dobry początek, żeby zobaczyć, jak spreparowano wydarzenia z Nowego Testamentu... Na przykład Anna, żona Elkana, poczęła dzięki temu, że pan Bóg wysłuchał jej modlitw, a potem hop, siup, Nowy Testament i kobieta, która „poczęła z Ducha Świętego”, i ani słowa o jej pochodzeniu, rodzinie, a zwłaszcza jej matce, dziwnym trafem też Annie. Podobieństwa zdarzeń nie da się nie odczytywać symbolicznie, biorąc pod uwagę, że Anna ze Starego Testamentu to ród przyszłego króla Dawida...

Niespodziewanie Serge głośno zaklął i z rezygnacją opadł na kanapę.

- Czuję, że jestem w impasie... - rzucił Serge, nerwowo trąc zaczerwienione z niewyspania oczy. - Nie mam pojęcia, w którą stronę powinniśmy pójść, żeby odnaleźć Ewangelię...

Zoja spojrzała na Serge'a z lekkim zawodem. Tracimy czas na religijne spory - pomyślała.

- Wtedy, w apartamencie, tamten nazista powiedział, że mamy cztery dni

na dostarczenie kardynałowi Giovanni Ewangelii. Albo moja córka zginie...
- wypaliła, uznając, że najwyższy czas przejść do konkretów.

- Cztery dni? - zdziwił się Dulli. - Czyli została niecała doba... To źle, bardzo źle - ocenił. - Dali ci tak mało czasu, bo uznali, że masz już papirus albo wiesz, gdzie jest. Innego wytłumaczenia nie ma.

- Przecież to bzdura! - Zdenerwowała się Zoja. - Skąd niby miałabym ją mieć?

- Dominic ma rację. Kardynał myśli, że Zoja ma Ewangelię.

Całą sprawę pogarsza to, co stało się na dachu Bazyliki Świętego Piotra... Potraktowali to jak wypowiedzenie wojny - oznajmił Serge, wprawiając wszystkich w konsternację. Przestał trzeć oczy i zaczął skubać skórki wokół paznokci. Z jakiegoś powodu nagle stał się bardzo nerwowy.

- A ty skąd to wiesz?! - zapytała Zoja.

- Powiedzmy, że mam swoje źródła - odpowiedział wymijająco.

Zoja od razu poczuła, że znów próbuje ją zwodzić.

- A to źródło, to...?

- Nie chcesz wiedzieć - upierał się Serge.

- Chcę.

Serge westchnął ciężko.

- Piotr - wyjawiał w końcu, uciekając wzrokiem przed palącym spojrzeniem Zoi.

- CO?! - wrzasnęła Zoja. - CZYLI ROZMAWIAŁEŚ Z NIM PO TYM, CO STAŁO SIĘ W RZYMIE????

Dulli, który właśnie wstawał, żeby pójść do stołu i nalać sobie wody, nagle zrezygnował. Siedzący obok niego papież spuścił

głowę ze smutkiem i pokręcił głową - widać było, że toczy wewnętrzną walkę, za wszelką cenę starając się nie okazać złości na Serge'a.

- Wbiegłem na plac Navona od strony Fontanny Czterech Rzek... - zaczął się tłumaczyć Serge. - Tomaso włókł się z tyłu,

był jeszcze daleko, kiedy zobaczyłem Piotra kręcącego się pod drzwiami kamienicy. Wyglądał jak żywy trup. To on powiedział

mi o tym, że leżysz na górze, że Pietro, no... - urwał nagle ze smutkiem, jakby nie chciał do tego wracać - ...dał mi klucze od apartamentu i odszedł w kierunku fontanny. Tomaso go nie znał, więc nawet nie wiedział, kogo mija.

Ta fontanna z czterema gigantami będzie mi się śniła do końca życia - przebiegło Zoi przez myśl. Nie mieściło jej się to w głowie, jak można pozwolić odejść wolno komuś, przez kogo zginął Pietro. I ona o mały włos także. I dlatego Serge mówi o tym wszystkim dopiero teraz i to tak spokojnym głosem, jakby NALEŻAŁOBY nad tym przejść do porządku dziennego.

Czyżby naprawdę uważał, że Piotr nie zasłużył na karę, ale na to, żeby mógł tak po prostu pójść, dokąd chce i prawdopodobnie dołączyć do ludzi kardynała Giovanni?

Nagle Dulli wstał i pytając, czy komuś jeszcze chce się pić, podszedł do stołu, żeby nalać sobie wody. Wracając, zniemacka podszedł do Zoi i zapytał ją, czy mogłaby podać mu na chwilę dłoni.

Ciągle wściekła na Serge'a, spojrzała na niego ze zdziwieniem. Owszem, mogła, bo niby czemu nie, skoro i tak wszystko idzie nie tak, jak powinno, i tracą kolejne minuty.

Dulli ujął jej wyciągniętą prawą rękę za nadgarstek i lekko przesunął po niej swoją dłoń, prostując jej palce. Widząc, że Zoja ciągle z wściekłością w oczach wpatruje się w Serge'a, zamiast skupić się na tym, co próbuje jej przekazać, powiedział

do niej: - Nie sądz, jeśli nie chcesz być sądzona. I nie oceniam, bo nie wiesz, co sama zrobiłabyś na jego miejscu. Wszystko ma swój czas i każdy ma czas wyznaczony, Księga Koheleta, pamiętasz?

Zoja odwróciła głowę w jego stronę i kiwnięciem głowy potwierdziła, że owszem, pamięta. Spojrzała na swoją dłoń, którą trzymał Dulli, a potem w jego oczy. Nagle wydarzyło się coś, czego nie mogła się spodziewać. Czując coś jakby prąd, przesywający jej rękę od palców, przez łokieć, aż do barku, nagle poczuła, że przechodzi jej złość. Zupełnie jakby TO ON

wpuścił w jej ciało zupełnie nową energię. Spojrzała Dullemu w oczy i w tej samej chwili usłyszała w głowie jego głos mówiący „A teraz posłuchaj, co mam ci do powiedzenia”.

To niemożliwe, całkiem nieprawdopodobne - Zoja skarciła się w myślach za to, że przez chwilę uwierzyła, że naprawdę usłyszała w głowie jego głos, podczas gdy Dulli patrząc jej w oczy, jedynie się uśmiechał. A jednak wciąż nie spuszczał

z niej oczu, a ona znów usłyszała w głowie: „Nie wątp...Odkryłem przed tobą swój dar. Niedługo ty odkryjesz swój”, po czym podniósł wyżej jej dłoń

i wyczuwając zniecierpliwienie Serge'a i papieża, zaczął mówić: - Na początku powiedziałem o tym, że popełniście dwa błędy... - Zerknął na Serge'a. - Istotnie, popełniście je.

Pierwszy polega na tym, że źle odczytaliście intencje, jakie kierowały ojcem Bruno, kiedy zdecydował się przekazać Zoi i Pietrowi wiadomości, wykorzystując do tego odcięte dłonie zakonnicy i kardynała. Tak jak mówiłem, jestem pewien, że nie ma to nic wspólnego z Nowym Testamentem. Moim zdaniem ojcu Bruno chodziło o coś zupełnie innego. O gnostyczną symbolikę dłoni i zawarty w niej przekaz gematryczny i archeograficzny. Serge twierdzi, że zbadał dłoń siostry Hummel bardzo dokładnie i nie znalazł innych znaków niż wytatuowany chryzmon z towarzyszącą mu sentencją W TYM

ZNAKU ZWYCIĘŻYSZ, no i medalik. Ja jednak uważam, że przeoczył najważniejszą część wiadomości... - przerwał,

przyglądając się dłoni Zoi, jakby zauważył na niej coś, co bardzo go zainteresowało.

Zoja zamarła; ciekawość niemal zżerała ją od środka. Serge prychnął z niedowierzaniem,

dając

upust

swojemu

sceptycznemu nastawieniu. Tylko Papież odetchnął z ulgą, jakby czuł, że wreszcie ktoś zaczyna odczytywać znaki we właściwy sposób.

- DŁOŃ - rozpoczął na nowo Dulli - pominęliście najistotniejszy symbol. Ojciec Bruno nie miał na myśli wyłącznie kary za to, co zrobiła zakonnica, ale dzięki karze użył

jej dłoni jako symbolu gnostycznego, posługując się do tego wykładnią słynnego filozofa greckiego, Zenona z Kition. . . -

Przesunął palce po otwartej dłoni Zoi. - Otwarta dłoń oznacza pojęcie. - Zagiął palce Zoi, jakby chciał stworzyć z dłoni koszyk. - Zagięte palce, mające utrzymać coś w dłoni, nie pozwolą temu czemuś wypaść, to przyjęcie wiedzy. - Na koniec zacisnął palce Zoi i spoglądając na jej minę, uśmiechnął się lekko. - A tak wygląda zrozumienie. Ostatnim etapem jest zakrycie prawej dłoni lewą, które oznacza mędrca, czyli kogoś, kto posiadał wszelką wiedzę.

- A co z dłonią kardynała, którą ojciec Bruno przesłał

Pietrowi? - zapytała odważnie Zoja, przerywając Dullemu.

- Jak się pewnie domyślasz, to właśnie ta dłoń miała zakryć tę, którą dostałaś. Sądzę, że Pietro dostał podobną wiadomość do twojej, bo uzupełniał wiedzę niezbędną do ustalenia, gdzie może być Ewangelia. - Zoja chciała znów o coś zapytać, ale Dulli uciszył ją spojrzeniem. - To, że dłoń zakonnicy była ułożona właśnie w układzie przyjęcia wiedzy, to jedno. Drugie to to, że pięć zagiętych palców miało nie tylko utrzymać ukryty w dłoni medalik, czyli chryzmon i jego tajemnicę. Pięć palców to hebrajska litera *he*, oznaczająca liczbę pięć. Jestem niemal

pewien, że w dłoni znajduje się jeszcze jeden tatuaż. Pięć liczb, które po odczytaniu i przełożeniu na litery dadzą najważniejszą wskazówkę, gdzie szukać Ewangelii.

Dulli puścił dłoń Zoi. Zabrała ją i zaczęła masować zdrętwiałe od trzymania w jednej pozycji ramię. Jej myśli zaprzętała teraz tylko jedna sprawa. Dłoń siostry Hummel. Obawiała się, że cokolwiek zrobił z nią Serge, szanse na to, że uda im się raz jeszcze ją obejrzeć, są jak jedna na milion.

- Chyba nie sądzisz, że wozimy z sobą rozkładającą się rękę... - rzucił Serge i nerwowo zachichotał.

- To byłoby dość... niekomfortowe, przyznaję - odparł Dulli i podrapał się po dwudniowym zarostcie, którego nie golił, bo ciągle nie miał czasu, a poza tym na wszelki wypadek zamierzał nieco zmienić wygląd.

- No dobrze... - wtrąciła Zoja. - Weźmy pod uwagę dwa scenariusze. Pierwszy, że jednak jakimś cudem udaje się nam wrócić do Warszawy, odnaleźć i jeszcze raz przyjrzeć się odciętej dłoni i symbolom albo liczbom, które MOGA, ale NIE

MUSZA znajdować się na palcach. I drugi, że nie ma na to żadnych szans i musimy sobie poradzić bez tego. A poza tym to skąd ty właściwie wiesz, że ojciec Bruno mógł wiedzieć, gdzie jest ukryta Ewangelia Apostolic? Nie rozumiem, dlaczego, jeśli wiedział, gdzie jest, sam nie poszedł i jej nie wziął...

Dulli założył ręce na piersi i pokręcił głową.

- Ewangelia, jedyna, prawdziwa, spisana ręką Marii Magdaleny i uzupełniona przez Jezusa, to nie jest coś, co można sobie ot tak PÓJŚĆ i WZIAĆ, jak to określiłaś...Mój ojciec wytłumaczyłby ci to dokładniej. Przez ponad dwadzieścia lat razem z ojcem Bruno żyli tylko tym, żeby ustalić, gdzie się znajduje. Dla mojego ojca skończyło się to bardzo źle...

Zoja jęknęła. Czy zawsze kiedy wydaje mi się, że jestem już blisko rozwiązania, musi się stać coś, co komplikuje sytuację?! - pomyślała ze złością.

- Czyli twój ojciec nie żyje? - zapytała, nawet nie zastanawiając się, jak obcesowo musiało to zabrzmieć. Na szczęście Dulli nie wyglądał na urażonego. Odpowiedział, że jego ojciec żyje, tyle że od ponad dziesięciu lat jest w szpitalu psychiatrycznym w Denbigh w Walii. To natychmiast obudziło w Zoi nadzieję.

- Czyli jest szansa, że może coś pamiętać! Może faktycznie WIE tyle samo co ojciec Bruno i wciąż jeszcze da się to z niego wyciągnąć!

- Nie liczyłbym na to - odpowiedział smutno Dulli, ale po chwili zmarszczył brwi, jakby w jego głowie pojawiła się nowa, inna myśl. - Ale, z drugiej strony... Jeśli chcesz spróbować, nie mam prawa ci zabronić. Jedno, czego jestem pewien, to to, że wiedza mojego ojca na temat Ewangelii była ZNACZNIE

większa niż ojca Bruno. Jeśli został z tego choć cień, jest szansa, że będzie w stanie ci pomóc...

- Nam - poprawiła go Zoja. - W końcu działamy razem.

Niezależnie od tego, co wydarzyło się do tej pory, MUSIMY działać dalej wspólnie.

- Zaraz, chwileczkę... Nie rozpędzajcie się tak! - wtrącił

nagle Serge wyraźnie przestraszony obrotem sytuacji i nagłym wybuchem entuzjazmu Zoi i Dullego. - Uważam, że branie pod uwagę ewentualnej podróży do Walii jest całkiem bez sensu. Po pierwsze dlatego, że nie mamy tyle czasu, po drugie, ponieważ ojciec Dominica może nie być w stanie powiedzieć nam czegokolwiek, włącznie z tym, jak się nazywa, nie mówiąc o tym, że fakty z przeszłości mogły mu się całkowicie pomieszać, co dla nas będzie znaczyło, że znów zabrnjemy

w ślepy zaułek. Nie patrz tak na mnie, Zoja, taka jest prawda!

Prawda, Dominicu? - zwrócił się do Dullego, licząc na to, że go wesprze, a tymczasem on tylko wzruszył ramionami. - Prawda, Augustynie?! - Spojrzał na papieża z nadzieją, ale i on nie zamierzał go poprzeć.

- O matko, jacy wy jesteście uparci! - Zdenerwował się Serge. - To już lepiej byłoby wrócić do Warszawy i spróbować sprawdzić, czy w dłoni faktycznie nie ma jeszcze jakiejś wiadomości...

- Ale jak niby chcesz ją znaleźć? - zapytała Zoja. Teraz to ona nie wierzyła, że ten plan ma jakiegokolwiek szanse.

Odnalezienie dłoni i zbadanie jej w spokoju po ponad czterech dniach wydało się jej wręcz niemożliwe. A jednak Serge znów ją zaskoczył.

- Jeżeli nie wydarzyła się żadna tragedia i nikomu nie przyszło do głowy zaglądać do lodówki w moim mieszkaniu, to są spore szanse na to, że dłoń siostry Hummel wciąż leży w zamrażalniku...

Zoja aż podskoczyła z radości, czując, że wreszcie coś się ruszyło, że jest coraz bliżej i może, już niedługo, uwolni córkę z łap kardynała Giovanni. W ciągu paru sekund zaświtał jej w głowie plan. Była pewna, że to jedyne słuszne rozwiązanie.

Nie zamierzała nawet pytać któregokolwiek z nich o zdanie, a jedynie ZAKOMUNIKOWAĆ, co wydarzy się po tym, jak opuszczą hotel Carat. Zrobiła to, i - dokładnie tak jak się spodziewała - Serge zaproponował jako pierwszy.

- To czyste szaleństwo! Bzdura! Najgłupszy pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem! - prawie wrzeszczał.

Ignorując Serge'a, Zoja powiedziała głośno o tym, co jej zdaniem stanowi w tej chwili największy problem. Oczywiście chodziło o to, jak dostanie się do Denbigh. Jeśli wyruszy

pociągiem, potem promem i znów pociągiem z Londynu w głąb wyspy, zajmie jej to co najmniej dwa dni, nie wspominając o ogromnym ryzyku, że naziści albo ojciec Bruno zechcą jej przeszkodzić. Druga opcja to lot samolotem i wynajęcie na miejscu samochodu, tyle że tu współmiernie do skrócenia czasu podróży rośnie ryzyko, że przez posługiwanie się fałszywym paszportem zostanie zatrzymana.

- To akurat nie powinien być problem... - oznajmił Dulli, wyrывая Zoję z zamyślenia. Słyszając to, Serge wzniósł oczy do nieba.

- Jak to? - Zdziwiła się Zoja. - Chcesz powiedzieć, że masz jakiś pomysł? Na twarzy Dullego pojawił się szelmowski uśmiech. Wyjął z kieszeni telefon, tak stary model nokii, że Zoja zdziwiła się, że jeszcze takie istnieją, po czym wyszedł do drugiego pokoju.

Kiedy drzwi się zamknęły, Zoja podeszła i położyła dłoń na ramieniu Serge'a. Wyglądał na totalnie zdołowanego.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze - próbowała go pocieszyć. Serge nie zareagował. Dalej stał ze smętną miną, nawet nie próbując udawać, że w to wierzy.

- Serge... - odezwała się znowu Zoja. - Mnie jest naprawdę wszystko jedno, co się ze mną stanie. Zrobię wszystko, naprawdę WSZYSTKO, żeby

moja córka nie musiała przeżywać za kilkanaście lat podobnego koszmaru. Jeśli będę musiała skoczyć za Ewangelią Apostolic w ogień, żeby ją ratować, zrobię to i uwierz, nie będę miała do nikogo żalu...

Serge zsunął z ramienia dłoń Zoi i nagle objął ją z całej siły.

- Twoja matka powiedziała dokładnie to samo... - wyszeptał.

Czując, że Zoja próbuje się wyrwać z jego ramion, przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, aż czuła przyspieszone bicie jego

serca. Intuicja podpowiadała Zoi, że Serge chce jej powiedzieć coś ważnego, ale z jakiegoś powodu nie może albo nie chce...

- Serge! - zawołał nagle papież, jakby celowo nie chciał, żeby był on zbyt długo blisko Zoi. - Dokumenty z banku, pamiętasz?

Serge puścił Zoję i odwrócił głowę w jego stronę.

- A tak, oczywiście! - odpowiedział i widząc zdziwienie na twarzy Zoi, wyjaśnił, że chodzi o potwierdzenia przelewów, które znalazła w sejfie, w domu swojej babki.

- Ale... - odezwała się smutno Zoja. - Ja ich nie mam. Plecak ze wszystkimi rzeczami został w apartamencie. Były w nim dokumenty, klucz od Gołdy, listy Sary do mojej babki.

Wszystko przepadło...

Serge podszedł do kanapy i schylił się, zaglądając za oparcie.

Po chwili wyciągnął stamtąd jakiś przedmiot.

- Masz na myśli TEN plecak? - zapytał, pokazując go Zoi.

Wzięła plecak do ręki i szybko zajrzała do środka. Prawie krzyknęła z radości na widok leżących na dnie klucza, pudełka z gwiazdą Dawida, niewielkiego pistoletu Double Tap, a pod nim złożonych na pół i wetkniętych do przegródki listów i potwierdzeń przelewów, które zaprowadziły ją do Szwajcarii i banku Begelin & Co.

- Naprawdę nie sądziłam, że uda mi się go odzyskać - powiedziała, zwinnym ruchem wkładając pistolet do kieszeni.

Z plecakiem w ręce usiadła obok papieża. Wyjęła dokumenty i podała mu.

- Przelewy wychodziły z watykańskiego banku, zawsze na jeden i ten sam rachunek w banku Begelin & Co. Właścicielką tego rachunku była i wciąż jest Anna Braun. Pełnomocnicy to Zofia, Sara, moja matka i ja. Na konto wpływa każdego roku pół

miliona dolarów. Od dwudziestu czterech lat. Nie wiem, co

działo się wcześniej, ale wydaje mi się, że po prostu dla bezpieczeństwa

zmienili rachunek, a same przelewy i majątek ukryty w depozycie są tam od bardzo długiego czasu.

Papież wziął od Zoi dokumenty i zaczął je przeglądać. W tym czasie z drugiego pokoju wyszedł Dulli, z zadowoleniem oznajmiając, że wszystko załatwione.

- Za godzinę pod katedrą świętej Marii w Akwizgranie będzie czekał na ciebie ktoś, kto pomoże ci się dostać do Denbigh - oznajmił i rzucił Zoi pilot od samochodu. - Weź

volvo. Zostaw je gdziekolwiek, i tak nie sądzę, żeby sąsiad liczył na to, że odstawię je do garażu...

Zoja wyprostowała plecy i wzięła głęboki oddech. Słyszając szelest kartek przekładanych przez papieża, spojrzała na niego i położyła dłoń na jego wolnej dłoni, mocno ją ściskając. Dłoń papieża okazała się miękka i chłodna.

- Proszę, niech pan na siebie uważa - powiedziała, omijając protokół, który w tej chwili uznała za całkiem zbędny. Próbując ukryć, że bardzo się o niego martwi, zmusiła się do uśmiechu. -

Mam nadzieję, że niedługo znów się zobaczymy.

- No właśnie! - wtrącił Dulli. - Jeśli o to chodzi, to musimy ustalić, gdzie się spotkamy po tym, jak każdy wykona swoje zadanie.

- Jeśli wykona... - dodał złowieszczo Serge.

- Proponuję jutro o dziewiętnastej pod kościołem Santa Maria dell' Anima - ciągnął Dulli, nie zwracając uwagi na słowa Serge'a.

- Chcesz wejść do paszczy lwa?! - zdziwił się Serge.

- Moim zdaniem to za mało czasu - oceniła Zoja, wstając z kanapy.

Wsunęła kluczyki od auta do wolnej kieszeni i ruszyła do drzwi. - Proponuję spotkanie w miejscu, które zaproponował

Dominic, ale o północy.

- Chcesz wywoływać duchy nazistów? - spróbował zażartować Dulli, ale nikt nawet się nie uśmiechnął. - Hej, nawet się nie pożegnasz? - rzucił, widząc, że Zoja kładzie rękę na klamce.

- Żadnych pożegnań - odparła stanowczo. Wcale nie było jej lekko. Właśnie dlatego, żeby uniknąć konfrontacji z emocjami, postanowiła szybko wyjść.

Chcę to mieć już za sobą - pomyślała, uchylając drzwi.

Znalazłszy się na korytarzu, ruszyła szybkim krokiem w kierunku schodów, przez cały czas zaciskając dłoń na pistolecie ukrytym w kieszeni.

- Teraz wasza kolej - odezwał się papież, kiedy kroki Zoi ucichły na korytarzu.

Serge i Dulli spojrzeli po sobie.

- Jak to? - powiedział Serge, nie próbując nawet ukryć strachu. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że ty i Tomaso macie zamiar tu zostać?! Przecież ludzie kardynała Giovanni mogą tu być lada chwila. O ojcu Bruno nawet nie wspominając.

Papież westchnął. Widać było, że mierzy się z wielkim wewnętrznym ciężarem.

- Wy macie swoje zadanie, ja swoje... - odparł po chwili, kładąc dłoń na leżących na jego kolanach dokumentach od Zoi.

Z jego miny dało się odczytać, że nie ma szans, żeby zmienił zdanie. - Idźcie już! - rozkazał stanowczo, widząc, że Serge i Dulli nie mogą się zdecydować, czy opuścić pokój.

Nie minęła nawet minuta, kiedy drzwi znów się uchyliły.

Serge i Dulli, trzymając w dłoniach hotelowe przewodniki turystyczne po Monschau, udając turystów, zeszli po schodach i mijając kręcących się po korytarzu gości, opuścili hotel.

Tomaso siedział przez cały czas na fotelu w niewielkim foyer.

Mając dobry widok na drzwi wejściowe, widział, jak najpierw

Zoja, a kilka minut później Serge i Dulli wychodzą z budynku, nieudolnie próbując wtopić się w tłum. Spojrzał na zegarek.

Dochodziło wpół do drugiej. Uznawszy, że czas najwyższy dowiedzieć się, co się dzieje, wstał, otrzepał spodnie z okruchów po rogalu z masłem, i poszedł na górę.



GODZINA 13. 35

Monschau, Niemcy

Uliczka Laufenstrasse zapełniła się turystami, cieszącymi się urokami miasteczka w piękny, słoneczny dzień. Panował gwar.

Temperatura przekroczyła w południe szesnaście stopni.

Sklepikarze wylegli przed wejścia, żeby złapać trochę wiosennego słońca i połasić się do potencjalnych klientów.

Kelnerki kawiarenek rozsianych gęsto po obu stronach drogi lawirowały między stolikami z tacami wypełnionymi lampkami z winem, filiżankami z kawą i talerzami pełnymi przekąsek.

Leniwe hordy - pomyślał ze złością generał McGregor, wyglądając przez przyciemnioną szybę czarnej furgonetki.

- Przyspiesz, no! - rzucił natarczywie, bębniąc w cienką szybę oddzielającą tył samochodu od fotela, w którym siedział

spocony kierowca, próbujący wyminąć właśnie faceta na rowerze.

- Nie mogę. Ludzie... - odparł kierowca i na potwierdzenie kiwnął głową w kierunku przedniej szyby, wskazując rowerzystę i turystów, którzy robili sobie zdjęcia, co chwila wyłażąc niemal na środek jezdni. - Tu jest wąsko, nie wyminę ich... No, chyba że chce pan, żeby wszyscy nas zauważyli...

McGregor machnął ręką i wzniósł oczy do nieba. Co za koszmar - pomyślał. Jeszcze chwila, a naprawdę zwieją nam sprzed nosa...

Fakty były takie, że lot wojskowym samolotem należącym do niemieckiego wywiadu trwał krótko, ale dojazd do miasteczka tą przekłętą krętą drogą, na której non stop trzeba zwalniać i zjeżdżać na pobocze, żeby nie zderzyć się z jadącymi z naprzeciwka, okazał się koszmarem. Tak samo jak lawirowanie dwadzieścia na godzinę uliczkami przekłętego turystycznego kurortu, który wyglądał jak kopia Disneylandu, tyle że dla dorosłych z kasą.

McGregor spojrział na Linsky'ego, siedzącego na metalowej ławce naprzeciwko. Wyglądał na całkowicie obojętnego, jakby zadanie, jakie mają do wykonania, niezbyt go obchodziło, myślami był daleko stąd. Obok Linsky'ego siedziało jeszcze czterech agentów z -EUCOM-u.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił nagle kierowca.

McGregor poderwał się na równe nogi.

- Odbezpieczyć broń - zamarł i podszedł do szyby. - Co do cholery?!

Uliczkę wypełniło wycie syren. W ich stronę mknęły trzy radiowozy na sygnale, z migającymi na dachach kogutami.

Turyści powstawali z miejsc. Zrobiło się zamieszanie.

- Linsky, kiedy prosiłem, żebyś poprosił lokalną policję o wsparcie, nie miałem na myśli TEGO... - Walnął pięścią w szybę, obserwując, jak policjanci z bronią w ręku wyskakują z radiowozów, widocznie szykując się do wtargnięcia do hotelu Carat i narobienia tam takiego samego zamieszania jak na ulicy.

- Idź do nich i powiedz im, żeby nie stali tak na tej ulicy.

I NIECH WYŁĄCZĄ TE CHOLERNE KOGUTY!!! - wrzasnął

McGregor.

Major wyskoczył z furgonetki i po niespełna minucie wrócił.

Na jego twarzy widniał szeroki uśmiech. Wyglądało na to, że jest z siebie dumny.

McGregor stał przy oknie, z nosem przyklejonym do przyciemnionej szyby. Był dziwnie spięty.

- Kazałem im nie stać tak na tej ulicy! - zrelacjonował

Linsky.

McGregor zamrugał nerwowo.

- W takim razie gdzie są?! - warknął, coraz pełniejszy złych przeczuć.

- Weszli do hotelu tylnym wejściem, panie generale!

McGregor zaklął pod nosem i wyskoczył z furgonetki, jakby się paliło. Agenci z EUCOM-u pobiegli za nim w stronę drzwi hotelu. Linsky stał na środku jezdni, nie wiedząc, co robić.

- Wołaj Schlossela! I gwardzistów! Ale już! - wrzasnął do Linsky'ego McGregor, po czym wbiegł do budynku.

Na podłodze leżało kilkunastu gości. Trzymając ręce na głowie, wyglądali jak kukły poukładane wzdłuż korytarza, żeby torować drogę do schodów. McGregor przeskoczył nad jakąś leżącą kobietą i podbiegł do recepcji. Za ladą stała niska, pulchna kobieta w fartuchu poplamionym białymi plamami z mąki. W ręce trzymała wałek z przyklejonym do niego rozwałkowanym kawałkiem ciasta. Łypiąc groźnie na agenta EUCOM-u, który sprawdzał księgę meldunkową gości, na widok McGregora zrobiła się czerwona na twarzy i zaczęła kląć po niemiecku na cały głos.

- Ona nie mówi po angielsku, panie generale - oznajmił
McGregorowi agent, odkładając księgę meldunkową na bok. -
Pokoje numer osiem, dziesięć i trzynaście - dodał, nawet nie zdążywszy
uchwycić spojrzenia generała, bo ten już pobiegł
schodami na górę. - Tam już jest Gwardia Watykańska! -
krzyknął za nim agent, nawet nie licząc na to, że McGregor go usłyszy.

Na korytarzu pierwszego piętra panował tłok. McGregor wbiegłszy po
schodach z lekką zadyszka, przystanął
skonsternowany.

- Co jest, do... - wysapał pod nosem na widok agentów EUCOM-u i
policjantów w mundurach, stojących pod drzwiami pokoju numer osiem.
Wszyscy mieli takie miny, jakby nagle doznali mistycznego olśnienia.

- Czy ktoś mi powie, co się tu do diabła wyprawia?!

Dlaczego stoicie pod drzwiami jak osły!!! - warknął McGregor, idąc
korytarzem w ich stronę.

Widząc, że wszyscy milczą, złapał za ramię jednego z agentów i
przyciągnął go do siebie.

- Co jest, kurwa?! Zamroczyło was? Odpowiadać na pytania, ale już!

Agent zamrugął nieprzytomnie. McGregor odepchnął go i coraz bardziej
czując, że jest zdany tylko na siebie, podszedł

do drzwi pokoju. Już prawie nacisnął na klamkę, kiedy usłyszał

za plecami, jak jeden z agentów mówi do niego, żeby lepiej tego nie
robił. McGregor posłał mu pogardliwe spojrzenie i nagle poczuł taką
wściekłość, że zamiast otworzyć drzwi, wyważył je kilkoma kopniakami.
Wyjął broń i uniósł wysoko, po czym z impetem wpakował się do środka.

To właśnie szybkość zgubiła McGregora. Nawet się nie zorientował,
kiedy poleciał do przodu i wyłożył się jak długi na dywanie. Broń wypadła
mu z ręki pod szklany stolik. Usłyszał

szczęk odbezpieczanej broni i poczuł, jak ktoś wbija mu w plecy kolano,
a potem przystawia do głowy lufę.

- Nie, nie, spokojnie, to generał McGregor! - powiedział ktoś stojący w
drugim końcu pokoju. Generał natychmiast rozpoznał

głos. To był ten przekłety chłopak. Gwardzista o imieniu Gerard. Zaraz
potem usłyszał kroki. Ucisk na plecach zmalał do

tego stopnia, że mógł wreszcie wziąć oddech i odwrócić głowę.

Zobaczył czubki wypolerowanych czarnych butów. Ktoś złapał

go za ramię i pomógł mu się podnieść.

Za plecami usłyszał śmiechy. Agenci i policjanci stali w wyważonych drzwiach, obserwując całą scenę. Nagle odpychając ich w drzwiach, stanął Linsky, a za nim generał

Schlossel. Obaj wyraźnie skonsternowani.

- Panie generale, ich tu nie ma! - oznajmił Linsky. -

Właścicielka hotelu rozpoznała ich na zdjęciach. Powiedziała, że Pietrowna opuściła hotel kilka minut po pierwszej, a Dulli i Magdi chwilę później...

McGregor wstrzymał oddech. Z wściekłą miną odwrócił głowę i posłał Linsky'emu piorunujące spojrzenie.

- Co ty kurwa nie powiesz... - wysyczał przez zaciśnięte zęby, po czym odwrócił się do Linsky'ego plecami, nie mogąc znieść widoku agentów ledwo powstrzymujących się od śmiechu. Wyglądając pogniecioną marynarkę, zwrócił się do Gerarda.

- Gdzie papież?

- W drugim pokoju. Odpoczywa przed podróżą. Całe to zajście bardzo go... - odezwał się mężczyzna, którego McGregor widział pierwszy raz w życiu. Wyglądał na pierdołę, stąd bez obaw przerwał mu w połowie zdania.

- A pan to kto, do cholery? Adwokat papieża? - McGregor otworzył drzwi łazienki i zajrzał do środka. - A może są tu jeszcze jacyś kardynałowie? Albo kilku prezydentów? A może w szafie siedzi angielska królowa? - Zaśmiał się, ale nikogo poza nim to nie rozbawiło, więc szybko wrócił do poważnego tonu. - Chcę się widzieć z papieżem. Teraz - zażądał.

- Tomaso Cippo, jestem kamerlingiem ojca świętego.

Dlatego mam prawo oczekiwać, że opuści pan ten pokój. W tej chwili - dodał z naciskiem, widząc, że generał nie rusza się z miejsca.

- Cippo... hmm... Znałem kogoś o tym nazwisku. -

McGregor przymknął oczy, jakby próbował sobie przypomnieć.

- Słynny łowca nazistów... Ale jak on miał na imię?

- Pietro. To był mój ojciec - odpowiedział Tomaso lodowatym tonem.

- O, właśnie! Pietro, tak. Bardzo mi przykro z powodu jego śmierci - powiedział McGregor, choć ton jego głosu zdawał się temu przeczyć. - Pozwoli pan... ksiądz... - Zakasłał, próbując ukryć niezręczność. - Czy można wiedzieć, co ojciec święty robi w niemieckim

kurorcie,
w pokoju

wynajętym
przez
poszukiwanego
świadka
zamachu
terrorystycznego
w Watykanie?

- To nie pańska sprawa, panie generale - odburknął Tomaso, coraz bardziej zniecierpliwiony.

- Ach, oczywiście... No tak, ma ksiądz rację. Tylko jest jeden kłopot. Jakoś musimy poradzić sobie z tym, że w tym samym hotelu, śmiem twierdzić, że nawet w tym samym pokoju, jeszcze kilkanaście minut temu przebywało dwoje bardzo niebezpiecznych

ludzi,
powiązanych
z nazistowskim
podziemiem...

- Żegnam pana - rzucił oschle Tomaso, odwrócił się na pięcie i zniknął w głębi pokoju. Zaraz po tym dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi od sypialni. Gwardziści, łącznie z Gerardem, stali, wpatrując się w generała. Zdecydowanie nie był tu mile widzianym gościem.

McGregor spojrział na Gerarda i posłał mu wściekłe spojrzenie.

- Jeszcze się spotkamy - rzucił wyzywającym tonem, zanim jego sylwetka zniknęła w korytarzu.

- Co mamy? - zwrócił się do Linsky'ego, kiedy szli w stronę schodów.

- Kilka minut po trzynastej spod ósemki było wykonywane połączenie międzynarodowe...

- Dokąd?

- Do Londynu - odparł Linsky, o mały włos nie wpadając na generała, który gwałtownie przystanął na schodach.

- A dokładniej??? - warknął zniecierpliwiony McGregor.

- Do Pałacu Buckingham - powiedział major tak cicho, że jego głos zabrzmiał prawie jak zdławiony przerażeniem szept.

Widać było, że boi się reakcji generała, bo cofnął się o krok, uderzając plecami o barierkę.

McGregor najpierw zrobił się czerwony jak burak, a potem, w ciągu

zaledwie kilku sekund, jego twarz prawie zbielała.

Zamarł, zupełnie nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

Papież, łowcy nazistów, wnuczka Hitlera, a teraz jeszcze ktoś z Pałacu Buckingham? Zaczął się poważnie obawiać, co jeszcze przyniosą kolejne godziny. Bez wątpienia cała ta historia ma jakieś drugie dno... - ocenił w myślach i poczuł się tak, jakby ogromny ciężar spadł mu na barki.

- Zaraz po rozmowie z kimś w pałacu Pietrowna opuściła hotel. Kilka minut po niej wyszli także Dulli i Magdi... -

powiedział Linsky, wrywając generała z zamyślenia.

- Wiemy, dokąd poszli?

- Na nagraniach z ulicznych kamer widać, że udali się w przeciwnych kierunkach. Pietrowna zniknęła, zupełnie jakby się rozplynęła w powietrzu, ale tamci dwaj... siedzą teraz w autobusie do Berlina. I tu pojawia się pytanie generała Schlossela, on i jego ludzie już pojechali na dworzec. Czy mają ten autobus zatrzymać?

- Nie! Absolutnie! - odpowiedział McGregor, wyraźnie odzyskawszy pewność siebie. W głowie zaświtał mu plan.

Trzymając się poręczy, ruszył szybkim krokiem na dół. Żeby go dogonić, Linsky musiał prawie biec.

- Mają jechać do Berlina, skoro taki jest ich plan. A Schlossel niech wyśle za nimi najwyżej jeden samochód, na wypadek gdyby nagle zmienili plany... Przywitamy ich w Berlinie, majorze! - rzucił, dziarsko wymachując ręką, jak dowódca pewny wygranej bitwy. Czuł, że tylko dając im wolną rękę, dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. A kiedy już się dowie, Estera Gismoil sama wpadnie w jego ręce...



TAJEMNICA ŚWIĘTEGO PIOTRA

Dwupiętrowy autokar węgierskiej firmy wycieczkowej stał

kilkanaście metrów od odjazdowego stanowiska. W środku panowało zamieszanie i było duszno. Pasażerowie zajmowali swoje miejsca, a Dulli co chwila zerkając na przeciskających się wąskim przejściem obcokrajowców, odmawiał zdrowaśki, żeby tylko Serge zdążył wrócić, zanim odjadą w kierunku Berlina. Do odjazdu została niecała minuta, kiedy Dulli z nosem przyklejonym

do
szyby,
trzymając
w garści
plecak

Serge'a i resztę ich rzeczy, zobaczył go, jak biegnie zziębnięty, z torbami z jedzeniem i plastikowymi kubkami z kawą.

- Człowieku, myślałem, że tu zwariuję! Już miałem wysiadać... - powiedział Dulli, kiedy Serge się zjawił

i z szeleszczącymi torbami pełnymi zakupów i kawą spróbował się wcisnąć na fotel.

- Weź tę cholerną kawę, poparzyłem sobie palce! -

zdenerwował się Serge. Kiedy Dulli zabrał od niego plastikowe kubki, zaczął dmuchać na czerwone palce.

- Naprawdę gorąca... - potwierdził Dulli, szukając miejsca, gdzie mógłby odstawić oba kubki i zdjęć przykrywkę, żeby kawa trochę ostygła. Naprawdę chciało mu się pić. I jeść. Na myśl o kluseczkach pani Helgi poczuł ssanie w żołądku. Kiedy autokar ruszył, postawił kubki na swojej walizce, wciśniętej pod siedzenie, którą jakimś cudem udało mu się lekko wysunąć.

Mając wolne ręce, zaczął grzebać w jednej z reklamówek z jedzeniem.

- Rogale? Same rogale? - skrzywił się z rozczarowaniem Dulli.

- Nie tylko. Są jeszcze jakieś pączki, precle... Generalnie same śmieci. W okolicy nie ma zbyt wielu supermarketów -

dodał, zerkając na Dullego, który wgryzał się właśnie w rogała z makiem.

Serge też wyjął z torby rogała i ugryzł spory kawałek. To, że autobus ruszył, pobudziło w nim apetyt.

- Jedziemy, a przecież nie mamy biletów... - Dulli wyjrzał przez okno.

- A właśnie, że się mylisz - odparł Serge, odkładając na chwilę jedzenie, żeby wyjąć coś z kieszeni. - Proszę - podał

Dullemu dwa bilety.

- Skąd je masz?

- Kupiłem u kierowcy.

- Przecież to jest autokar wycieczkowy... Nie ma biletów bez rezerwacji... - zdziwił się Dulli i dla pewności wychylił się przez szparę między fotelami. Za nimi siedziało dwóch Węgrów. Jeden spał, a drugi gapił się przez okno.

- Powiedzmy, że... no... kierowca miał w zapasie dwa bilety ekstra.

- A, no skoro tak... - Dulli pokiwał głową. - To ile mu dałeś?

- Trzysta euro.

- Za dwa bilety?!

- Nie. Za jeden.

Dulli opadł na fotel, mówiąc, że to najdroższe bilety autokarowe w jego życiu i po powrocie do domu chyba oprawi swój w ramkę. Z nerwów chyba zaschło mu w gardle, bo wziął

do ręki kubek i wypił spory łyk kawy, po czym na chwilę spojrzał na malowniczy pejzaż za oknem.

- Słuchaj, Serge... - odezwał się po dłuższej chwili, kiedy Magdi skończywszy jeść, rozsiadł się wygodnie i przymknął

oczy, chcąc się przespać. - Wtedy, w trakcie rozmowy w pokoju, zapomniałem wam o czymś powiedzieć...

Serge otworzył oczy i z napięciem spojrzał na Dullego.

- O czym?

- ZOE PIETRO... ŻYCIE PIOTRA... - powiedział Dulli, zerkając w okno. - Chodzi o to, że albo zrobiłeś to celowo, albo przez przypadek... - Dulli zerknął na Serge'a, jakby chciał się upewnić co do jego intencji. - W każdym razie źle zinterpretowałeś symbolikę tej łacińskiej sentencji. Tu nie chodzi o Watykan, nie o spotkanie dwóch Piotrów, nawet nie o Zoję...

- NO TO O CO?! - zapytał Serge, prawie krzycząc. Kilku pasażerów siedzących najbliżej niespokojnie poruszyło się na siedzeniach.

- Dobrze wiesz o co... - wyszeptał Dulli konspiracyjnym tonem. - O Piotra. Szymona - poprawił się. - Tak, Szymona, złodzieja Ewangelii Apostolic, który ukradł ją Annie i Lewicie i ukrył... - Dulli rozejrzał się niespokojnie po autokarze, jakby bał się, że w każdej chwili zza siedzenia może wychylić się szpieg albo nazista.

- Co ty chcesz mi właściwie powiedzieć? - dopytywał się Serge, prawie

wściekły na swojego towarzysza.

- Co chcę powiedzieć? O, panie Magdi! Doprawdy, wielkie czynisz spustoszenie w mym sercu, udając głupiego! -

powiedziawszy to, Dulli przyciągnął Serge'a za rękaw do siebie i zaczął mówić dalej szeptem. - Dobrze wiesz, o czym mówię.

O klątwie. O tym, co działo się od czasów papieża Urbana

VIII... Wszystkim, którzy ośmielili się schodzić do resztek fundamentów bazyliki konstantyńskiej, przepowiedziano srogą karę. I Pius XII razem z niemieckim prałatem Ludwikiem Kaaasem, tym samym, który razem z Hitlerem ustalał

Reichskonkordat, odważyli się zejść o metr niżej. Tylko dlatego, że Pius za życia chciał sobie zagwarantować godne miejsce pochówku. Dobrze wiesz, że szczątki, które odnaleźli, nie należały do Szymona... że zbezczeszczone kości jakiegoś męczennika przeleżały w drewnianym pudełku ponad dwanaście lat, aż do chwili, kiedy pewien archeolog, dokładnie KOBIEŃKA Margherita Guarducci, upomniała się o nie, chcąc dokończyć badania archeologiczne. I w końcu dostała, tyle że kości kogoś, kogo do dziś nie jesteśmy w stanie rozpoznać... - Dulli zrobił

w powietrzu znak krzyża. - A Pius XII, w roku jubileuszowym 1950, ogłosił, że oto pod Bazyliką Świętego Piotra spoczywają szczątki Szymona, Apostoła Piotra, pierwszego Papieża. - Dulli pokręcił głową. W oku zaślniła mu łza. - A to wszystko przecież tylko kolejne kłamstwo...

- Tak, wiem - odpowiedział nagle Serge.

- To po coś jej o tym powiedział, na litość boską?! Przecież ona w to uwierzyła... Jest gotowa uwierzyć we wszystko, byle tylko odzyskać córkę.

- Właśnie dlatego.

- CO? - Dulli zrobił wielkie oczy i chcąc się przesunąć, niechcący kopnął nogą pusty kubek po kawie, który zatoczył się i poleciał pod siedzenia przed nimi.

- Nie jestem pewien, czy nosi w sobie dar. Chwilami mam wrażenie, że wyjątkowe cechy potomków rodu Dawida wypaliły się kilka pokoleń temu - wytłumaczył Serge, nie kryjąc smutku.

Dulli zastanowił się przez chwilę i odpowiedział, że niestety to może być prawda.

- Trudno uwierzyć, żeby ktoś, kto jest potomkiem Marii Magdaleny i Jezusa, był w stanie uwierzyć, że mój ojciec wie lepiej od niego, gdzie jest

ukryta Ewangelia Apostolic. Przecież darem potomków rodu Dawida jest świetna intuicja.

- Boję się, że Zoja wcale sobie nie ufa. I nie słucha wewnętrznego głosu - ocenił Serge.

- Nie martw się. - Dulli poklepał go po ramieniu. -
Ostatecznie jest jeszcze kopia.

- Jaka kopia, na litość boską?! - zdziwił się Serge.

- Ta, której fragment znalazła Zoja na podłodze w apartamencie, tuż przy ciele martwego Pietra Cippo. Sam mi o tym powiedziałaś, nie pamiętasz? - wyjaśnił Dulli.

Serge wyjął z kieszeni fragment papirusa zawinięty w foliową torebkę.

- Sądzę, że kardynał Angener wszedł w jej posiadanie tej nocy, kiedy odcięto mu dłoń, miał ją w swoim apartamencie... -

powiedział, podając zafoliowany kawałek papirusa Dullemu.

Dulli przyjrzał się dokumentowi z bliska i pokręcił głową, wyraźnie zawiedziony.

- E tam, to nie żadna kopia. To marny falsyfikat, o ile można tak powiedzieć o kopii z kopii - ocenił. - Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że średniowieczną kopię pierwszej strony manuskryptu Marii Magdaleny, z uzupełnieniami świętej Anny i Jezusa, posiada w swoich archiwach Watykan.

- A co, jeśli kardynał Giovanni na polecenie Anny Braun ukradł kopię z Watykanu? - zaniepokoił się Serge.

- Jestem pewien, że tego nie zrobił. Kopia nie ma dla nich żadnej wartości. Dla Anny Braun liczy się tylko oryginał i obaj dobrze wiemy dlaczego. . - Dulli znów spojrzął w okno i zaczął

recytować z pamięci fragment Ewangelii - „Jam jest ta, co dzieje te widziała i spisała w imię Pańskie. Niechaj nikt ręki nie

podniesie na syna Bożego, który to umiłowan przez Boga Ojca, Na ziemię zstąpił z niebios, by lud niewierny na wiarę nawrócić w Jedyne. Co w Trójcy przernajświętszy zasiada z mirrą, kadzidłem i złotem, By czcić niepoznane i niepoznane ludziom objawić”. Kiedy skończył, znów spojrzął na Serge’a. - Wiesz, w czym widzę problem?

Serge pokręcił głową, wyraźnie skonsternowany.

- W tym... - ciągnął Dulli - ...że nawet gdyby informacja o istnieniu Ewangelii Apostolic ujrzała światło dzienne, ludzie nic by z tego nie zrozumieli. Nie wiedzą nawet, co piszą na drzwiach w dniu święta Objawienia Pańskiego, zaraz po święcie przesilenia. Zamiast pisać na

drzwiach swoich domów C+M+B, Christus Mansionem Benedicat, czyli Niech Chrystus Błogosławi Temu Domowi, kreślą kredą imiona trzech proroków, których dla ułatwienia Kościół przedstawił jako trzech króli, ukrywając to, że to Maria Magdalena i Jezus byli potomkami króla Dawida, który sam był potomkiem Abrahama, Mojżesza, aż do początku, czyli Ewy i Adama...

- Po co my właściwie jedziemy teraz do Warszawy? - Serge zmienił temat, coraz bardziej zaniepokojony losem Zoi.

Dulli wlepił w niego swoje przenikliwe oczy, błyszczące teraz niczym gwiazda wschodu.

- Jedziemy tam, żeby upewnić się w tym, co już wiemy.

Jesteśmy niczym prorocy pokonujący drogę do stajenki. -

Zaśmiał się pod nosem, ale zaraz jego ton znów stał się poważny. - Potwierdzimy to, co już wiemy, tylko po to, żeby upewnić się, że nie wiemy niczego ponad proroctwa...

Serge westchnął, czując, że Dulli jest całkiem szalony. Nagle nabrał przeczucia, że popełnił błąd. Jak mógł uwierzyć, że w dłoni siostry Hummel jest jeszcze jakaś wiadomość! Powinien być teraz z Zoją, gdziekolwiek jest...

- Nie obawiaj się, mój przyjacielu - powiedział nagle Dulli, widocznie wyczuwając jego obawy. - Jeśli to ja źle ją oceniłem i Zoja naprawdę jest z rodu Dawida... Jeśli naprawdę wie to, co powinna wiedzieć, sama odnajdzie Ewangelię Apostolic.

A my... my jedynie odrobinę jej w tym pomożemy - dodał, uśmiechając się tajemniczo.



PIELUCHA DZIECIĄTKA JEZUS

Katedra Świętej Marii jest bodaj najdziwniejszym połączeniem sztuki karolińskiej, romańskiej i gotyckiej na świecie. Ktoś, kto nie zna się na

sztuce, z początku robi wielkie oczy; dostrzegając potęgę budowli i jej zapierający dech w piersi rozmach, czuje się maluczki, tak jak chce tego Kościół.

Kiedy ochłonie z pierwszych emocji, jeśli jest wystarczająco czujny, zaczyna się zastanawiać, jakim cudem ten chaos stanowi jedność, i to jedność tak piękną i wyjątkową, że w 1978 roku wpisano ją na listę dziedzictwa kulturowego UNESCO.

Idąc przez plac otoczony z obu stron stylowymi kamienicami, Zoja myślała właśnie o tym. Jak kaplica Karola Wielkiego, zachodnie skrzydło i prezbiterium, wybudowane w całkiem innych epokach, mogą w ogóle do siebie pasować?! Oczywiście, bez wątpienia główne spoiwo stanowił przepych, bogactwo i słynne na całym świecie relikwie, o których dopiero co przeczytała w przewodniku po katedrze kupionym za dwa euro w sklepie z pamiątkami. Jednego Zoja nie mogła zrozumieć.

Owszem,
podziwianie
słynnego
posągu
wilczycy
sprowadzonego
tu
przez
króla
Karola
Wielkiego,

czterotonowych Wilczych Wrót czy nawet tronu cesarskiego z sześcioma kamiennymi stopniami, mającymi odwzorowywać schody świątyni Salomona w Jerozolimie, jest całkiem sensowne. Sama, gdyby miała czas i nie była tak bardzo zdenerwowana tym, co ją czeka, poszłaby je zobaczyć. Ale żeby pielgrzymować do pieluszki Dzieciątka Jezus? Nie, to nie mieściło jej się w głowie. Stała pod zamkniętymi drzwiami katedry, myśląc o tym, że nigdy nie zrozumie, jak to możliwe, że ludzie są aż tacy naiwni.

Zoja wsunęła dłoń do kieszeni bluzy i zaraz ją cofnęła.

Poprawiając plecak, który zsunął jej się z ramienia, przypomniała sobie, że przecież nie ma telefonu. Niestety.

Zegarka też nie. Stojąc w cieniu wysokiej na siedemdziesiąt cztery metry wieży katedry, mogła tylko liczyć na to, że ma dobre wyczucie czasu.

Bo przecież kiedyś miała. Pracując nad projektami dla klientów, potrafiła ani razu w ciągu dnia nie spojrzeć na zegarek. I nigdy nikt nie musiał na nią czekać. Prędzej odwrotnie.

Po co ja się tak tym denerwuję - pocieszyła się w myślach - przecież zostawiłam samochód przy Ursulinerstrasse najwyżej dziesięć minut temu. Człowiek, z którym umówił mnie Dulli, miał czekać pod katedrą za godzinę. Wyjechałam z Monschau chwilę po pierwszej. Podróż nie trwała dłużej niż czterdzieści minut...

- Pani od Dominica Dullego, prawda?

Zoja gwałtownie się odwróciła. Za jej plecami stał mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna w pikowanej kurtce, czarnych dżinsach o prostym kroju i butach jak do jazdy konnej.

Przyglądał się jej, marszcząc brwi, jakby spodziewał się całkiem kogoś innego.

Przedziwna osoba - przebiegło Zoi przez myśl, kiedy mężczyzna podszedł bliżej. Zaraz potem uznała, że i tak nie ma to znaczenia. Jeśli ten człowiek ma jej pomóc w dostaniu się do Denbigh, mógłby nawet zacząć fikać fikołki, a i tak poszłaby tam, dokąd by ją zaprowadził...

- Zgadza się - odpowiedziała, starając się, żeby w jej głosie nie dało się wyczuć lęku. - A pan?

Mężczyzna zamiast odpowiedzieć, odwrócił się na pięcie i wskazał ręką jakiś punkt, rysujący się w oddali, za linią boczną kaplicy Karola Wielkiego.

- Zaparkowałam pod kościołem świętego Foillana. Byłem pewien, że Dominic każe pani czekać właśnie tam... -

powiedział i ruszył żwawym krokiem przed siebie.

Zoja zrobiła zdziwioną minę. Nie spodziewała się, że Dominic mógłby w czymkolwiek się pomylić, a już na pewno nie w tak ważnej sprawie...

- Nie wiedziałam, że jest tu jeszcze jeden kościół - przyznała Zoja, idąc dwa kroki za mężczyzną.

- Owszem - zerknął na nią, nie zwalniając kroku. - Jego patronem jest święty Foillan, irlandzki mnich, blisko związany ze świętą Gertrudą z Nijvel, której ojciec Pepin z Landen, też święty Kościoła, był zarządcą merowińskiego królestwa Franków za czasów króla Dagoberta...

Mówił tak szybko i z taką pewnością siebie, jak gdyby był pewien, że Zoja już to wie, ba, że WSZYSCY to wiedzą. Tyle że ona nic z tego nie rozumiała. Dopiero po chwili coś zaświtało jej w głowie.

Legenda, zasłyszana dawno temu, w którejś z sensacyjnych książek...

- Merowingowie? Czy to nie jest ten słynny ród zapomnianych królów, o którym powstaje tyle wyssanych z palca historii?

Mężczyzna gwałtownie stanął. Wyglądało na to, że nie spodobało mu się to, co powiedziała.

- Ród Merowingów, droga pani, nigdy nie był zapomniany - odparł szorstko. Podszedł bliżej i ściszył głos. - A poza tym, kto jak kto, ale kobieta, którą przysłała do mnie Dominic Dulli, syn

Vincenza Saby Dullego, powinna wiedzieć, że nie byłoby ani króla Karola Wielkiego, ani tej wystawnej budowli... - Zamilkł

i wskazał palcem na tył katedry i na przepiękne witraże lśniące w schodzącym coraz niżej słońcu, wyraźnie zachwycając się ich widokiem. - ... gdyby nie właśnie Merowingowie, potomkowie królewskiego rodu Dawida, Marii Magdaleny i Jezusa.

Zoja miała zamiar odpowiedzieć, że nie jest to powszechnie znana wersja historii, więc ma prawo o tym nie wiedzieć. Nie zdążyła, bo mężczyzna po prostu odwrócił się do niej plecami i poszedł dalej, wzdłuż cienia rzucanego przez wysokie ściany katedry. Zrobiła to samo, postanawiając, że odtąd będzie milczeć. Uznała, że tak będzie lepiej. Jeśli w ogóle może być lepiej.

- Niech się pani teraz skupi - rozkazał mężczyzna, kiedy dotarli na niewielki plac otoczony budynkami i drzewami. Zoja założyła ręce na piersi, zastanawiając się, co takiego ma jej do powiedzenia. Dokładnie na wprost nich, równoległe do kaplicy Karola Wielkiego, stał niewielki kościół w gotyckim stylu.

Panował tu wręcz nieziemski spokój, jak gdyby to miejsce należało do całkiem innej rzeczywistości niż ta, którą mieli za plecami.

- Paradoks polega na tym, że najważniejsze jest często ukryte dla oka, niestety. Dzięki temu, że mało komu chce się szukać, ludzie przepisujący historię według własnych potrzeb ukrywają prawdę. Dlatego kościół świętego Foillana jest mały i cichy, a katedra Świętej Marii, z relikwiami z pieluch, przepasek z bioder, rzekomymi paskami Maryi i Jezusa, tak, paskami, nie przesłyszała się pani, jest wielka i wzbudza strach.

Zoja w ostatniej chwili zdołała powstrzymać śmiech.

Spojrzała na mężczyznę, kiwnięciem głowy dając mu znak, że się z nim zgadza. Bo naprawdę tak było. Dokładnie o tym samym myślała przecież kilka minut temu...

Chmury, które na krótko przysłoniły popołudniowe słońce, teraz

zniknęły. Niebo nad ich głowami znowu przybrało piękną, błękitną barwę. Zapachniało wiosną. I kawą, z położonej po drugiej stronie placu niewielkiej kawiarenki, do której prowadziły ogromne, szklane drzwi otwarte na oścież. Duże, oświetlone ciepłymi lampami witryny pełne wykwintnych łakoci kusily Zoję, mimo że starała się nie patrzeć w tamtą stronę.

Przez kilka sekund poczuła tak ogromną tęsknotę za normalnym, spokojnym życiem, że aż zakłuło ją w piersi.

Szybko odgoniła te myśli, ale żal i tak pozostał.

Mężczyzna zerknął na zegarek, potem na Zoję. Oświadczył, że mają jeszcze trochę czasu, i wskazał na otwarte drzwi kawiarni, dokładnie tej samej, o wizycie w której zamarzyła przed chwilą Zoja.

- Możemy wziąć kawę na wynos i pójść do kościoła świętego Foillana...
- zaproponował.

- Nie chcę iść do żadnego kościoła! - zaprotestowała Zoja trochę zbyt agresywnym tonem. - Przepraszam, nie chciałam być niemila. Chodzi o to... no... że od jakiegoś czasu mam dość kościołów. I w ogóle obiektów sakralnych. No i cmentarzy... I w ogóle mam dość wszystkiego. - Szczerść, na jaką się zdobyła, zdziwiła nawet ją samą. Po co mówi obcemu facetowi takie rzeczy? Co niby go to obchodzi, czego ma dość, a czego nie?

Sama już nie wiedziała, czy to zmęczenie, czy stres, czy strach, czy wszystko razem, włącznie z brakiem snu, zaczyna jej mącić w głowie. Ze smutkiem spuściła głowę.

A niech tam - pomyślała - niech myśli o mnie, co chce, zupełnie mnie to nie obchodzi.

- Wie pani... - Mężczyzna od dłuższej chwili nie spuszczał z niej wzroku. - To może zostanmy przy kawie. I gorącym ciastku. Mają tu wyśmienite ciasto francuskie zapiekane z brzoskwiniami - zaproponował i poprowadził Zoję do kawiarni.

- No i jak, miałem rację, pyszne co? - zapytał kilka minut później, kiedy już udało im się dopchać do lady, złożyć zamówienie i cudem zająć stolik przy oknie. Jeden z trzech, bo kawiarnia była naprawdę mała, a przez to bardzo klimatyczna.

Za przeszkloną ladą leżały na białych serwetkach niezliczone ilości ciastek, ciast, ciasteczek, a także słonych przekąsek i wariacji na temat dżemów, marmolad, kremów i dodatków do deserów, o wielkich tabliczkach czekolady nie wspominając.

Zoja pochłaniała trzecie ciastko francuskie, popijając drugą filiżanką białej kawy. Była nieopisanie wręcz głodna.

Nic dziwnego - oceniła w myślach, odstawiając na spodek prawie pustą filiżankę i łakomie pakując sobie do ust kolejny kawałek gorącego ciastka - przecież nie jadłam obiadu od dobrych dwóch dni. Ile można żyć na kawie, rogalikach i lekach przeciwbólowych.

- Wie pani... - odezwał się po dłuższej chwili mężczyzna. -

Gdyby nie to, że to księżna poleciła mi zapewnić pani bezpieczną podróż do Denbigh i że chodzi o przysługę dla Dominica, pomyślałbym raczej, że to jakaś pomyłka.

Zoja przełknęła ostatni kawałek ciastka i wytarła palce serwetką. Powoli podniosła wzrok i spojrzała na mężczyznę, zastanawiając się nad tym, co przed chwilą powiedział.

- Sugeruje pan, że nie wzbudzam zaufania, tak? I o jakiej księżnej pan mówi? Sądziłam, że Dominic zadzwonił bezpośrednio do pana.

Mężczyzna spojrzał w okno, jakby potrzebował chwili, żeby zastanowić się nad odpowiedzią. W końcu, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że prawda jest lepsza od kłamstwa, wypalił prosto z mostu.

- Proszę nie zrozumieć mnie źle, ale nie wygląda pani najlepiej. Prawdę mówiąc... wygląda pani jak ktoś, kto usłyszał wyrok śmierci i zmierza ku samozagładzie, żeby wyręczyć kata.

Zoja poczuła się rozzłoszczona. Zaczęła żałować, że przyjęła jego zaproszenie do kawiarni. Fakt, może trzy ciastka i dwie kawy to za dużo jak na małą przekąskę, ale to jeszcze nie powód, żeby oceniać ją tak nisko!

- Niestety ma pan rację. Nie spałam od tygodnia, nie jadłam porządnego posiłku od kilku dni i właściwie żyję tylko dzięki adrenalinie, która skacze mi gwałtownie, zwłaszcza kiedy ktoś próbuje zaprosić mnie do kościoła... - Zrobiła pauzę, bo zaschło jej w gardle. Nie pytając o zgodę, wzięła jego szklankę z wodą do popicia espresso i wychyliła duszkiem, ocierając usta dłonią.

- Jak pan widzi, nie mam siły na dobre maniery. Szczerze mówiąc, marzę o porządnym łóżku, gorącej kąpieli, czystej bieliźnie, a przede wszystkim chciałabym przytulić swoją córkę, tyle że Niestety nie wiem, gdzie jest... - wypaliła Zoja, czując, że przyglądanie się temu wymuskanemu dżentelmenowi o nieskazitelnie czystych paznokciach i zdrowej, rumianej

twary bez podkrążonych oczu zaczyna ją coraz bardziej irytować. I ponizac, biorac pod uwage, ze wlasnie w tej chwili uswiadomila sobie, ze od rana nie umyla nawet rak.

Co sie ze mna dzieje?! Do cholery! - pomyslala ze zloscia, starajac sie udawac, ze nie widzi, jak patrzy na nia wchodzacy do kawiarni goście. I jak patrzy na nia mężczyzna, z którym siedzi przy stoliku. Jego pewność siebie nagle przygasła.

Widocznie moje wyznanie wzbudziło w nim wyrzuty sumienia - przebiegło Zoi przez myśl.

- Bardzo mi przykro z powodu porwania pani córki... - wypalił nagle.

Zoi zapaliła się w głowie czerwona lampka. Porwanie? Czy on powiedział, że Sashę porwano? Skąd do cholery o tym wie...

Jeśli Dominic powiedział o tym tej księżnej, na temat której mężczyzna milczy, a ona przekazała to jemu, to znaczy, że wie, kim jest. O cholera!

- Wygląda na to, że pan dobrze wie, kim jestem, ale ja nie wiem nawet, jak ma pan na imię - rzuciła Zoja, wyzywająco spoglądając mężczyźnie w oczy. Od razu zobaczyła, że obrót rozmowy nie jest mu na rękę.

Dobrze, bardzo dobrze - pomyslala Zoja, ciagle nie odrywajac od niego wzroku.

- Lord Richard Winston Churchill, do usług - powiedział powoli i nieznacznie skinął głową.

Zoja poczuła, jak cała pewność siebie uchodzi z niej niczym powietrze z przebitej dętki. Czy to możliwe, żeby TEN

CZŁOWIEK był krewnym Winstona Churchilla? A jeśli tak, to co do cholery robi w Akwizgranie? Zapytała go i o jedno, i o drugie. Z jego ust padła wymijająca, ale raczej szczerza odpowiedź.

- Owszem, mój dziadek był premierem Wielkiej Brytanii.

A co do wizyty w tym mieście... Powiedzmy, że mam tu interes do załatwienia i przy okazji zostałem poproszony o to, żeby udzielić pani pomocy.

Zoja postanowiła nie odpuszczać. Nie sądziła, że lord Churchill odpowie na jej pytania, ale przynajmniej nie będzie miała do siebie żalu, że ich nie zadała.

- Czy mogę poznać nazwisko księżnej, do której dzwonił

Dominic, a która zadzwoniła do pana? - spytała i zaraz dotarło do niej, że prawdopodobnie popełniła gafę. Do papieża zwracamy się „ojcze święty”, do lorda - „Sir” albo „Lordzie”...

- Nie powiem pani, kim jest księżna - odparł stanowczo lord, zupełnie pomijając to, czy Zoja zwraca się do niego z przedrostkiem czy bez, po czym zerknął na zegarek, oznajmiając, że muszą się już zbierać.

Zoja z błyskiem w oku zerknęła w kierunku jego nadgarstka.

Co to za marka? Rolex? Omega? Tag Heuer? Longines? O, jeśli chodzi o rozpoznawanie zegarków noszonych przez bogatych Amerykanów kupujących luksusowe domy w Europie, Zoja nie miała sobie równych. Na ich podstawie była w stanie ocenić, ile chcą wydać na dom i gdzie ma wyszukiwać dla nich oferty. Ten tutaj był wart jakieś dziesięć tysięcy dolarów. Tym bardziej to, o co zamierza poprosić Churchilla, to czyste szaleństwo...

- Panie Churchill... Czy mogę mieć do pana jeszcze jedną prośbę? Churchill westchnął i spojrzął w kierunku lady z ciastkami.

- Z brzoskwinia? - zapytał i zaczął wstawać. Zoja zatrzymała go w ostatniej chwili, kładąc dłoń na jego nadgarstku.

- Chciałabym, żeby pożyczył mi pan swój zegarek - poprosiła. Teraz, z bliska, zobaczyła, że to rolex. Złoty, na skórzanym pasku, wodoodporny, ale bez zbędnych gadżetów w stylu ciśnieniomierza. Klasyczny, ponadczasowy model.

Churchill na kilka sekund zamarł, zupełnie zbity z tropu.

W końcu przysiadł przy stoliku i - siłąc się na łagodny ton - oznajmił Zoi, że to raczej niemożliwe.

- Proszę wybaczyć, ale ten zegarek ma dla mnie szczególną wartość - zakończył, posyłając Zoi na pocieszenie zdawkowy uśmiech.

- Proszę... - naciskała Zoja. - Naprawdę potrzebuję zegarka. Oddam go panu, obiecuję.

Churchill przez chwilę wpatrywał się w Zoję, a potem energicznie odpiął pasek i podał jej rolexa.

- Trzymam panią za słowo - powiedział, przyglądając się, jak Zoja zakłada zegarek. - Ma do mnie wrócić cały i działający.

I ma mi go pani dostarczyć osobiście - dodał, uśmiechając się, jakby chciał powiedzieć, że wierzy w to, że Zoja wyjdzie z tego wszystkiego cała i zdrowa.

Wyszli z kawiarni i wsiedli do zaparkowanego nieopodal czerwonego nissana juke. Zoja nawet nie zapytała, dokąd jadą, wciąż zaaferowana tym, że ma na ręce coś, co należy do wnuka Winstona Churchilla.

- Zawiozę panią na lotnisko - wyjaśnił Churchill kilka minut później, kiedy wyjechali z głównej części miasta, kierując się na drogę wylotową w kierunku Würselen. - Poleci pani do Cardiff prywatnym samolotem wycarterowanym na moje nazwisko.

Tam będzie czekał na panią kierowca, który bezpiecznie dowiezie panią do Denbigh.

Zoja skinęła głową, potwierdzając, że rozumie. Już raz leciała prywatnym samolotem, z Warszawy do Wiednia. Na samą myśl o tym, jak źle skończyła się tamta podróż, wołała zająć się spoglądaniem przez okno na stojące na pasie obok samochody, czekające tak jak oni na zmianę świateł.

Nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy nissan zajechał pod halę odlotów lotniska. Churchill zatrzymał auto nieco dalej od głównego wejścia, dając Zoi czas, żeby mogła spokojnie wysiąść. Nawet się nie zdziwiła, że nie zamierza jej odprowadzić.

- Wejdzie pani głównym wejściem i skieruje się w lewo. -

Wskazał ręką na rozsuwane drzwi, przez które co chwila przechodziły grupy ludzi. - Najlepiej niech pani podejdzie do któregoś z pracowników i poprosi, żeby zaprowadził panią do strefy VIP - dodał, kiedy Zoja zarzucała plecak na ramię. - I nie musi pani podawać swoich danych, wystarczy, że powie im pani moje nazwisko.

- Tak zrobię - odpowiedziała Zoja, podchodząc do stojącego przy drzwiach Churchilla i wyciągając rękę na pożegnanie. -

Dziękuję panu. Lordzie - dodała z przekąsem.

- Niech mi pani nie dziękuje - odpowiedział, odwzajemniając pożegnalny gest. - W Denbigh czeka na panią pokój z wygodnym łóżkiem, ciepła kolacja i wanna. Proszę dać sobie dziś chwilę na odpoczynek, a załatwianiem spraw zajmie się pani od rana. Inaczej naprawdę zacznę się obawiać, że już go nie zobaczę... - powiedział, zerkając na rolexa.



KOT, KRÓLIK I ŁASICA

Lot z Niemiec do Cardiff i jazda samochodem do Denbigh.

Zoję wyrwał z zamyślenia głos kierowcy czarnego hyundaia I30, który po kilkudziesięciu minutach jazdy odezwał się dopiero drugi raz, oznajmiając, że są na miejscu.

Zoja wyjrzała przez okno. Stali pod niewielkim, ale bardzo starym trzypiętrowym budynkiem, z zawieszoną nad drzwiami tabliczką, na której widniała nazwa Guildhall Tavern z namalowanymi nad nią dłonią, młotkiem, obcęgami i butem.

Lepiej nie mógł trafić... - pomyślała Zoja, wciąż patrząc na namalowaną zieloną farbą dłoń, odciętą dokładnie w nadgarstku.

Wysiadła bez pożegnania. Weszła do środka i podała nazwisko lorda, bo - nauczona doświadczeniem ostatnich godzin - załatwił

wszystko na swoje nazwisko. Tak jak się spodziewała, bez problemów dostała klucze do pokoju. Wdrapała się po stromych schodach na piętro i dopiero kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła klucz, odetchnęła ciężko. Problem pojawił się dokładnie w chwili, kiedy uznała, że wszystko zaczyna iść tak, jak powinno.

Przypomniała sobie, jak w samolocie rozsiadła się wygodnie.

Przez połowę lotu patrzyła z zachwytem na zachodzące słońce, pierwszy raz od dawna czując jako taki wewnętrzny spokój.

I nagle w jej głowie zaświtała myśl. Przecież zapomniała o liście od babki Zofii! Wychodząc w pośpiechu z pokoju hotelowego w Monschau, wcisnęła go głęboko do plecaka. I przypomniała

sobie o nim właśnie wtedy, w tej chwili, kiedy słońce błogo omiatało jej twarz, powodując, że oczy zaczynały jej się zamykać.

Wyjęła

kopertę.

W międzyczasie

poprosiła

stewardessę o szklaneczkę czegoś mocniejszego. Ta zaraz przyniosła Zoi szklanekę whisky z lodem, zachwalając trunk pochodzący podobno z Walii, z jedynej w tym rejonie gorzelni Penderyn. Zastanawiając się, co jeszcze ta prywatna firma wynajmująca samoloty mogłaby zrobić, żeby dogodzić lordowi Churchillowi, Zoja omiotła wzrokiem złożoną na cztery kremową kartkę, którą trzymała w jednej dłoni, w drugiej trzymając przyjemnie chłodną od lodu szklanekę z rudawym napojem. Upiła spory łyk. Wyrzała przez iluminator. Słońce jak świeciło, tak świeciło, dodając jej odwagi. Rozłożyła kartkę i prawie krzyknęła ze zdumienia, widząc, że na samym środku, zamiast długiej i wylewnej opowieści jej babki o tym, jak to bardzo chciała ją odzyskać, znalazła jedynie rymowaną, wyrwaną ewidentnie z jakiegoś dłuższego wiersza : Na co nam wojny! Ja przekładam zgodę -

Rzecz łośnica - nakłoń baczne ucho, A wnet prawd moich dowiodę.

Wiedz, że przed laty dawnemi

Mój pra-pra dziad chciał tu, na tej ziemi, Wygrzebać nory dla swego plemienia.

Zamiar skończył się na chęci, Lecz następne pokolenia

Przechowały go w pamięci.

I choć kiedyś króliki wspomogły łośnice, Gdy szczury naszą obległy stolicę, Nic to nie znaczy - wola przodków święta, Stwierdzona przez testamenta, Kazała nam stosownej upatrywać pory

I zagarnąć wasze nory.

Twe włości są po prostu rewindykowane, Dałeś je sobie zabrać, wzięłam i zostanę.

- No i co ja mam z tym zrobić? - wyszeptała Zoja, siadając ciężko na wysokim łóżku z baldachimem, na którym leżało kilkanaście poduszek w kwiaty. Zsunęła z ramion kurtkę i ciężko opadła na materac, wlepiając wzrok w sufit.

- „Te włości są po prostu rewindykowane, Dałeś je sobie zabrać, wzięłam i zostanę” - powtórzyła fragment, który najbardziej wbił się jej w pamięć, i wyciągnęła z kieszeni spodni pognieciony list, żeby po raz setny na niego spojrzeć.

Z początku może i czuła się zawiedziona, ale teraz już nie. W tej chwili miała w głowie raczej myśl, że skoro jedni modlą się do pieluszek i pasków, inni zamiast próbować się jakoś wytłumaczyć, mogą pisać listy, cytując wiersze nieznanych poetów.

„Mój pra-pra dziad chciał tu, na tej ziemi, Wygrzebać nory dla swego plemienia” - odczytała na głos fragment znajdujący się bliżej początku. Czując, że ze zmęczenia zaczyna tracić rozum, zwlekła się z łóżka i zrzucając po drodze ubranie, poszła do łazienki. Wzięła szybką kąpiel i gdy wróciła do pokoju, na widok łóżka zakręciła się jej w oku łza.

Ostatnią myślą, kiedy już zagrzebała się w miękką pościel, poza wyrzutami sumienia z powodu córki i powracającymi strofami wiersza, było to, że lord Churchill miał całkowitą rację.

Jeśli nie złapie choć kilku godzin snu, nigdy nie uda jej się zwrócić mu zegarka.



GODZINA 17. 48

Berlin, Niemcy. Siedziba główna Federalnej Służby Wywiadowczej (BND)

Generałowie McGregor i Schlossel szli ramię w ramię wąskim korytarzem w podziemiach siedziby BND. Rozmawiali o czymś ściszymi głosami. Po ich minach widać było, że znowu stało się coś, czego nie przewidzieli, a co wywróciło ich plan do góry nogami.

- Co pan o tym myśli, generale? - Schlossel zwrócił się do McGregora, zerkając na niego kątem oka.

McGregor zazgrzytał zębami. Przez dłuższą chwilę myślał nad odpowiedzią.

- Nie mam słów. Po prostu nie wyobrażam sobie, jak pańscy ludzie mogli do tego dopuścić - powiedział ze zdenerwowaniem, kiedy wsiedli do windy i Schlossel nacisnął guzik z napisem *erdgeschoss*.

- Złapiemy ją, w jej stanie nie mogli jej daleko wywieźć - zapewnił go Schlossel. Spoglądając na swoje odbicie w lustrze, przeczesał włosy i poprawił sweter. W nieformalnym stroju czuł się wyjątkowo dziwnie. Jak gdyby brak munduru odbierał mu sporą część pewności siebie. Ale co robić, skoro McGregor uparł się, żeby we dwóch urządzili zasadzkę na Magdiego i Dullego. „Jeżeli zdecydują się na dalszą podróż, będzie nam łatwiej ich śledzić” - tak powiedział, kiedy jechali z Monschau

do Berlina i dyskutowali o tym, jak dopaść całą trójkę, włącznie z Pietrowną. Wtedy jeszcze nie mieli pojęcia, że Anna Braun uciekła z więziennego szpitala w Lingen. Teraz już wiedzą. Na samą myśl o tym Schlosselowi aż zadudniło w uszach.

Winda dojechała na parter. McGregor wysiadł pierwszy, Schlossel za nim. Do przyjazdu autobusu z Monschau zostały niecałe dwie godziny. Oczywiście McGregor wolał zjawić się na dworcu wcześniej, co wcale nie było na rękę Schlosselowi.

Szczerze mówiąc, w obecnej sytuacji wolałby zostać w siedzibie BND i czekać
na

meldunek
w sprawie
postępów
w poszukiwaniach Anny Braun. Przecież kobieta z dziurami w stopach
i dłoniach,
niemogąca
samodzielnie
się
przemieszczać, nie mogła zapaść się pod ziemię...

- Panie generale! - zawołał ktoś z drugiego końca przestronnego hallu.

Schlossel i McGregor stanęli jednocześnie, nie mając pojęcia, o którego z nich chodzi. Młody kapral w mundurze biegł w ich stronę, jakby właśnie dowiedział się o wybuchu trzeciej wojny światowej.

- Panie generale! - zaszalutował do Schlossela, nie zwracając uwagi na McGregora, który poczuł się tym lekko urażony. -

Proszę za mną, panie generale! Musi pan to zobaczyć!

- Ale co... - Schlossel nie zdążył dokończyć. McGregor stuknął go w ramię i podał mu Iphone'a. Na ekranie leciał na żywo kanał CNN. McGregor stuknął palcem w wyświetlacz i włączył dźwięk. Schlossel i tak już wiedział. Czerwony pasek u dołu ekranu przewijający w kółko jedną i tę samą informację był aż nazbyt konkretny. Ale i tak był niczym w porównaniu z tym, co mówiła prezenterka CNN.

„...na jutro, na godzinę dziewiątą rano. Dziennikarze z całego świata oczekują z niecierpliwością na konferencję prasową papieża Jana XXIV. Jak wynika z relacji naszego korespondenta, Kita Prestona, który jako jeden z pierwszych dziennikarzy dotarł na plac Świętego Piotra, już w tej chwili do Watykanu napływają tłumy dziennikarzy. Przez całą noc będą oczekiwać na być może najważniejszą konferencję prasową w historii Watykanu... Przypomnijmy, że z informacji, jakie udało się uzyskać naszemu korespondentowi Kitowi Prestonowi, wynika, że chodzi o aferę finansową, w którą zamieszani są wysocy rangą kardynałowie... Z watykańskiego banku mogły być wykonywane milionowe przelewy na konta osób powiązanych z działalnością neonazistowską...”

- BUM! Bomba wybuchła! - wrzasnął McGregor i zabrał Iphone'a z ręki Schlossela. Wyłączył streaming kanału CNN i schował urządzenie do kieszeni.

- I co teraz? - spytał Schlossel, czując, że z nerwów zaczyna go gniesć w

piersi.

- Jak to co? - odpowiedział McGregor, po czym zwrócił się do stojącego przy nich od ponad minuty kaprała. - Wołaj Linsky'ego! Ma tu być za minutę! A pan, panie generale. .

i pana ludzie - spojrzał groźnie na Schlossela - zrobicie wszystko i jeszcze więcej, żeby dziś w nocy przynajmniej Magdi i ten drugi wpadli w nasze ręce. Chcę być rano na tej konferencji, zanim się zacznie, wiedzieć więcej niż papież.

Schlossel ze zdziwieniem otworzył usta. Chyba chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

- No co, nie rozumie pan? Generale, błagam, proszę się trochę bardziej skupić na faktach... Przecież to oczywiste, że nikt inny, tylko Serge Magdi przekazał papieżowi informacje o przelewach z watykańskiego banku IOR na konta nazistów!



GODZINA 17. 55

Büren, Niemcy, Zamek Wewelsburg Przystojny blondyn w idealnie skrojonym garniturze od Hugo Bossa przypiętą do klapy złotą swastyką przemierzał zamkowe korytarze, pchając przed sobą wózek z siedzącą na nim kobietą.

Idąc marszowym krokiem, podszwami ręcznie szytych butów z krokodylej skóry chwilami wpasowywał się w rytm nuconej przez nią melodii „Deutschland, Deutschland ü ber Alles”.

Kręcili się po zamku od dobrej godziny i nic nie wskazywało na to, żeby kobieta szybko straciła chęć na zwiedzanie.

- Dokąd teraz? - zapytał blondyn, posługując się idealnym niemieckim. Zatrzymał wózek pod jednym z okien, przez które sączyły się pomarańczowe promienie zachodzącego słońca.

Kobieta przestała nucić. Przymknęła oczy, wystawiając twarz do światła. Trwało to chwilę, zanim odpowiedziała.

- Co robi moje dziecko?

- Pani dziecko, pani Braun?! - zdziwił się blondyn.

- Tak, moje dziecko, moja wnuczka Sasha, mecenasie Winckler... - odpowiedziała protekcyjnym tonem kobieta, kaząc mu odwrócić wózek od okna, żeby mogła widzieć jego twarz.

Zrobił to, o co go poprosiła, mówiąc, że najpewniej dziewczynka jest teraz na kolacji.

- Za ile minut wróci do swojego pokoju?

- Piętnaście, dwadzieścia... Tak myślę, pani Braun - odpowiedział mecenas Winckler.

- Dobrze. W takim razie proszę mnie tam zawieźć. Chcę zrobić jej niespodziankę.

Kilka minut później mecenas Winckler zatrzymał wózek pod masywnymi drewnianymi drzwiami komnaty we wschodnim skrzydle zamku. Korzystając z jednego z trzech kluczy, które poza nim mieli tylko zakonnica opiekująca się Sashą i Thies Ingobern, otworzył drzwi na oścież, żeby zrobić miejsce dla wózka.

- Nie! - rozkazała stanowczo Braun, widząc, że mecenas ma zamiar wwieźć ją do środka. - Nie zamierzam straszyć dziecka kalectwem. Wejść sama.

- Ależ pani Braun! Lekarz kategorycznie zabronił forsowania ścięgien. Przecież pani wie, że rany są jeszcze zbyt świeże...

Braun najwyraźniej nie zamierzała brać sobie do serca jego rady, bo nie czekając na jakąkolwiek pomoc, zestawiała zabandażowane do kostek stopy na podłogę i podpierając się na łokciach, próbowała wstać.

- Nie jest łatwo być Marią Magdaleną i Jezusem w jednym, panie mecenasie... - odparła, odpychając się łokciami od oparcia wózka i chwiejnie stając na piętach. - Samo to, że zostaliśmy wybrani... Oj! - krzyknęła i zatoczyła się w tył. Mecenas złapał

ją w ostatniej chwili, nim runęła na ziemię. - O, dziękuję, dziękuję - powiedziała Braun, podpierając się na jego ramieniu i kuśtykając w stronę drzwi. - Zawsze wiedziałam, że można na pana liczyć. Jest pan tak samo szlachetny jak pana dziadek.

Doktor Mengele był wspaniałym człowiekiem... - dodała, kiedy mecenas Winckler posadził ją w tapicerowanym fotelu pod oknem. Oddychając ciężko, podniosła zabandażowaną prawą dłoń i wskazała na okno. - Mógłby pan uchylić? Trochę tu

duszno. Zawsze uważałam, że dziecko powinno spać w dobrze wywietrżonym pokoju. I chłodnym. Nie ma nic gorszego niż przegrzewanie dziecka.

Mecenas podszedł i otworzył okno na całą szerokość.

- Oooo... tak, to miłe - powiedziała Braun, biorąc głęboki wdech i wyglądając na dziedziniec. - Pięknie tu, prawda? Nie dziwię się, że reichsführer Himmler wybrał to miejsce na siedzibę zakonu SS. - Oparła głowę o oparcie fotela i z zadowoloną miną spojrzała na mecenasa. - I my przeniesiemy tu Watykan, kiedy już Ewangelia Apostolic trafi w moje ręce... Zakupienie zamku nie będzie dla nas wtedy żadnym problemem. Dokończymy wielkie dzieło mojego dziadka! I pańskiego też, oczywiście... - dodała, widząc, że mecenas nie ma zbyt radosnej miny, ale szybko pojęła, że nie trapi go sprawa dziedzictwa Mengelego. - O co chodzi? Czy chce mi pan o czymś powiedzieć?

Mecenas westchnął. Starł palcem kurz z brzegu nocnej szafki i przystanął przy łóżu, na którym leżało mnóstwo zabawek.

Wsunąwszy ręce do kieszeni, zdał Annie Braun relację z tych kilku dni,

kiedy najpierw przez porwanie, a potem uwięzienie przez BND była całkowicie poza sprawami organizacji.

- Także, sama pani widzi, pani Braun... - podsumował przeprasającym tonem. - Musieliśmy odesłać grupę dzieci z klasztoru Waldbreitbach. Poza tym uważam, że naciskanie na kardynała Giovanni w sprawie Ewangelii Apostolic niewiele nam pomoże. Pani córka dostała cztery dni, żeby mu ją dostarczyć. Jutro rano mija termin i naprawdę uważam, że powinniśmy poczekać do tego czasu, a dopiero potem zastanowić się, czy użyć bardziej radykalnych środków.

Chłopcy z Wiking-Jugend są gotowi, Thies wybrał najlepszych. Wystarczy jeden telefon, żeby znowu wkroczyli do akcji...

Braun ni stąd, ni zowąd oznajmiła, że chce jej się pić.

Poprosiła mecenasa, żeby nalał jej wody z dzbanka stojącego na stoliku przy łożu. Kiedy podał jej wodę, objęła szklankę dwiema dłońmi i upiła kilka łyków, po czym powiedziała, że najbardziej jej żal księdza Adolfa Rielkego.

- W gruncie rzeczy to był oddany człowiek. Potrafił postępować z dziećmi jak mało kto... - oceniła Braun, pozwalając, by Winckler odebrał od niej wodę.

- Jest jeszcze coś... - powiedział, ostrożnie odstawiając szklankę na szafkę. - Pani córka... Od kilkunastu godzin nie możemy jej namierzyć.

Wygląda na to, że mikronadajnik został uszkodzony.

- Albo ktoś go jej usunął... - wtrąciła Braun ze złością w oczach. - Jak Bóg mi świadkiem, Serge już niedługo zapłaci mi za wszystko. Za zmarnowaną młodość... kradzież córki...

i za to, że zawsze musi się we wszystko wtrącać.

- Sądzi pani, że to on? Bo ja nie. Z tego, co wiem, podpadł amerykańskiemu wywiadowi. I niemieckiemu też. Po sprawie z Rielkiem już mu nie odpuszczają.

- E tam, panie mecenasie. Nie zna go pan - odpowiedziała Braun, ciężko wdychając. - Jedyna dobra rzecz, którą mogę o nim powiedzieć, to to, że nie jest głupi. Jeśli usunął

mikronadajnik z głowy mojej córki, to właśnie po to, żeby namierzając jego, nie zdołali namierzyć i jej. Chroni ją.

W końcu to jego...

Braun nie zdążyła dokończyć. Drzwi komnaty się otworzyły.

Do środka weszła zakonnica i na widok siedzącej w fotelu Braun zaszklily jej się oczy. Za jej plecami czaiła się mała dziewczynka z kawałkiem obranego jabłka w dłoni. Trzymając zakonnice wolną ręką za rąbek sutanny, ewidentnie próbowała się za nią ukryć.

- Anna! - zawołała zakonnica, z trudem powstrzymując łzy.

- Marta! - Ucieszyła się Braun. - Ile to czasu... Powiedz mi, jak się czuje siostra Hummel?

Siostra Marta pokręciła smutno głową. Na kilka sekund w komnacie zapadła pełna napięcia cisza.

- Zmarła dziś nad ranem - oznajmiła smutno zakonnica. -

Chciałam zadzwonić do szpitala, ale... - urwała, czując na sobie ostrzegawcze spojrzenie mecenasa Wincklera.

Braun odwróciła głowę do okna i zabandażowaną dłonią niezdarnie otarła łzy. Kiedy znów spojrzała na siostrę Martę, jej oczy były zaszklone i czerwone.

- Podaj mi dziewczynkę - rozkazała łamiącym się głosem.

Zakonnica wzięła dziecko na ręce i posadziła na kolanach Braun.

Dziewczynka przyglądała się jej twarzy z coraz większym zaciekawieniem.

- Poznała cię... - ucieszyła się siostra Marta.

- Nie mogła mnie poznać, bo nigdy mnie nie widziała -

odpowiedziała oschle Braun, uśmiechając się do dziewczynki. -

Po prostu jej matka i ja... to oczywiste... jesteśmy podobne.

Estera ma moje oczy. I mój uśmiech. - Westchnęła, gryząc kawałek jabłka, który podała jej dziewczynka.

- Köstlich! - powiedziała Braun z udawanym zachwytem, po czym widząc, że dziewczynka ją obserwuje, postanowiła nie czekać dłużej z przedstawieniem się. - Ich bin deine Großmutter Sasha...

- Ona nie rozumie po niemiecku - oznajmiła siostra Marta.

- Nie? - Zdziwiła się Braun. - Jak można nie znać najpiękniejszego języka świata... - Westchnęła, przechodząc na angielski. - To nic. Mecenas Winckler raz-dwa przygotuje dokumenty. Za kilka dni będę twoim jedynym opiekunem

prawnym, a wtedy wszystkiego cię nauczymy... Prawda, panie mecenasie?

Stojący w kącie mecenas przytaknął kiwnięciem głowy.

Nagle telefon w jego kieszeni zaczął wibrować. Rzucił szybkie

„przepraszam“ i wyszedł na korytarz, żeby odebrać.

- Coś się stało? - zapytała go Braun, kiedy po minucie wrócił do komnaty z niezbyt radosną miną. Siostra Marta zabrała Saszę do kąpieli. Zostali sam na sam.

- Obawiam się, że stoimy u progu największego kryzysu naszej organizacji od kilkunastu lat... albo i od samego początku. - Westchnął i nieobecny wzrokiem spojrzął w okno, zdając sobie sprawę, że Braun ani na sekundę nie spuszcza z niego oka. Trudno - pomyślał - musisz poznać prawdę... Jeśli mamy pójść na dno, to wszyscy, bez wyjątku.

- Pani Braun, chodzi o to, że Papież zwołał na jutro na dziewiątą konferencję prasową, na której ma zamiar ujawnić informacje o finansowej współpracy banku IOR z członkami naszej organizacji. W tym z panią, bo chodzi również o depozyt w banku Begelin & Co, do którego dostęp kilka dni temu uzyskała pani córka... Nie mam pojęcia, ile wie papież, ale obawiam się, że dzięki pomocy pani córki i Magdiego prawie wszystko.



GODZINA 18. 11

Watykan, Dom Świętej Marty

Tomaso Cippo odłożył słuchawkę telefonu i spojrzał na stojącego w drzwiach pokoju Gerarda. Obydwaj sprawiali wrażenie wykończonych i... przerażonych.

- Dostaniecie wsparcie żandarmerii - oznajmił Tomaso. -

Obstawią budynek na całą noc i potroją nocne patrole na terenie całego Watykanu. Zastanawiam się, czy nie wygonić z placu Świętego Piotra tych wszystkich dziennikarzy i nie zamknąć bram na noc...

Gerard zamknął uchylone drzwi i wszedł głębiej do pokoju, żeby wyrzucić przez okno. W normalne dni o tej porze ruch na uliczkach otaczających Bazylikę Świętego Piotra zaczynał

słabnąć. Znikały grupy turystów i wiernych. Dziś wokół Domu Świętej Marty kręciło się mnóstwo ludzi, od dziennikarzy, przez gapiów, po wiernych, którzy wyczuwali, że nadchodzi sądny dzień dla Kościoła. Do tego zachodzące nad Rzymem słońce rzucało na niebo gorejącą poświatę, jak gdyby anielskie rydwany ciągnęły za sobą kule ognia.

To zły znak - pomyślał Gerard i odwrócił się do Tomasa, który wciąż czekał, aż podzieli się z nim swoim zdaniem.

- Czuję się tak, jakbyśmy byli zamknięci w twierdzy, czekając, aż wróg stanie u bram.

- Obawiam się, że najgorsi wrogowie są wśród nas - odparł smutno Tomaso.

- Owszem - zgodził się z nim Gerard. - I właśnie dlatego zamknięcie bram Watykanu i pozbycie się dziennikarzy uważam za błąd. Pomijam, że byłby to pierwszy raz w historii, kiedy zamyka się stolicę Państwa Kościelnego... Moim zdaniem, właśnie ze względu na bezpieczeństwo papieża, dziennikarze powinni zostać na placu.

- Twoim zdaniem naprawdę Angener i Giovanni mogą chcieć go zabić? - zapytał Tomaso takim tonem, jakby dopiero teraz dotarł do niego rozmiar grożącego im niebezpieczeństwa.

- Nie mam pojęcia. - Gerard wzruszył ramionami. Zgarbiony i

przygaszony, ruszył w kierunku drzwi. - To ty wiesz lepiej, co papież zamierza przekazać rano całemu światu. - Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. - Idę - rzucił na odchodne. - Za kilka minut mamy zmianę warty. Jeśli mogę cię o coś prosić, postaraj się, żeby ojciec święty nie opuszczał tej nocy swojego pokoju.

Tomaso skinął głową na potwierdzenie. Kiedy Gerard zamknął za sobą drzwi, usiadł na łóżku i się rozpłakał.



GODZINA 21. 53

Berlin, Dworzec Główny

Major Linsky opuścił halę główną dworca kolejowego i udał się do pobliskiej kawiarni Starbucks, gdzie czekali na niego generałowie McGregor i Schlossel.

Reszta

agentów

niemieckiego wywiadu i EUCOM-u w cywilnych ubraniach kręciła się wokół dworca, obstawiając wyjścia i zakamarki, na wypadek gdyby Dulli i Magdi zaplanowali jednak inną formę podróży.

- No i...? - zapytał zniecierpliwiony McGregor, kiedy Linsky podszedł do stolika, w ostatniej chwili powstrzymując się, żeby nie zasalutować. Zimna kawa z pączkiem stały przy nim nietknięte.

- Melduję, że kupili bilety na pociąg do Warszawy.

- Na którą godzinę? - dopytywał McGregor.

Schlossel ziewnął i z rosnącą irytacją spojrzął na McGregora.

- Za czterdzieści minut, panie generale... - odpowiedział

Linsky.

- W takim razie idź i wykup wszystkie wolne miejsca w ich wagonie - rozkazał McGregor. Wyjął z portfela służbową kartę płatniczą i podał majorowi.

Schlossel parsknął nerwowym śmiechem.

- Pan sobie żartuje, generale, prawda? - zapytał, wciąż zaśmiewając się pod nosem. - Jak pan to sobie wyobraża? Jeśli

w Warszawie wykupią bilety na podróż dookoła świata, to też pojedziemy za nimi?

Linsky zaczął się śmiać. McGregor skarcił go wzrokiem, po czym spojrzął na Schlossela, któremu nie schodził z twarzy ironiczny uśmiech. Najwyraźniej nagle zachciało mu się pić, bo upił z tekturowego kubka łyk zimnej herbaty z mlekiem i się skrzywił.

- Nie mam zamiaru znowu pozwolić im uciec - odpowiedział w końcu McGregor.

- Ja też nie - wtrącił stanowczym tonem Schlossel.

- Tak? A gdzie w takim razie jest Anna Braun, panie generale? Jak pańscy ludzie jej pilnowali, że udało jej się opuścić zamkniętą jednoosobową salę więziennego szpitala?

- To był wypadek przy pracy. Miała zostać przewieziona na badania i...

- A skąd mam mieć pewność, że za chwilę znów nie zdarzy się podobny wypadek, co? - McGregor znów przerwał

Schlosselowi. Jego ton był coraz bardziej napastliwy.

Linsky zerkał to na McGregora, to na Schlossela, przeczuwając, że sytuacja zaczyna się robić coraz bardziej napięta. Jeszcze tego brakuje, żeby dyrektorzy dwóch obcych wywiadów pobili się w dworcowej kawiarni... - pomyślał

i zaraz przypomniała mu się ostatnia rozmowa z generałem Wydenem i to, co powiedział mu na koniec: „Wdepnąłeś właśnie w największe gówno, jakie nasze kochane DIA próbuje zamieść pod dywan od ponad czterdziestu lat. Radzę ci, zanim wrócisz z Europy, wytrzymaj dobrze buty”. Nagle poczuł, że musi coś zrobić, zanim będzie za późno.

- Mam pomysł - wypalił nagle, zbierając się na odwagę.

McGregor i Schlossel spojrzeli na niego jednocześnie. - A może by tak zatrzymać ich tu, a potem przewieźć do Warszawy?

Schlosselowi natychmiast spodobał się jego pomysł.

McGregor posłał mu piorunujące spojrzenie z gatunku tych, które niosą zapowiedź śmierci.

- Tak zrobimy! Dokładnie tak! - zawyrokował Schlossel i poderwał się z krzesła. - Zatrzymamy ich tu, na dworcu, a potem przesłuchamy i podejmiemy decyzję, co robić dalej. -

Nagle odzyskawszy pewność siebie, spojrzął z góry na siedzącego McGregora. - W ten sposób pan, generale, nie spóźni się na konferencję prasową papieża, a ja nie będę musiał się tłumaczyć z prowadzenia akcji na terenie obcego kraju bez wiedzy i zgody jego władz. A jeśli dobrze pójdzie, do rana zatrzymamy także Annę Braun i jej córkę. No to do roboty! -

rzucił na koniec i wyszedł z kawiarni, żeby zawiadomić agentów o zmianie planu.

- Panie generale... - odezwał się Linsky chwilę później, próbując jakoś przerwać niezręczną ciszę. Widział, że McGregor jest na niego wściekły.

- Zejdź-mi-z-oczu... - wysyczał przez zęby generał i wstał

z takim impetem, że krzesło, na którym siedział, odskoczyło na bok, z hukiem uderzając o ścianę. Wyszedł z kawiarni, zostawiając Linsky'ego sam na sam z przewróconym krzesłem i gapiącymi się na niego ludźmi.



GODZINA 22. 31

Berlin,
siedziba
główna
Federalnej
Służby
Wywiadowczej(BND)

Kordon czarnych bmw z migającymi na dachach kogutami minął bramę z drutem kolczastym i zajechał z dużą prędkością przed wejście masywnego budynku wyglądającego w ciemnościach jak prostokątna bryła, poprzecinana niezliczoną liczbą identycznych okien.

Bunkier... - pomyślał Serge ze wstrętem, spoglądając na betonowego kolosa, kiedy McGregor wyprowadzał go z samochodu. Mając ciasno skute kajdankami ręce, z trudem obejrzał się w stronę samochodu stojącego kilka metrów za nimi, z którego Schlossel właśnie wyprowadzał przerażonego Dullego.

W otoczeniu agentów podążyli w kierunku wejścia.

- Popelnia pan ogromny błąd - powiedział Serge do idącego obok niego McGregora. Agent BND idący przed nimi przyłożył identyfikator do czytnika i gdy drzwi się otworzyły, odsunął się, pozwalając McGregorowi wepchnąć Serge'a do środka. Sam szedł o krok za nim, jakby się bał, że w każdej chwili może chcieć spróbować ucieczki.

Serge potknął się o próg i o mały włos nie poleciał na kamienną posadzkę, którą wyłożony był przestronny hol.

Dwóch ochroniarzy wychynęło zza biurka i na wszelki wypadek odsłaniając broń, ruszyło w ich stronę.

- O co chodzi? - zapytał wyższy, który szedł jako pierwszy, z niepokojem spoglądając na Serge'a zakutego w kajdanki, a dopiero w drugiej kolejności

na McGregora.

- Generał McGregor, DIA. - Zamachał legitymacją. Widać było, że nie bardzo wie, jak zmusić ich, żeby wpuścili ich na teren budynku. Z opresji wybawił go generał Schlossel, który zjawił się w drzwiach, prowadząc przed sobą Dullego. Obok nich szedł Linsky, a za nim jeszcze kilku agentów. Na widok dyrektora ochroniarze od razu otworzyli bramki.

- Trochę idioci, nie uważa pan? - odezwał się Serge do McGregora, kiedy minęli ochroniarzy. - Wpuścili nas, nie pytając nawet, co się dzieje... A gdybyśmy tak porwali Schlossela albo szantażem zmusili go, żeby wpuścił nas do budynku?

- No właśnie chyba po to tu są, panie Magdi - odburknął

McGregor. Odezwał się do Serge'a po raz pierwszy, odkąd opuścili samochód. - Żeby ci, co są na zewnątrz, nie wchodzili do wewnątrz, a ci, co są wewnątrz, nie wychodzili na zewnątrz... - wziął głębszy wdech i nerwowo zamrugał, jakby zdał sobie sprawę, że właśnie powiedział coś kompletnie bzdurnego.

- Ciekawa teoria, panie generale. - Serge uśmiechnął się pod nosem.

Zatrzymali się przy windzie. Tuż za nimi zjawili się Schlossel prowadzący Dullego i Linsky. Pozostali agenci stali z tyłu, czekając na rozkazy od Schlossela.

- Na razie macie wolne - oznajmił Schlossel, kiedy winda wreszcie dotarła na parter, a McGregor, Dulli, Magdi i Linsky znaleźli się w środku. Tylko on stał jedną nogą w windzie, drugą

w holu. W ostatniej chwili, zanim drzwi się zamknęły, zdążył wskoczyć do środka.

- Popełniacie ogromny błąd... - powiedział po raz drugi w ciągu kilkunastu minut Serge, kiedy wciąż w kajdankach, siedząc z Dullim naprzeciwko Schlossela i McGregora, usłyszał, że został zatrzymany za zabójstwo księdza Rielkego.

- Poza tym amerykański i niemiecki wywiad chyba nie zajmują się sprawami kryminalnymi? Czy coś się zmieniło?

Schlossel wstał od stołu i podszedł do swojego biurka. Wrócił z popielniczką i paczką mocnych cameli.

- Zapali pan? - zaproponował Serge'owi i sam wyjął jednego papierosa. Zanim odpalił, oderwał filtr.

- Gestapowskie maniery, panie generale Schlossel, brawo...

Czyli teraz proponuje mi pan szklaneczkę koniaku? -

odpowiedział spokojnym tonem Serge i rozsiadł się w fotelu.

Dulli przyglądał mu się z coraz większym zdumieniem, zastanawiając się, czy Serge zdaje sobie sprawę, że igra z ogniem. Wyglądało na to, że raczej wie. Pytanie tylko, po co to robi...

- Chce mnie pan sprowokować. - Schlossel pokręcił głową i zaciągnął się camellem. - Nic z tego - odpowiedział, wypuszczając nosem dym.

Do pokoju po cichu wszedł Linsky. McGregor wskazał mu głową krzesło obok siebie.

Awansowałem - pomyślał Linsky i poszedł zająć miejsce obok generała. Kiedy okrążał stół, Serge przyglądał mu się z rosnącym zaciekawieniem.

- Pan ma polskie nazwisko - rzucił, kiedy Linsky usiadł i mógł przyjrzeć się jego twarzy.

- Tak - potwierdził major, ucieszony, że ktoś znów go o to pyta. - Mój dziadek walczył w Powstaniu War...

- ZAMKNIJ SIĘ! - wrzasnął McGregor na Linsky'ego, aż ten wcisnął się w krzesło. - Nie jesteśmy tu po to, żeby tracić czas na rodzinne pogaduszki - dodał nieco spokojniej.

- Myli się pan, generale - kontynuował Serge. Krzyk McGregora nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Znał dokładnie metody amerykańskiego wywiadu. Zakrzyczeć. Zastraszyć.

Zmusić do mówienia. A niewygodnych uciszyć... Spojrzał na młodego majora. - Ten chłopak powinien wiedzieć, z kim siedzi przy stole. Wiesz, kim jest ten człowiek? - Kiwnięciem głowy wskazał na Schlossela. - Jest wnukiem esesmana, który wspólnie z „rzeźnikiem z Lyonu”, Klausem Barbiem, zakładał w 1947

roku niemiecką siatkę szpiegowską, dzisiejszą BND. I on, i Barbie znajdowali się na amerykańskiej liście ściganych zbrodniarzy wojennych. - Spojrzał na McGregora. - Tyle że obaj byli potrzebni amerykańskiemu wywiadowi. A kiedy zaczęli zbyt zwracać na siebie uwagę, Amerykanie po raz kolejny skorzystali z pomocy Watykanu i Czerwonego Krzyża i „szczurzym korytarzem” przerzucili ich do Ameryki Południowej. Klaus Barbie stał się Klausem Altmannem i po tym jak dopłynął statkiem do Boliwii, ślad po nim zaginął...

Linsky wyglądał na zszokowanego. McGregor też, bo obydwoj wpatrywali się w Schlossela, który z wściekłą miną miażdżył właśnie w palcach niedopałek camela.

- Tacy ludzie jak oni, majorze Linsky, wydawali wyroki na takich ludzi jak pański dziadek.

- DOŚĆ! - rozkazał Schlossel, waląc pięścią w stół. - Ja nie mam nic wspólnego z Gestapo! Nie mam wpływu na to, kim byli członkowie mojej rodziny!

Serge posłał mu pełne pogardy spojrzenie.

- Tak? To dlaczego w takim razie zataił pan informacje o tym, że ksiądz Adolf Rielke był nazistą? Że współpracował

z organizacją Stille Hilfe? Że LATAMI KRADŁ DZIECI Z
SIEROCIŃCÓW, ŻEBY OŚRODKI WYCHOWAWCZE
NADZOROWANE
PRZEZ
JUGENDAMT
MOGŁY
KONTYNUOWAĆ
DZIAŁALNOŚĆ
INSTYTUCJI

LEBENSBOHN???? - wydarł się Serge, po czym widząc, że Schlossela kompletnie zamurowało, znów złagodniał i spojrzał

na Linsky'ego. - A tak z ciekawości, czy pański dziadek przeżył

Powstanie Warszawskie?

Linsky smutno zaprzeczył.

- W takim razie powinien pan wiedzieć, że Heinz Reinefarth, nazywany „katem Warszawy”, człowiek, który wydał rozkaz rozstrzelania w pierwszych dniach Powstania ponad dziesięć tysięcy cywilów, przeżył i zrobił w powojennych Niemczech polityczną karierę. I o tym także wiedział amerykański wywiad.

Niestety nie zrobił NIC, żeby zatrzymać Reinefartha i postawić go przed sądem.

McGregor uciszył Serge'a machnięciem ręki.

- Wystarczy, panie Magdi. Dziękujemy panu za lekcję historii - powiedział, starając się, żeby głos mu nie zadrżał.

W rzeczywistości był przerażony tym, ile ten pół krwi Sudańczyk wie na temat czarnych kart historii amerykańskiego i niemieckiego wywiadu.

Owszem, spodziewał się, że ktoś, kto pracował z Pietrem Cippo, słynnym łowcą nazistów, nie może być głupi, ale żeby wiedział aż tyle i miał odwagę

powiedzieć to prosto w twarz dyrektorowi BND... Musiał przyznać, że Magdi zyskał w jego oczach. - A pan, majorze - zwrócił się po chwili do Linsky'ego, który wyglądał, jakby ciągle był w ciężkim szoku - proszę wyjść. To ROZKAZ - dodał z naciskiem, widząc, że Linsky nie ma zamiaru się nigdzie ruszyć.

W końcu, po ponad minucie, major powoli odsunął krzesło, na którym siedział, i niechętnie ruszył do drzwi, po drodze rzucając Schlosselowi pełne wrogości spojrzenie.

- Wie pan, co pan robi? - Schlossel zwrócił się do Serge'a, kiedy Linsky znalazł się na korytarzu i zamknął za sobą drzwi.

Na wszelki wypadek generał uznał, że lepiej będzie nie mówić zbyt głośno, więc wychylił się nad stołem i zawisł bardzo blisko jego twarzy. - Takim gadaniem szczuje pan na mnie ludzi. Robi pan dokładnie taką robotę jak mój dziadek i Barbie. Wprowadza pan chaos i rozbija od środka dobrze funkcjonujący organizm.

Zarzuca pan przynętę i czeka, aż ryba złapie, żeby w odpowiedniej chwili mógł ją pan wyłowić i pożreć.

- Już dość, panie generale, bardzo proszę... - przerwał mu McGregor, który z jakiegoś powodu nagle zaczął odgrywać rolę dobrego policjanta. - Musimy zrozumieć, że pan Magdi jest rozgoryczony po śmierci bliskiego przyjaciela, Pietra Cippo...

Serge parsknął śmiechem.

- Nie jestem rozgoryczony - zaprzeczył. Jego twarz znów przybrała surowy wyraz. - Chodzi raczej o to, że nie mogę się doczekać, kiedy historia da wam porządnego kopa w tyłek!

Schlossel spojrział na McGregora z miną „a nie mówiłem”, po czym chcąc zmienić temat i obiekt przesłuchania, zwrócił się do Dullego.

- A pan, panie Dominicu, dlaczego jako główny świadek zwiął z Watykanu? Nie smakowało panu jedzenie w Domu Świętej Marty? - Złośliwy uśmiech na chwilę zagościł na jego zmęczonej twarzy.

- Jak mi to pytanie zada ktoś z włoskich albo watykańskich służb, to może odpowiem. Jestem obywatelem Włoch i...

- I Belgii - wtrącił Schlossel.

- I Belgii, tak - potwierdził Dulli. Lekko zbity z tropu posłał Serge'owi pytające spojrzenie, jakby chciał powiedzieć „ratuj!”.

Co innego mógł zrobić? Nie był przygotowany na wypadek przesłuchania. A już na pewno nie na to, że pytania będzie mu zadawał dyrektor niemieckiego wywiadu...

- A tak w ogóle, to chciałbym się dowiedzieć, za co właściwie zgarnęliście nas z dworca - powiedział, żeby przerwać przedłużającą się ciszę. Wyglądało na to, że Serge nie wybawi go z opresji. Był tak pochłonięty myślami, że nie zwrócił uwagi na błagalne spojrzenia Dullego.

- Niebezpiecznie jest jeździć nocnym pociągiem do Warszawy, nie wie pan o tym? Zwłaszcza jeśli się pomaga szpiegowi... - zniecierpliwiony odezwał się McGregor i położył na stole dwa bilety na pociąg relacji Berlin - Warszawa, które wyjął

Serge'owi z kieszeni, kiedy ich zatrzymywali.

- Zoja nie jest szpiegiem! - zaprzeczył Dulli i od razu zrozumiał, jaką głupotę właśnie zrobił. W sekundę po tym poczuł na sobie palące spojrzenie Serge'a i zrozumiał, że od tej pory ma się nie odzywać.

- Aha! Czyli wie pan, o kogo chodzi! Bardzo dobrze, panie Dulli, widzę, że jest pan dużo bardziej rozmowny niż pan Magdi - odparł z zadowoleniem McGregor, uśmiechając się do Schlossela, a potem znów spoglądając na Dullego. - To może powie nam pan, po co wybieraliście się do Warszawy?

- Na wycieczkę - odparł Dulli i wzruszył ramionami, jakby chodziło o coś najnormalniejszego na świecie. Czuł, że jest na najlepszej drodze, żeby zrobić z siebie skończonego kretyna.

- Tak? A w Monschau też byliście na wycieczce? Z panią Esterą Gismoil, pseudonim Zoja Pietrowna, papieżem i jego kamerlingiem Tomaszem Cippo, synem Pietra Cippo, przyjaciela

pana Magdiego? Przyzna pan, że to sporo zbiegów okoliczności.

I jeszcze ta jutrzejsza konferencja prasowa w Watykanie...

Serge, dotąd zamyślony, nagle wyrwał się z letargu. Spojrzał na McGregora pełnym napięcia wzrokiem.

- Jaka konferencja?

- No już, niech pan nie udaje, panie Magdi. Przecież to pan i Pietrowna przekazaliście papieżowi dokumenty o przelewach z watykańskiego banku na konta nazistów i ich dzieci.

Serge spojrział na Dullego, a Dulli na Serge'a. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, nie zwracając uwagi na to, co mówi do nich McGregor. Obydwaj myśleli tylko o jednym. Co dzieje się teraz w Watykanie. I co będzie, jeśli papieżowi uda się dożyć do rana i wyjść do dziennikarzy, żeby

powiedzieć im o współpracy kardynałów z nazistami i o tym, jak wielkie sumy prał dla nich IOR...

- Jeśli nie uda nam się dostać do Warszawy przed konferencją papieża, zginą niewinni ludzie. I kilkuletnie dziecko - wypalił Serge. Uznał, że w obliczu nowych faktów muszą skorzystać z pomocy McGregora i Schlossela. Inaczej za kilka godzin rozpęta się piekło.

- Jakie dziecko? - Zdziwił się Schlossel, w którym odezwał się ojcowski instynkt. Jego syn za tydzień miał skończyć pięć lat.

- Córka. Zoi Pietrownej. Sasha.

- A kto niby miałby chcieć ją zamordować? - spytał McGregor. Jego żrenice zaczynały przybierać wielkość spodków.

- Naziści.

McGregor odchylił się na krześle i skrzyżował ręce nad głową. Po jego minie dało się wywnioskować, że nie uwierzył w ani jedno słowo Serge'a.

- Chce pan powiedzieć, że Anna Braun pozwoli swoim ludziom zamordować własną wnuczkę?

- W imię idei. Tak - powiedział Serge. Jego ton był tak poważny, że McGregor przestał się przeciągać i znów nachylił się nad stołem.

- Jakiej znowu idei?

- Odyn zamiast Jezusa - wtrącił Dulli, czując, że tym razem ma prawo zabrać głos. Nie sądził, żeby ktokolwiek w tym pokoju wiedział na ten temat więcej niż on. I nie chodziło jedynie o to, że od deski do deski przeczytał książkę Thiesa Ingoberna pod tym samym tytułem.

- Znacie panowie starogermańskie legendy o wojowniczym bogu Odynie? - Spojrzał na McGregora, a potem na Schlossela.

Obydwaj wyglądali na zainteresowanych tym, co ma do powiedzenia Dulli.

- Otóż bóg Odyn był najwyższym bogiem nordyckim, bogiem wojny i wojowników. W mitologii germańskiej nazywa się go często Wotanem. Jego symbolem jest krzyż umieszczony w okręgu, mający symbolizować słońce. Od legend o tym, jak stworzył świat i jacy bogowie byli jego dziećmi, z których wiele jest łądząco podobnych do ksiąg Starego Testamentu, ważniejsze jest, jak umarł. Poświęcił siebie, dokładnie tak jak Jezus. W imię mądrości powiesił się na drzewie Yggdrasil i przebił swój bok własną

włócznie. Inna legenda mówi, że żeby zaspokoić swoje pragnienie wiedzy, przemienił się w węża i ukradł córce olbrzyma napój podobny do ambrozji, który składał się z krwi mędrca i miodu. Wypił go tak dużo, że kiedy zamienił się w orła i chciał odlecieć, było mu za ciężko. Część magicznego napoju ulał więc dziobem do kielichów przygotowanych przez innych bogów. Kiedy miód zastygł,

zamienił się w kamienie mocy... a te zostały ukryte, aż w końcu ślad po nich zaginął.

McGregor poczuł, że jeszcze chwila siedzenia w jednej pozycji, a nogi całkiem mu zdrętwieją. Wstał i zaczął się przechadzać wzdłuż stołu. Wciąż wyglądał na niezbyt przekonanego, że Odyn z legendy ma jakiś związek z nazistami i córką Zoi.

- Abrakadabra... czary mary - powiedział, podchodząc do okna, wyglądając w ciemność. - Do kompletu brakuje tylko Tolkiena... - z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Abrakaamra, jeśli już - poprawił go Dulli. - I raczej radziłbym z tym uważać. A jeśli chodzi o Tolkiena, to owszem, wykorzystał w swoich dziełach germańskie i celtyckie mity.

Weźmy choćby arcyklejnot z *Hobbita*...

- Ale dla mnie to jest dalej jakaś bzdura. Nie rozumiem, czego naziści mogą chcieć od Odyna.

- Oni w niego wierzą - powiedział nagle Schlossel, wprawiając wszystkich w konsternację.

Skąd on to wie, do cholery?! - przebiegło przez myśl McGregorowi. Dulli i Serge patrzyli na Schlossela, kiwając potakująco głowami.

- Ich zdaniem Odyn to Jezus. Zbawca. Bóg wojowników.

Uważają, że Kościół ukradł im należny hołd dla ich boga, stawiając na panteonie Jezusa zamiast niego. I mocno wierzą, że w końcu uda im się dokonać zamiany. I Odyn wreszcie będzie prawowitym władcą nieba i ziemi...

- Ale to tylko mit! - upierał się McGregor.

- Nie do końca. Jeśli zestawimy fakty, niestety wyjdzie na to, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat neonaziści coraz większą wagę przywiązują do pogańskiego kultu

i czczenia
starogermańskich bóstw. Weźmy na przykład to, że co roku
w najkrótszą noc w roku organizują na pogańskim cmentarzu Conneforde
tańce z pochodniami i modlą się przy ołtarzu Irminsul o powrót Odyna.
Przyjeżdżają tam i starzy, i młodzi, z córką Heinricha Himmlera, Gudrun
Burwitz na czele...

- I wy im na to pozwalacie. Tak samo jak godzicie się na to, żeby Thies
Ingoborn, autor książki o Odynie zamiast Jezusa, od ponad dwudziestu lat
prowadził na terenie Niemiec ośrodki wychowawcze dla młodych nazistów,
jak ten w Hetendorfie. Po posiadłości odgródzonej od miasteczka drutem
kolczastym jeżdżą

czołgi,

a ochroniarze

to

skinheadzi

z kijami

bejsbolowymi. Mają tam nawet własny wojskowy poligon.

- Oj tam, panie Magdi! Czy to teraz ważne, czy mają poligon?

Ważniejsze chyba, żeby nie zabili tej dziewczynki... -

odezwał się nagle McGregor. W jego postawie zaszła zmiana.

Serge od razu to zauważył i spojrzał na niego pełnym nadziei wzrokiem.

- Czyli możemy liczyć na waszą pomoc?

- Możecie, nie możecie... to zależy - odpowiedział

lakonicznie McGregor, czekając na reakcję Schlossela.

- Możemy pójść na układ - uzupełnił Schlossel. - Wy nie będziecie
próbowali nam zwać i powiecie nam wszystko, co wiecie o tym, co
kombinuje Pietrowna, a my... Powiedzmy, że spróbujemy się wam
odwdzięczyć.

- Zgoda - odpowiedział Serge. Podniósł ręce i poprosił

o zdjęcie kajdanek. - I Dominicowi też - dodał, spoglądając na Dullego,
który wyglądał na zdziwionego tym, że Serge tak łatwo zgodził się na układ z
generałami.

- I potrzebujemy pilnie transportu do Warszawy - oznajmił

Serge, masując obolałe nadgarstki, kiedy McGregor zdjął mu kajdanki i
poszedł do Dullego, żeby zrobić to samo.

- A po co wy właściwie chcecie tam jechać? Jesteście tam umówieni z

Pietrowną? - dopytywał McGregor. Trzymając w dłoni dwie pary kajdanek i kluczyk, okrążył stół, żeby zająć miejsce obok Schlossela.

Serge wyjaśnił najogólniej jak umiał, że chodzi o zdobycie wskazówki, która pomoże im podpowiedzieć Zoi, jak odzyskać pewien dokument, który bardzo chcą dostać naziści, w zamian za co być może uwolnią jej córkę.

- Znowu nie rozumiem, ech... - jęknął McGregor, kładąc kajdanki na stół, na tyle blisko, żeby w każdej chwili mógł

znowu ich użyć. - To znaczy, że Pietrowna jest szantażowana, tak?

- Tak - potwierdził Serge.

- Ale przez kogo???

- Przez nazistów - odpowiedział Serge, obawiając się, że jeszcze chwila, a McGregor straci cierpliwość. Schlossel też wyglądał na coraz bardziej zirytowanego. Do tego ziewał tak, jakby miał zamiar ich wszystkich połknąć.

Też jestem wykończony - pomyślał Serge, w ostatniej chwili powstrzymując się od ziewnięcia. Wiedział dobrze, że jeśli nie zmusi ich do tego, żeby pomogli jemu i Dullemu dostać się do jego mieszkania w Warszawie tej nocy, na kolejną szansę będzie musiał czekać nie wiadomo jak długo, o ile w ogóle jakaś się pojawi. Zwłaszcza jeśli będzie już po konferencji papieżai Schlossel i McGregor dowiedzą się, jak wiele tajemnic amerykańskiego

i niemieckiego

wywiadu

może

być

zagrożonych. Tak - ocenił Serge, zerkając porozumiewawczo na Dullego - musimy ich wykorzystać, zanim przestaną udawać, że chcą nam pomóc. Musimy się dostać do Warszawy. A potem...

Na potem Serge miał już w głowie plan. Jedyne, czego potrzebował, żeby go wykonać, to dostać się na konferencję prasową do Watykanu.



GODZINA 3. 19

Watykan, Dom Świętej Marty

Tomaso Cippo siedział pochylony nad biurkiem w celi kardynalskiej, za jedyne światło mając niewielką lampkę i ekran włączonego laptopa. Nie mogąc znieść panującego na placu Świętego Piotra zamieszania i migania lamp telewizyjnych kolejnych stacji z całego świata, szykujących się do nadawania na żywo, szczelnie pozasuwał zasłony w oknach biura i sypialni.

Najbardziej potrzebował teraz świętego spokoju. Wciąż nie mógł dojść do siebie po tym, jak trzy godziny temu poszedł do papieża z ostateczną wersją informacji dla dziennikarzy, jaką przesłał mu rzecznik prasowy. Papież nawet na nią nie spojrział.

Kilkadziesiąt stron starannie przygotowanych danych na temat finansów Watykanu i sytuacji w banku IOR wylądowało w koszu na śmieci. „Zajmij się tym. Chcę, żebyś to ty przygotował materiały dla dziennikarzy. Mają dostać informacje o CAŁYM śledztwie. I o tym, nad czym pracowaliśmy przez ostatnie tygodnie także. I nie zapomnij dołączyć również kopii tych dokumentów...” - powiedział papież i wręczył Tomaso potwierdzenia przelewów, które rano otrzymał od Zoi.

Na koniec dodał, że to on, a nie rzecznik, ma poprowadzić poranne spotkanie z dziennikarzami.

Dla Tomasa było jasne, że papież daje mu pełną wolność, jak ma przedstawić informacje mogące pograżyć wielu kardynałów, w tym Giovanni i Angenera. Na liście tych, którzy w ostatnich latach wspierali

finansowaniem

i czynem

organizacje

nazistowskie działające w wielu krajach Europy, między innymi w Niemczech, Holandii, Danii, Szwecji, Austrii, Wielkiej Brytanii, Polsce, Francji, Szwajcarii, a także na odległych kontynentach, w USA, Argentynie, Boliwii, Peru, Brazylii, Meksyku,

było

kilkudziesięciu

kardynałów,
księży,

pracowników i współpracowników Watykanu z całego świata.

Wymienienie ich nazwisk i ujawnienie, na jakie rachunki bankowe wpłacali regularnie potężne kwoty pieniędzy, mogłoby za jednym zamachem doprowadzić do rozłamu Kościoła.

Dlatego Tomaso postanowił, że skupi się na tych, którzy odegrali w całym procederze najważniejszą rolę. I którzy chcieli pozbyć się obecnego papieża, żeby jego miejsce mógł zająć jeden z nich. Kardynałowie Giovanni i Angener przez lata prowadzili podwójną grę, wykorzystując Watykan do prania brudnych pieniędzy, które strumieniem płynęły na rachunki bankowe do byłych i obecnych nazistów skupionych wokół

kilku największych organizacji „wspierających kombatantów”,
„uznających zasługi żołnierzy walczących o wolność Niemiec”

czy „organizujących kolonie dla młodzieży z kościelnych ośrodków wychowawczych”. Im dłużej Tomaso o tym myślał, tym bardziej czuł, że podjął najlepszą możliwą decyzję. Nie okłamię dziennikarzy. Ograniczy jedynie zasięg potężnej eksplozji, która i tak z pewnością naruszy wiekowe fundamenty Kościoła.

Tak, tak właśnie zrobię - pomyślał, spoglądając na ekran laptopa, na którym wciąż wyświetlał się otwarty plik z materiałami dla dziennikarzy. Zaczął stukać w klawiaturę, poprawiając niektóre zdania, które już napisał, kiedy nagle coś go tknęło. Jakiś impuls kazał mu się zatrzymać. Absurdalna myśl pojawiła się w jego głowie i za nic nie chciała zniknąć. Im bardziej Tomaso starał się jej pozbyć, tym głośniejszy słyszał

w głowie głos mówiący w kółko jedno i to samo - *gdybyś miał odwagę, zrobiłbyś to jak należy.*

- Czyli jak? - zapytał w końcu sam siebie. Pierwszy raz odkąd wrócił od papieża, wypowiedział na głos pytanie, które nie dawało mu spokoju. Chociaż chwilami zdawało mu się, że jakoś się z nim uporał, znów wracało. Dokładnie tak jak teraz.

- Czyli jak? - powtórzył Tomaso i na chwilę przymknął oczy, prosząc Boga o pomoc w znalezieniu odpowiedzi.

Kiedy niespełna minutę później znów otworzył oczy i spojrział na ekran laptopa, już wiedział. Instynktownie otworzył szufladę, wyjął z niej zewnętrzny dysk, na który zgrał dokumentację z ostatnich lat pracy ojca, i podłączył go do laptopa.

- Czyli tak... - wyszeptał, przeszukując kolejne foldery i zaznaczając pliki, które będą mu potrzebne. „Anna Braun”, „Rielke”,

„Hudal”,

„Stille

Hilfe”

„Wiking-Jugend”,

„Lebensborn po wojnie a działalność Jugendamtu” - dzięki kopiuj-wklej wszystkie kolejno łądowały na pulpicie laptopa Tomasa. W pewnej chwili spojrzął na zegarek. Dochodziła czwarta nad ranem. Mam mało czasu - pomyślał. Odkąd został

kamerlingiem, znał rozkład dnia ojca świętego na pamięć.

O wpół do siódmej rano papież wstanie, żeby zjeść śniadanie.

Za dziesięć ósma odprawi mszę w tutejszej kaplicy. A potem...

w tej chwili Tomaso nie chciał nawet myśleć, co wydarzy się, kiedy wybije dziewiąta rano.



GODZINA 4. 15

Warszawa, osiedle Kabaty

Serge, ciągle jeszcze niezbyt przytomny po krótkim śnie w wojskowym samolocie, stał pod drzwiami mieszkania na parterze, czując na plecach ponaglące spojrzenia McGregora, Schlossela, Dullego i Linsky'ego. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale fakt był faktem.

Nie miał kluczy od mieszkania.

- Szybciej! - ponaglił go McGregor.

Serge odwrócił się i spojrzał na niego z przeproszącą miną.

Był pewien, że niestety generał nie uzna tego za przypadek. I że tym razem Schlossel nie stanie w jego obronie, tak jak zrobił to, kiedy Serge próbował ich zmusić, żeby do Warszawy nie jechał z nimi żaden agent więcej, tylko oni dwaj i Linsky.

Jak nic pomyśli, że zrobiłem to specjalnie...

- Nie mam pojęcia, jak to możliwe. Naprawdę, byłem pewien, że cały czas mam je przy sobie. - Kolejny raz obmacał kieszenie i postawiwszy plecak na podłodze, zaczął w nim nerwowo szukać kluczy.

- To nie jest pana mieszkanie, prawda? - wtrącił zniecierpliwiony Schlossel, podejrzliwie przyglądając się Serge'owi kłęczącemu na podłodze z plecakiem, z którego wystawał niewielki pistolet Sterling.

Serge nie zdążył nawet niczego wyjaśnić, bo Schlossel nachylił się i w mgnieniu oka zabrał sterlinga z jego plecaka.

- To się panu raczej nie przyda... - skwitował, chowając pistolet do kieszeni swojej kurtki.

McGregor łypał groźnie na Serge'a, aż w końcu nie wytrzymał. Podeszedł do drzwi i wyjął z kieszeni niewielki przedmiot, wyglądający jak pilniczek.

- Jaki to zamek? - zapytał.

- Gerda, ze sztabami - wyjaśnił Serge, nie bardzo wiedząc, po co generał zadaje mu podobne pytanie.

- Gerda... ze sztabami... - powtórzył McGregor, skupiony na chirurgicznie

precyzyjnym
przekręcaniu
metalowego

przedmiotu, który wsunął do zamka. Nie minęło kilka sekund, kiedy drzwi stanęły otworem.

- Proszę bardzo - warknął McGregor i gestem zaprosił ich do środka.

Serge pozapalał światła w korytarzu i salonie. Zdziwił się, widząc, że mieszkanie, odkąd je opuścił, nie zostało wywrócone do góry nogami. Spodziewał się, że zaraz po tym, jak skontaktował się z Pietrem Cippo i wyruszył w podróż do Marsylii, chłopcy z Wiking-Jugend wpadną tu na mały rekonesans...

- No dobrze. To czego właściwie szukamy? - rzucił McGregor, stając w korytarzu między kuchnią a salonem.

Schlossel rozglądał się po mieszkaniu, jakby liczył na to, że w którymś kącie czai się Pietrowna. Dulli zniknął w łazience.

Serge wyrwany z zamyślenia zaczął się zastanawiać, jak to wszystko rozegrać. Szanse na to, że uda im się pozbyć McGregora, Schlossela i Linsky'ego, były jak jedna na milion.

Nie pozostawało więc nic innego, niż postawić ich przed faktem dokonanym, licząc na to, że nie zaczną zadawać trudnych pytań.

- Uprzedzam, to nie będzie miły widok... - oznajmił Serge, podchodząc do lodówki.

McGregor zrobił zdziwioną minę. Schlossel odłożył książkę, którą wziął z półki i podszedł bliżej. Dulli wyszedł z łazienki, trzymając ręce jak chirurg przed operacją. Na widok gumowych rękawic do mycia toalety na jego dłoniach Serge o mało nie parsknął śmiechem.

- Odsuń się - rozkazał Dulli, podchodząc do lodówki. Serge zauważył, że jest tak podniecony, jakby miał dokonać przełomowego odkrycia i znaleźć w lodówce dowód na istnienie Boga.

Serge zrobił mu miejsce. Dulli otworzył zamrażalnik i wyjął z niego foliową torbę pokrytą lodem. Ostrożnie położył na kamiennym blacie i otworzył pierwszą z brzegu szufladę, żeby znaleźć nożyczki.

- Żarty sobie robicie?! - Zdenerwował się McGregor. -
Będziecie nam tu urządzać pokaz gotowania?

Dulli przywołał go do siebie. Schlossel też podszedł.

Obydwaj nachylili się nad blatem, patrząc, jak Dulli ostrożnie zdrapuje z

powierzchni foliowej torby warstwę lodu. Serge stał z tyłu. Nie potrzebował po raz kolejny na to patrzeć.

- W środku jest odcięta dłoń siostry Hummel - powiedział

Dulli. - Po jej wewnętrznej stronie znajdują się wytatuowany monogram Chrystusa i łacińska inskrypcja IN HOC SIGNO

VINCES, czyli „w tym znaku zwyciężysz”... Uważam, że w dłoni, a dokładnie na opuszkach palców, znajduje się jeszcze jedna wiadomość, którą Serge przeoczył - dodał na koniec i wreszcie zauważył w szufladzie nożyczki. Wziął je do ręki i ostrożnie rozciął folię. Dłoń była zamrożona na kość. Zagięte niczym szpony palce były pokryte lodem. Nie zwracając uwagi na pełne obrzydzenia miny generałów i Linsky'ego, w którym nagle obudziło się ogromne zainteresowanie, Dulli poprosił Serge'a, żeby przyniósł mu suszarkę do włosów.

Przez kolejne minuty Dulli ogrzewał dłoń, starając się znieść odór zepsutego mięsa, a Serge siedział z McGregorem, Schlosselem i Linskim w salonie, odpowiadając na ich pytania.

W końcu Dulli wyłączył suszarkę. Używając szczypców do sałaty, ostrożnie odwrócił dłoń pod takim kątem, żeby dobrze widzieć opuszki palców. Im dłużej się im przyglądał, tym bardziej był pewien, że tuż nad zgięciami, na każdym palcu znajdował się czarny punkt, wyglądający jak czarna plamka.

Bez wątpienia to było to. Przyjęcie wiedzy, która prowadzi do zrozumienia... Tajemnica, która znajduje rozwiązanie w mądrości...

- Masz lupę? - zawołał do Serge'a, uniemożliwiając Schlosselewi zadanie kolejnego pytania.

Serge musiał przeszukać kilka szafek, ale w końcu znalazł.

- Są... - wyszeptał Dulli z zachwytem, przyglądając się dłoni przez szkło powiększające.

Serge stał obok, kręcąc głową z niedowierzaniem. Jak mogłem to przeoczyć! - pomyślał, bacznie obserwując, jak Dulli obraca dłoń pod światłem punktowych lamp zawieszonych nad kuchnią.

- Kartkę i coś do pisania! - rzucił po chwili.

Żeby mu je przynieść, Serge musiał się precyzyjnie przemieszczać między stojącymi za nim generałami i majorem. Wszyscy trzej zatykali nosy, najwyraźniej odurzeni odorem rozkładu ciała unoszącym się w powietrzu. Serge nie rozumiał, jak to możliwe, ale sam jakby stracił zmysł węchu. Nie czuł żadnego smrodu, a jeśli nawet, to wcale mu nie przeszkadzało. Z walącym

sercem przybiegł z salonu, niosąc białą kartkę wyrwaną z notatnika i długopis. Podał je Dullemu i patrzył, jak ten wolną ręką zapisuje ciąg cyfr:

30 10 4 4 1

- I co to ma niby znaczyć? - zapytał McGregor, zaglądając Serge'owi przez ramię. - Jakiś kolejny szyfr?

Nikt mu nie odpowiedział. Serge był pochłonięty przyglądaniem się, jak Dulli, odłożywszy dłoń siostry Hummel na bok, znowu zapisuje coś na kartce. Pod każdą cyfrą zaczęło pojawiać się przyporządkowane jej słowo: LAMED JOD DALET DALET ALEF

Serge jako jedyny z obserwujących Dullego zrozumiał, że to po hebrajsku. Po chwili Dulli znów zaczął pisać, tyle że używając powszechnie znanego, łacińskiego alfabetu.

L Y D D A

- Lydda! - ucieszył się Dulli. - Archeografia jest nieoceniona.

W kabale każda litera ma swój odpowiednik w liczbie. I tak było i tym razem. Ktoś, kto chciał przekazać wiadomość, celowo użył do tego archeograficznego zapisu. Po pierwsze, odczyta to jedynie ten, kto wie, o co chodzi, a po drugie... Po drugie, znowu chodzi o Stary Testament i jego symbole!

- Czyli chodzi o jakieś miasto Lydda, tak? - zapytał

McGregor, starając się przypomnieć sobie wszystko, co powiedział mu Serge. - I to tam znajduje się ta gnostycka Ewangelia, którą chcą zdobyć naziści i ktoś, o kim nie chce pan nam nic powiedzieć... - McGregor spojrzał na Serge'a.

- Lydda to Lod albo po grecku Diospolis. Starożytne miasto biblijnej Ziemi Świętej, obecnie na terenie Izraela - wtrącił Dulli wciąż podekscytowany swoim odkryciem.

- Nie wiemy, czy na pewno tam znajduje się gnostycka Ewangelia, jak ją pan określił. - Serge zwrócił się do McGregora. - Ale istnieją spore szanse, że tak może być.

- Rozumiem, tak... - McGregor na chwilę zawiesił głos.

Widać było, że nad czymś myśli. - Jeżeli dobrze zrozumiałem to, co pan mówił, jeśli pani Pietrownej uda się zdobyć tę...

jedyną Ewangelię... będzie miała szanse odzyskać córkę.

I może nawet, powiedzmy, przejąć władzę nad światem.

Serge i Dulli spojrzeli po sobie, nie kryjąc zdziwienia.

- To jakaś bzdura... - wypalił Dulli, zerkając na McGregora spod zmarszczonych brwi.

Serge oparł plecy o blat stołu i założył ręce na piersi.

Spodziewał się, że tak się to może skończyć, ale liczył na to, że nie aż tak szybko. To, co powie dalej McGregor, było aż nazbyt oczywiste.

- A gdybyśmy na przykład, ja i generał Schlossel, posiadli ten wyjątkowy dokument o magicznej mocy wraz z kamieniem, to czy sądzicie panowie, że moglibyśmy poprosić papieża, żeby odwołał konferencję prasową?

Serge spuścił głowę i zaśmiał się nerwowo.

- Oczywiście - powiedział. - Mogłem się tego spodziewać...

- Dobra, panowie, dosyć tej zabawy - odezwał się nagle Schlossel i wyszedł z cienia. - Niech pan każe majorowi skuć ich z powrotem i zbierajmy się. Nic tu po nas.

Kiedy pięć minut później Linsky wyprowadził Dullego i Serge'a na zewnątrz, idąc kilka kroków za generałami, oświetlonym latarniami chodnikiem, mogli wymienić szeptem kilka zdań.

- Oni nam nie wierzą. Chyba nawet mają nas za wariatów.

I ciągle sądzą, że Zoja jest nazistką - wyszeptał Dulli, spoglądając ukradkiem na idącego za nimi Linsky'ego, który cały czas trzymał broń w pogotowiu, na wypadek gdyby chcieli zrobić coś głupiego.

- Niestety - odparł smutno Serge.

- Przewidziałeś to?

- Powiedzmy... - rzucił zdawkowo Serge w ostatniej chwili, zanim Schlossel kazał mu wsiąść do granatowej skody, a Linsky zaprowadził Dullego do drugiego samochodu.

Dulli wsiadł i zajął miejsce obok McGregora.

- Źle pan robi. Historia panu tego nie wybaczy - rzucił Dulli, wciąż mając nadzieję, że jednak uda mu się zmusić generała do zmiany planów.

- Mam gdzieś historię - skwitował ostro McGregor i kazał kierowcy ruszać.

Dulli ze smutkiem wyjrzał przez okno. Pomyślał o tym, że los jest jednak paskudny. Dlaczego to się musiało stać właśnie teraz, kiedy jesteśmy już tak blisko?



GODZINA 6. 40

Denbigh, Wielka Brytania

Zoja otworzyła oczy. Obudziła się w dobrym nastroju, którego nie był w stanie zepsuć nawet ćmiący ból łowy. Wciąż jeszcze trochę zaspana, rozejrzała się po zasnutym mrokiem pokoju, pozwalając, by z wolna powracająca świadomość wypchnęła błogi spokój i zamiast niego przyniosła gwałtowny napad lęku.

Podrywając się z ciepłej pościeli, Zoja usłyszała, jak coś szeleści jej pod plecami. List, pomyślała, list od babki Zofii...

Wzięła szybki prysznic, ubrała się, zakładając buty w biegu, i pognęła na dół.

- Czy jest tu komputer dostępny dla gości? - zapytała recepcjonistę wyglądającego na rodowitego Walijszyka.

Zdziwiony jej zdenerwowaniem, odpowiedział, że owszem, jest komputer, ale nie ma Internetu.

- Awaria - podsumował, bezradnie rozkładając ręce, i znów zajął się swoimi sprawami, nie zwracając uwagi na stojącą przy ladzie Zoję.

- A księgarnia? Jest jakaś w miasteczku?

Recepcjonista odłożył księgę meldunkową gości, w której właśnie coś notował, i spojrzał na Zoję, jakby zapytała, czy w miasteczku ostatnio lądowało UFO.

- Jest - odpowiedział po chwili. - Stary Higgins prowadzi maleńką księgarnię trzy przecznice dalej, ale...

Zanim dokończył, Zoja była już przy drzwiach.

- Halo! Proszę pani! - zawołał za nią recepcjonista. - O tej godzinie Higgins jeszcze śpi!

Zoja biegła uliczkami zakrytymi gęstą mgłą. Pytając mijanych ludzi o Higginsa, bez problemu dotarła na główny plac i -

zgodnie ze wskazówkami mieszkańców - minąwszy stojący w centrum szary ceglany budynek z dzwonem na dachu, skręciła w niewielką uliczkę w prawo. Szyld wiszący nad drzwiami jednego z lokali potwierdzał, że dobrze trafiła.

Księgarnia była mała. Zaglądając przez witrynę zavaloną książkami, Zoja szybko oceniła, że „Higgins & Co” nie mieli najbardziej dochodowego interesu, o jakim można by marzyć.

Na sięgających sufitu półkach piętrzyły się stosy nowych i starych książek, poukładanych według schematu znanego zapewne jedynie właścicielowi.

- Otwiera dopiero o dziesiątej.

Zoja usłyszała za plecami skrzekliwy głos i gwałtownie się odwróciła. Stała przed nią starsza kobieta w rozkloszowanej sukience w szkocką kratę, uszytej z dobrej jakości grubego płótna, którego dziś nie można już dostać w żadnym sklepie.

Wyglądało na to, że kobieta wyszła ze sklepu spożywczego znajdującego się naprzeciwko, bo co chwila zerkła w stronę otwartych drzwi, jakby miała nadzieję, że zjawi się w nich klient.

Zoja poczuła się zawiedziona i zła. Nie miała pojęcia, co robić. Jeśli księgarnia będzie otwarta dopiero od dziesiątej, powinna pojechać teraz do szpitala psychiatrycznego i spróbować spotkać się z ojcem Dominica. Tyle że nie chciała rozmawiać z nim, dopóki nie spróbuje dowiedzieć się, co

chciała przekazać jej babka Zofia, zostawiając jej w kopercie fragment wiersza, którego sensu Zoja nijak nie mogła pojąć.

„Wiedz, że przed laty dawnymi Mój pra - pra dziad chciał tu, na tej ziemi, Wygrzebać nory dla swego plemienia...” -

przypomniał jej się fragment, który szczególnie ją zaintrygował.

Tu. Na tej ziemi... Czyżby chodziło o miejsce? A może wcale nie, może gdyby przeczytała cały wiersz, okazałoby się, że ukryty sens tkwi całkiem gdzie indziej.

- Higgins mieszka na trzecim piętrze - oznajmiła znienacka kobieta. Obgryzając skórkę z palca, kiwnięciem głowy wskazała na rząd zasłoniętych grubymi zasłonami okien dwa piętra nad wystawą księgarni.

- Bardzo, bardzo panu dziękuję! - powiedziała Zoja z wdzięcznością, spoglądając na starszego mężczyznę w kapciach i szlafroku, stojącego z pękiem kluczy przed wejściem do księgarni. Jakimś cudem udało jej się go przekonać, żeby zszedł z nią na dół i wpuścił ją do środka.

- E tam, to nic takiego - odparł starszy pan i otworzył drzwi.

Ze środka wydobył się zapach kurzu i papieru. - Nieczęsto zdarza się, żeby komuś się tak spieszyło do książek...

Kiedy tylko weszli do środka, Zoja podała mu kartkę z fragmentem

wiersza.

- Bardzo mi zależy, żeby znaleźć całość. Nie wiem nawet, kto jest autorem... - powiedziała, z nadzieją przyglądając się, jak starszy pan zakłada wyjęte z kieszeni okulary na nos i zaczyna czytać.

- To nie wiersz, tylko bajka - wyjaśnił po chwili, oddając Zoi kartkę. - Autor to Jean de La Fontaine. Zdaje się, że miałem tu gdzieś... - urwał i podszedł do jednej z półek stojących bliżej witryny. - Wydaje mi się, że jeszcze niedawno tu był... - mówił

pod nosem, przesuwając palcem po grzbietach książek stojących w rzędach. - Był, na pewno, Jean de La Fontaine, dawno nikt o niego nie pytał... O jest! - oznajmił i wyciągnął zakurzoną książkę, po czym podał ją Zoi.

- Tam jest biurko. - Wskazał na stolik i krzesło wciśnięte między regały na końcu księgarni. - A ta bajka to *Kot, królik i łasica*.

Zoja odsunęła krzesło i ręką starła kurz z siedzenia. Usiadła na brzegu, kładąc książkę na stole. Zapaliła lampkę - z dworu wciąż wpadał do księgarni jedynie melanz szarości i bieli, a to wszystko przez ciągle wiszącą nisko mgłę. W końcu jest jeszcze wcześniej - pomyślała Zoja i ostrożnie otworzyła książkę, od razu przechodząc do spisu treści.

- Dobry angielski przekład, wydanie z 1985 roku, dziś już takich nie robią... - starszy pan cały czas komentował. Jego głos dobiegał do Zoi jakby z zaświatów, tak była pochłonięta przekładaniem stron. W końcu dotarła do osiemdziesiątej piątej.

Bajka *Kot, królik i łasica*, zgadza się.

- Może ja zrobię kawy? - zawołał starszy pan.

- Dziękuję, ale nie trzeba. - Zoja machnęła ręką, będąc już w połowie bajki. Chciała jak najszybciej dojść do końca.

I przeczytać ją jeszcze, i jeszcze, i jeszcze raz, aż w końcu może uda jej się zrozumieć, dlaczego jej babka wybrała właśnie ten fragment.

- Kawa... - powiedział nagle starszy pan, stawiając przed Zoją kubek pełen rozkosznie parującego naparu. Nawet nie zauważyła, kiedy wyszedł z księgarni i wrócił. Jak na starszego człowieka był bardzo zwinny. Może to dlatego, że poruszał się po swoim małym świecie, który stanowiły mieszkanie i księgarnia.

- Zrobiłem z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru - oznajmił dziarsko, dodając, że taką samą piła jego żona przez całe życie.

Zanim umarła. Dwa lata temu.

Zoja podziękowała i upiła łyk. Kawa podziałała pobudzająco, ale i tak nie pomogła zrozumieć, czego powinna szukać w bajce, w której sprytny kot-adwokat zjada zwaśnionych królika i łasicę.

- Może mógłbym jakoś pomóc? Wygląda pani na zmartwioną. - Podeszedł bliżej i zerknął na otwartą książkę. -

A pani cały czas czyta jedną i tą samą. Bajki La Fontaine'a nie są wcale łatwe. - Pokręcił głową.

- Wie pan coś na temat tego autora?

- Ooo, to był bardzo mądry człowiek. Napisał prawie dwieście pięćdziesiąt bajek, większość uznano za klasykę klasycyzmu francuskiego...

- Nie, nie o to mi chodzi. Pytałam raczej o to, czy zna pan jakieś ciekawostki na jego temat.

Starszy pan się uśmiechnął. Odpowiedział, że jedyne co wie, to wiedza z pewnej książki, w której o La Fontainie napisano, że trzymał się blisko mnichów z opactwa Saint-Germain-des-Prés, o którym ze względu na pochowanych tam merowińskich królów mówiło się, że jest... no... nawiedzone. Takie bajki, nic prawdziwego. - Machnął ręką.

Dla Zoi to wcale nie były bajki. Kiedy usłyszała o Merowingach, przypomniało jej się, co mówił lord Churchill pod katedrą w Akwizgranie. „Ród Merowingów, droga pani, nigdy nie był zapomniany... Nie byłoby ani króla Karola Wielkiego, ani tej wystawnej budowli, gdyby nie właśnie Merowingowie, potomkowie królewskiego rodu Dawida, Marii Magdaleny i Jezusa”. Zatem bez wątplenia to, z kim przestawał

La Fontaine, musiało mieć jakiś związek z tym, dlaczego babka Zofia użyła właśnie jego wiersza...

- Wie pani, mnie jest jednak szkoda tych Żydów... - ciągnął starszy pan, nie zdając sobie sprawy, że Zoja od dłuższej chwili go nie słucha.

Zoja nagle wyrwała się z amoku myśli. Hasło „Żydzi” w domyśle przywołało skojarzenie ze Starym Testamentem i rodem Dawida, o którym tyle mówili Serge i Dulli. Zerknęła na książkę, a potem na starszego pana, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego mówi akurat o nich.

- Ale dlaczego akurat Żydów?

- No jak to? Przecież ta bajka to żywcem ich historia. Kot to cesarz, królik i łasica zwaśnione rody... Prawo kaduka, o którym mowa w bajce,

ograniczało dziedziczenie, w tym przejmowanie ziem w spadku. A ci biedacy nie dosyć, że nie mogli nigdzie zagrześć miejsca na dłużej, to jeszcze ciągle im coś zabierano. A to prawo, a to kraj...

„Twoje królestwo uległo podziałowi, oddano je Medom i Persom... To właśnie przepowiednia, którą odczytał Daniel królowi Baltazarowi” - przypomniła sobie Zoja. Przecież o tym mówili Serge i Gerard na cmentarzu w Monachium, cytując wersy z księgi Daniela! Ziemia Obiecana! Izrael! Palestyna! -

przebiegło Zoi przez myśl. To dlatego babka Zofia posłużyła się tym wierszem. Wiedząc, że ktoś poza Zoją może przeczytać jej list, wołała ukryć wiadomość w bajce. To jasne, że w zdaniach „Mój pra - pradziad chciał tu, na tej ziemi, Wygrzebać nory dla swego plemienia” chodzi o miejsce, które dawno temu należało do przodków Merowingów. Miejsce ukrycia Ewangelii Apostolic!

Zoja poderwała się z krzesła i w euforii ucałowała starszego pana. Był kompletnie zaskoczony. Wcisnęła książkę pod pachę i kładąc na ladzie pięćdziesiąt euro, pobiegła do wyjścia.

- Dziękuję! Nawet pan nie wie, jak bardzo mi pomógł! - zawołała, przystając w progu, po czym ile sił w nogach pognąła do hotelu. Nad miasteczkiem wciąż unosiła się mgła. Teraz przestała mieć dla Zoi jakiegokolwiek znaczenie. Właśnie dostrzegła światełko w tunelu i tylko to się dla niej liczyło.



GODZINA 8. 15

Rzym,
mieszkanie
kontaktowe
Federalnej
Służby

Wywiadowczej (BND), kryptonim lokalu „Olimp”

Krzesło, na którym siedział skuty kajdankami Serge, było tak niewygodne, że powoli zaczynały drętwieć mu nogi. Wychylił się ostrożnie, żeby przez uchylone drzwi zajrzeć do drugiego pokoju wypełnionego słońcem wpadającym przez okna wychodzące na Via della Conciliazione. Dulli siedział gdzieś tam, pewnie tak samo jak on cierpiąc z powodu niewygody.

Serge był pewien, że zaraz po tym, jak ich tu przyprowadzili, celowo posadzili Dullego z dala od niego, i to tak, żeby nie mogli mieć nawet kontaktu wzrokowego.

W pewnej chwili Serge zauważył kręcącego się po pokoju Schlossela. Odgłosy jego nerwowych kroków roznosiły się echem

po
mieszkaniu.

Zdecydowanie
wyglądał

na

zdenerwowanego. Nic dziwnego - pomyślał Serge - skoro McGregor wyszedł dobre pół godziny temu ani nie powiedział

mu dokąd idzie, ani nie zabrał go ze sobą. Do tego Schlossel nad ranem otrzymał raport, z którego wynikało, że jego ludzie wciąż nie są w stanie namierzyć Anny Braun. Serge zdołał podsłuchać, jak rozmawiał o tymz McGregorem. Ten był wściekły. Zaraz potem zaczął gdzieś wydzwaniać i około godziny później zniknął; wyglądało na to, że raczej prędko nie wróci.

Linsky wyszedł z kuchni i podał Schlosselowi kubek z kawą.

Nawet siedząc w drugim pokoju, Serge słyszał głośne siorbnięcia.

- Gdzie pański dowódca, majorze? - zapytał Schlossel.
Serge znów wychylił się lekko do przodu, żeby lepiej słyszeć.
Na szczęście żaden z nich nie pomyślał, żeby przymknąć drzwi.
- Sam chciałbym wiedzieć - odparł Linsky. Z tonu jego głosu dało się wyczuć, że nie kłamie i naprawdę nie ma pojęcia, gdzie podział się McGregor.
- Jeszcze chwila, a spóźnimy się na tę przeklętą konferencję.
Nie mam zamiaru zjawiać się tam w ostatniej chwili.
Serge usłyszał kroki. Sylwetka Linsky'ego mignęła mu przed oczami.
Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.
- Panie Dulli, jak szybko dojdziemy stąd do Pałacu Apostolskiego?
Serge drgnął. A więc jednak, na szczęście z Dullim wszystko w porządku. Tak jak przypuszczał, siedzi tam, mając lepszy widok na Schlossela i Linsky'ego niż on.
- W jakieś pięć, siedem minut - odpowiedział Dulli. - Tyle że żeby wejść na konferencję, trzeba mieć akredytację...
- TO jest moja akredytacja! - warknął Schlossel i wyciągnął legitymację BND.
- Może pan być nawet kanclerzem, a i tak nie wejdzie pan bez przepustki - upierał się Dulli.
Z korytarza dobiegł odgłos otwierania drzwi wejściowych.
Zaraz potem w pokoju, w którym siedział Dulli, zjawił się generał McGregor. Serge spróbował przesunąć krzesło nieco bliżej drzwi, żeby lepiej słyszeć.
- Nie będzie żadnej konferencji - oznajmił McGregor.
- Co?

- Możemy wracać do Monachium. I zająć się tym, żeby jak najszybciej złapać Annę Braun i Zoję Pietrowną.



GODZINA 8. 35

Watykan, Dom Świętej Marty

Sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej kardynał Lorenzo Ceva i towarzyszący mu szef biura prasowego Watykanu Giuseppe Landulioni z trudem przecisnęli się przez tłum dziennikarzy i fotoreporterów stojących pod drzwiami Domu Świętej Marty.

Minąwszy szpaler gwardzistów, weszli do środka i od razu skierowali kroki do kaplicy, w której właśnie kończyła się papieska poranna msza.

Jedna z sióstr szarytek otworzyła drzwi i jako pierwsza wychynęła ukradkiem na korytarz. Mijając kardynała Cevę i rzecznika Landulioniego, skłoniła głowę i posłała obydwu szczerzy uśmiech, którego żaden z nich nie odwzajemnił. Kiedy chwilę później pozostałe zakonnice opuściły kaplicę, a w środku nie został nikt więcej poza klęczącym przed ołtarzem papieżem zatopionym w modlitwie i jego kamerdynerem, Tomaszem Cippo, weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi.

- Eminencjo, przepraszam za zakłócanie spokoju, ale... -

odezwał się kardynał Ceva i ruszył w kierunku ołtarza. Rzecznik został przy drzwiach, ewidentnie pilnując, żeby nikt nieproszony nie mógł im przeszkodzić.

Tomaso zaskoczony ich obecnością zagroził kardynałowi drogę.

- Ojciec święty jest pogrążony w modlitwie! - oznajmił stanowczym tonem, zły, że ktokolwiek zakłóca spokój papieża w tak ważnej chwili. Im dłużej przyglądał się twarzy kardynała Cevy, tym mocniej czuł, że stało się coś złego. Coś, co może pokrzyżować cały ich plan...

Papież z trudem podniósł się z klęcznika. Utykając na lewą nogę, czując przygniatający ciężar nieprzespanej nocy, podszedł do Tomasa i kardynała.

- Coś się stało?

- Eminencjo... - Kardynał skinął głową. - Proszę wybaczyć to najście, ale... - Obejrzał się i przywołał spojrzeniem rzecznika. - Zaszły nowe okoliczności, o których musimy eminencję poinformować, zanim...

- Zanim wywołamy największy kryzys dyplomatyczny w historii

Watykanu - dokończył za niego rzecznik Landulioni. -

Przez całą noc w biurze sekretarza stanu urywały się telefony z ambasad. Niemiecki rząd szaleje. Premier Włoch próbował się z eminencją skontaktować bez przerwy przez ostatnie osiem godzin. Wyjaśnień żądają także Argentyna, Francja, Wielka Brytania, Stany... Telefony w biurze prasowym też nie przestają dzwonić. Nie nadążamy z dementowaniem nieprawdziwych doniesień dziennikarzy. To, co się dzieje, to istne szaleństwo!

A papieski kamerling przez całą noc miał wyłączony telefon... -

Spojrzał z wyrzutem na Tomasa. - Nie dostaliśmy nawet potwierdzenia ostatecznej wersji informacji, jakie mamy przekazać dziennikarzom po konferencji.

Kardynał uciszył go machnięciem ręki.

- Obawiam się - powiedział, siląc się na spokój - że żadnej konferencji nie będzie.

Tomaso zrobił wielkie oczy. Ze złości aż poczerwieniał na twarzy. Stojący obok kardynała rzecznik też wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

- Jak to nie będzie? - dopytywał Tomaso, wlepiając wzrok w papieża, po którym nie widać było, żeby ta wiadomość wywarła na nim większe wrażenie. Czyżbyś się tego spodziewał? W takim razie po co to wszystko? Dlaczego kazałeś mi przygotować informacje dla dziennikarzy? - Pytania wirowały w jego głowie, powodując, że wściekłość zaczęła ustępować miejsca bezradności. W tej chwili mógł mieć tylko nadzieję, że ojciec święty odczyta te pytania z jego spojrzenia i tak jak on dojdzie do wniosku, że nie wolno tak po prostu odwołać konferencji.

- Jeśli można... - kardynał Ceva spojrzał na Tomasa. -

Chciałbym zostać z jego eminencją sam na sam.

Tomaso odczytał ze spojrzenia ojca świętego, że ma zrobić to, o co prosi kardynał. Razem z rzecznikiem opuścili kaplicę.

Kardynał Ceva odprowadził ich wzrokiem, a kiedy drzwi się zamknęły, wyjął spod pachy teczkę i podał ją papieżowi.

- Przed chwilą był u mnie dyrektor amerykańskiej agencji wywiadu wojskowego. Kazał mi to niezwłocznie przekazać eminencji do rąk własnych...

Pokryta zmarszczkami, zadbana dłoń papieża dotknęła wierzchu teczki. Druga badała jej wagę. Nie była ciężka.

W środku znajdowało się najwyżej kilka dokumentów. Poza tym może dwa, trzy zdjęcia. Nie musiał zaglądać do środka, żeby wiedzieć, co DIA ma na niego w swoich archiwach. Uśmiechnął

się smutno i oddał ją kardynałowi Cevie. Potrzebował chwili do namysłu, dlatego podszedł do ołtarza i podtrzymując się klęcznika, spojrzął na krzyż. Czy powinien był się tego spodziewać? Czy wykazał się zbytnią naiwnością? W głębi

serca liczył na to, że minęło już tyle lat, że Amerykanie wreszcie zgodzą się, żeby choć część prawdy wyszła na jaw bez konieczności płacenia za to najwyższej ceny...

- Jakie są ich warunki? - zapytał papież, nie odwracając głowy od ołtarza.

- Powiedział, że jeśli jego eminencja zdecyduje się spotkać z dziennikarzami, jeszcze dziś przekaże zawartość teczki w ręce dziennikarzy na całym świecie.

Papież pomyślał o Zoi i przeszył go bezbrzeżny smutek.

Wspomniał także Pietra Cippo, Serge'a, Zofię Trocińską, Dullego, ojca Bruno. Wszystkich, którzy w ostatnich dniach, tygodniach, miesiącach, latach odegrali swoje role, stając po dobrej czy złej stronie. Wielu z nich straciło życie. Wielu wciąż walczy. A co z ofiarami? Jak spojrzeć w oczy ich dzieciom, wnukom, skoro oprawcy po raz kolejny unikają sprawiedliwego sądu? Co z kardynałami, księżmi, zakonnikami, którzy wspierają nazistów?

- Eminencjo... - cichy głos kardynała wypełnił kaplicę, wrywając papieża z zamyślenia. - Kościół nie wytrzyma dwóch tak potężnych ciosów zadanych jednego dnia. To nas zabije...

Papież zamknął oczy. Zdawał sobie sprawę, że kardynał Ceva ma rację. Że choćby nawet w imię głoszenia prawdy zdecydował się otwarcie zmierzyć z własną przeszłością i nawet w związku z tym po konferencji prasowej ogłosić *renuntiatio*, nie pomoże tym Kościołowi. Kiedy go zabraknie, niewielu będzie miało odwagę stawić czoła nazistom.

- Proszę powiedzieć panu Landulioniemu, żeby wyszedł do dziennikarzy. Oficjalne oświadczenie wydam później -

oświadczył. Słyszając, jak kardynał naciska na klamkę, dodał jeszcze, żeby przekazał księdzu Tomasowi, że przez jakiś czas chce pozostać w kaplicy sam.



GODZINA 9. 00

Denbigh, Wielka Brytania

Zoja nie tyle zjadła, co pochłonęła śniadanie. Kiedy wpadła do tawerny Gulidhall po szybkim biegu z księgarni i poczuła zapach smażonego bekonu wydobywający się przez skrzydłowe drzwi restauracji, natychmiast poczuła wilczy głód. Zamówiła tosty z roztopionym cheddarem, sadzone jajko z bekonem, specjalność walijskiej kuchni - owsiankę z wodorostami smażoną w formie ciasteczek, podawaną z małżami, a na koniec sheperd's pie, czyli tartę z mięsa i ziemniaków, której ostatni kęs właśnie przeżuwała, próbując wstać od stołu.

Trzymając pod pachą książkę, wyszła z restauracji, minęła niewielki hol i stanęła przy ladzie recepcji.

- Mogłaby pani zamówić dla mnie taksówkę? - zapytała Zoja, przyglądając się recepcjonistce.

Była młoda. I miała mnóstwo piegów. Zoja z zazdrością przyglądała się jej rudym włosom spiętym w kucyk. Swoje ledwo co udało jej się spiąć przez ranę z tyłu głowy, na którą wciąż musiała uważać. Zoja instynktownie sięgnęła ręką, żeby sprawdzić, czy włosy zakrywają wygolony kawałek skóry.

- Tamten pan czeka na panią. Twierdzi że jest pani kierowcą - recepcjonistka wskazała na mężczyznę w garniturze siedzącego na fotelu przy drzwiach. Kiedy Zoja spojrzała w jego stronę, uśmiechnął się i wstał. To był ten sam człowiek, który wczoraj

wiózł ją z lotniska. Pewnie lord Churchill kazał mu mnie pilnować... - pomyślała, spoglądając na rolexa, który opinał jej nadgarstek.

Niby mogli już ruszać, ale kiedy kierowca do niej podszedł, pytając, dokąd jada, przypomniała sobie, że zostawiła na górze plecak. Pognała na górę i wróciła dwie minuty później, dźwigając go na plecach. Przez książkę, którą włożyła do środka, stał się ciężki. Nie było jej zbyt wygodnie.

- No to dokąd jedziemy? - powtórzył pytanie kierowca.

- Do szpitala psychiatrycznego. Zaraz spytam o adres - odpowiedziała Zoja i podeszła do rudej recepcjonistki zajętej drukowaniem paragonów.

- North Wales Hospital jest przy Prion Road, ale... -
Spojrzała na Zoję ze strachem w oczach. - Ja bym się bała tam jechać,
nawet w dzień.

Nie minęło nawet piętnaście minut, kiedy Zoja przekonała się o tym, że
recepcyjnistka miała rację. Hyundai zjechał z głównej drogi. Kierowca,
zdziwiony nie mniej niż Zoja, przetarł oczy ze zdumienia. Dla
bezpieczeństwa zwolnił. Koła podskakiwały na wyboistej betonowej alei,
gdy wjeżdżali w głąb parku. Albo tego, co kiedyś było parkiem.

Przed nimi, za metalowym ogrodzeniem, na którym wisiała tabliczka z
trupią czaszką i napisem „wstęp wzbroniony”, wyrósł kompleks budynków w
wiktoriańskim stylu. Na tle zachmurzonego nieba wysoka wieża z
nieczynnym zegarem i zamknięte dębowe drzwi otoczone setkami
powybijanych okien sprawiały makabryczne wrażenie.

- Może tu kiedyś był szpital psychiatryczny - odezwał się kierowca. - Ale
teraz to jest już tylko jedna wielka ruina.

- To niemożliwe... - wyszeptała Zoja, wysiadając z samochodu.
Niechcący nadepnęła na kawałek szkła, który

zachrząścił jej pod butem. Dookoła leżało pełno śmieci. Wiatr zawiał,
unosząc w powietrze kawałek starej gazety. Podfrunęła, lądując Zoi pod
nogami. - Po prostu niemożliwe... - powtórzyła, rozglądając się dookoła z
coraz większym niedowierzaniem.



GODZINA 9. 23

Rzym,
mieszkanie
kontaktowe
Federalnej
Służby

Wywiadowczej(BND), kryptonim lokalu „Olimp”

Linsky wyprowadził Serge'a z kamienicy prosto na Via della Conciliazione. Zgodnie z rozkazem McGregora, który razem ze Schlosselem został na górze, żeby o czymś porozmawiać, miał zaprowadzić go do samochodu, a potem wrócić po Dullego.

Dookoła stało mnóstwo wozów transmisyjnych telewizji z całego świata. Wokół nich kręcili się dziennikarze. Na widok ich zawiedzonych min Serge poczuł, jak zalewa go fala wściekłości z powodu odwołanej konferencji. Oni muszą wiedzieć. Muszą. Świat ma prawo poznać prawdę...

- Zatrzymaj się - rozkazał nagle Linsky i z całej siły popchnął Serge'a w stronę zaułka, w którym stały kontenery na śmieci. Serge poleciał jak długi, lądując w kubie na śmieci pełnym odpadów.
- Zostań tu i nawet nie próbuj wycinać żadnych numerów! - ostrzegł go Linsky, celując do niego z broni.

Serge pomyślał, że przez to, że ma na rękach kajdanki, nie jest w stanie nawet się podnieść, a co dopiero mówić o wycinaniu jakichś numerów... Ciągle w szoku, patrzył za Linsky, który właśnie zniknął w tłumie przechodniów na Via della Conciliazione.

Serge nie mógł uwierzyć, kiedy trzy minuty później znów zobaczył Linsky'ego. Tym razem prowadził Dullego. Jego też wepchnął do zaułka. Kazał mu podejść do kontenera, przy którym, umazany sokiem z owoców, siedział Serge.

- Odwróć się - rozkazał Linsky Dullemu.
- Oszalałeś? Co ty chcesz zrobić?! - Przeraził się Serge, widząc, że Linsky trzyma w ręce pistolet.

Niespodziewanie Linsky wyjął z kieszeni kluczyk od kajdanek i uwolnił z

nich Dullego. Po chwili zrobił to samo z Serge'em, chociaż wcale nie było łatwo go podnieść.

- Spadajcie stąd! - rozkazał Linsky. - Ale już.

Serge i Dulli spojrzeli po sobie. Trudno było im uwierzyć, że major naprawdę chce im pomóc. Tak nagle? Teraz?

- Macie pomóc tej dziewczynie - powiedział Linsky, widząc, że Dulli i Serge się ociągają.

- W nocy, w Warszawie, uwierzyłeś w to, co mówiłem o Ewangelii? - zapytał Serge, chcąc zrozumieć, dlaczego Linsky zdecydował się ich uwolnić.

- Nie - odparł Linsky. - Ale wierzę w mojego dziadka.

I uważam, że to, co zrobił McGregor z papieżem, to czyste skurwysyństwo.



GODZINA 9. 30

Denbigh, Wielka Brytania

Zoja przeszła przez dziurę w metalowym ogrodzeniu. Stając po drugiej stronie, zerknęła jeszcze raz w kierunku samochodu.

Kierowca oparty plecami o maskę widząc, że na niego patrzy, postukał się w głowę.

Pomyślała, że ten niezbyt rozgarnięty Brytyjczyk bez wątpienia ma rację. Tak, być może jest szalona. Być może w ogóle nie powinna była wysiadać z samochodu, tak jak jej radził. Ale w końcu chce tylko zajrzeć do środka, nic więcej. No i w razie czego ma przy sobie broń, której może użyć jako straszak. Nie sądziła, że w tej kupie gruzów może kogokolwiek spotkać. A nawet jeśli spotka, to wystraszy się na sam widok lufy wycelowanej w jego pierś.

Upewniła się, że pistolet wciąż spoczywa bezpiecznie w kieszeni, i ruszyła w kierunku drzwi. Szkło z powybijanych okien chrzęściło jej pod butami. Dookoła leżało pełno spalonych desek, jak gdyby budynek niedawno płonął, a gaszące go zastępy straży nie zwracały uwagi, czy da się cokolwiek uratować.

Bez problemu udało jej się otworzyć drzwi i ostrożnie zajrzeć do środka. W korytarzu śmierdziało odchodami. Ściany były poobdrapywane z farby. Z sufitu zwisały belki. Wszystko razem sprawiało wrażenie, jakby naprawdę - zgodnie z tym, przed

czym ostrzegał napis na tabliczce - w każdej chwili mogło runąć.

Mimo to, pod wpływem impulsu, Zoja zdecydowała się wejść. Ostrożnie stawiając każdy krok, przeszła korytarzem w lewo, potem w prawo, mijając ogromne pomieszczenia, niemal doszczętnie ograbione i zrujnowane. W jednym z nich na środku podłogi namalowany był pentagram. W drugim potężne gałęzie drzewa wdarły się do środka przez wybite okno; kupy zgniłych liści zalegały na podłodze, tworząc coś w rodzaju wzniesienia, w którym mogłoby sobie urządzić posłanie niejedno dzikie zwierzę. Kiedy Zoja dotarła do łazienki, prawie krzyknęła z przerażenia. Na ścianach, podłodze, zniszczonej wannie, wszędzie były podbijane krwiste ślady dłoni.

Słyszając za plecami szelest, drgnęła. To tylko wiatr, tylko wiatr -

powtarzała w myślach, choć czuła, że to wcale nieprawda. Coraz bardziej przerażona, wyjęła z kieszeni broń i zaczęła nasłuchiwać. Nie mogła się zdecydować, czy zostać tu, na progu makabrycznej łazienki wymazanej krwią, czy jednak zaryzykować i ruszyć do wyjścia.

W końcu podjęła decyzję. Idę, idę, bo jeśli tu zostanę...

Wolała nawet nie myśleć, co może się stać. To miejsce było wyjątkowo złowrogie. W powietrzu poza zapachem stęchlizny, pożaru i wilgoci unosiło się coś jeszcze i było ledwie wyczuwalne, jednak Zoja była w stanie to rozpoznać. To był

zapach przeszłości, która wciąż nie osiadła jak kurz, tylko wirowała pod sufitem, zmieszana z mdłym zapachem goryczy i frustracji setek pacjentów, którzy zastali tu swój koniec. Jeśli nawet Dulli nie miał pojęcia, że szpital, w którym miał

przebywać jego ojciec, od dawna jest ruiną, to co tu się musiało dziać? Jak wiele tajemnic tego miejsca nigdy nie wyszło na jaw?

Zoja nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się w korytarzu prowadzącym do wyjścia. Wdzięczna, że za chwilę będzie mogła opuścić to koszarne miejsce, szybko ruszyła do drzwi.

Nie wiadomo skąd nagle za jej plecami zjawił się jakiś człowiek okutany w grubą warstwę starych ubrań. Przez to, że miał na głowie dwie czapki jedna na drugiej, a połowę twarzy zakrywał

mu brudny szalik, nie mogła nawet dostrzec jego twarzy.

- Wynoście się! Wynoście! Precz stąd! - wrzeszczał

ochrypłym głosem, podchodząc coraz bliżej Zoi. Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, złapał z podłogi kawałek deski i machnął tak, że wytrącił jej z ręki pistolet. Broń upadła na kawałek metalowej płyty leżący na podłodze, robiąc dużo hałasu. Przerażony napastnik nagle padł na ziemię.

- O Boże! - krzyknęła Zoja i podbiegła, żeby sprawdzić, czy żyje.

Żył, ale ze strachu drżał na całym ciele. Pomagając mu wstać, Zoja dotknęła kawałka jego ręki wystającej spod warstwy łachmanów. Ten człowiek to sama skóra i kości - oceniła. Do tego kiedy uniósł głowę, zobaczyła, że jego oczy pokrywa bielmo. On nie widzi. I dlatego mnie zaatakował. Wziął mnie za jakiegoś wandala...

- Co pan tu robi? - zapytała, choć zaraz dotarło do niej, że to idiotyczne pytanie. Przecież to oczywiste, że musi być bezdomny. I chwilowo albo na stałe wybrał akurat to miejsce.

- Kim jesteś? - wychrypiał mężczyzna, odsuwając nieco szalik z twarzy i szyi. Widocznie ze strachu zrobiło mu się gorąco. Stał przy ścianie, jedną ręką macając jej powierzchnię, jakby w ten sposób chciał się zorientować, gdzie dokładnie jest.

Zoja zorientowała się, że musi dobrze znać to miejsce. Jeśli nawet jest bezdomnym, za którego z początku go wzięła, mieszka tu od dłuższego czasu. Za pomocą dotyku poznawał każdy kąt. Czuł się tu bezpieczny.

- Co pan tu robi? - zapytała Zoja.

- Kim jesteś? - powtórzył starzec. Coś znowu musiało go wystraszyć, bo niezdarnie się poderwał i zaczął uciekać korytarzem w głąb budynku. Zdołał pokonać niecały metr, kiedy potknął się o deskę wystającą z podłogi i znów wylądował na ziemi, wznosząc wokół siebie tumany kurzu.

- Nie trzeba uciekać, nie zrobię panu nic złego! - Zoja próbowała go uspokoić. Zaryzykowała i podeszła bliżej.

- Miałem... miałem... - płacząc się, mężczyzna ewidentnie chciał coś wytłumaczyć.

Zoja uklękła, żeby pomóc mu wstać.

- Co pan miał? - próbowała go naprowadzić.

- Syn. Miałem syna.

- A ja mam córkę... - odpowiedziała Zoja i na myśl o Sashy aż zakłuło ją w piersi. Sama nie wiedziała, dlaczego o niej wspomniała. Chyba po prostu chciała nawiązać rozmowę, żeby przestał się jej bać. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła go zostawić leżącego na podłodze. Przez chwilę przebiegło jej nawet przez myśl, że może udałoby się zabrać go do miasteczka i zorganizować mu jakąś pomoc.

- Proszę pana, pomogę panu wstać. Nie będzie pan znowu próbował uciekać?

Mężczyzna pokręcił głową. Zoja, trochę bardziej ośmielona, wstała, złapała go za ramiona i próbowała podciągnąć.

- AŁAŁAŁAŁA! - wrzasnął z bólu.

Zoja wpadła w panikę. Nachyliła się nad nim i zapytała, co go boli.

- Ręka... - wyjęczał. - O ta... - kiwnięciem głowy wskazał lewe ramię.

- Od dawna boli? - Zoja próbowała ostrożnie rozsunać puchową kurtkę, żeby odsłonić kolejne warstwy bluz, bluzek, koszulek i szalików, pod

którymi znajdowała się ręka mężczyzny. Bała się, że kiedy przerażony hukiem wystrzału rzucił się na podłogę, coś sobie zrobił. Na widok złotego medalika na jego szyi zamarła.

- A to? - zapytała, próbując wziąć zawieszkę do ręki, żeby przyjrzeć się jej z bliska. Chciała to zrobić, żeby się upewnić.

Nawet bez tego i tak wiedziała, że to TEN medalik. Chryzmon.

Identyczny jak ten, który został jej w spadku po ojcu, a który niedługo po jego odzyskaniu ukradł jej młody nazista. Taki sam nosił też Serge. I ojciec Bruno. I papież pewnie też...

Mężczyzna wyrwał jej medalik i ukrył z powrotem pod kurtką. Niewidzącym wzrokiem błędził gdzieś ponad głową Zoi.

- Tego nie wolno, tego nie dam... - powtarzał w kółko, jakby bał się, że Zoja zechce mu go zabrać.

- Nie zabiorę panu medalika. Chciałabym się tylko dowiedzieć, skąd pan go ma.

- Mój. Moja własność. Od dawna. Zanim syn. Umarł.

Zoja drgnęła. Oczywiście. Przecież na początku wyraźnie powiedział „miałem syna”, a nie „mam”. Przeoczyła to.

- Bardzo mi przykro - odpowiedziała. Naprawdę było jej go szkoda. Gdyby nie to, że pewnie by się wystraszył, spróbowałyby go przytulić. Im dłużej słuchała, jak i co mówił, nabierała pewności, że albo przeszedł ciężki udar, albo ze względu na stan psychiczny nie jest w stanie mówić więcej niż pojedyncze słowa, które uważał za zdania.

- Dominic. Dobry. Dobry - wydukał.

Zoję aż zatkalo.

- Jak miał na imię pański syn?! - zapytała, starając się mówić wolno i wyraźnie, choć biorąc pod uwagę emocje, które w niej buzowały, wcale nie było to łatwe.

- Dominic. Mój syn. Dominic.



GODZINA 9. 40

Rzym,
mieszkanie
kontaktowe
Federalnej
Służby

Wywiadowczej (BND), kryptonim lokalu „Olimp”

- Uciekli? Jak to?! - wrzeszczał McGregor, aż szyby w oknach drżały.

- Już mówiłem, panie generale. Magdi musiał jakimś cudem wydostać się z samochodu. Czekał na mnie, kiedy szedłem z Dullim - odpowiedział Linsky, udając, że masuje obolały kark.

- Ogłuszył mnie, kazał oddać kluczyk od kajdanek.

- A ty się tak po prostu wystraszyłeś skutego więźnia i mu je dałeś, tak? - McGregor nie wyglądał na przekonanego wersją, jaką przedstawiał mu major. Przez cały czas bacznie go obserwował, podobnie jak Schlossel stojący kilka kroków za nim.

- A pan co robi? - warknął McGregor, widząc, że Schlossel wyjmuje z kieszeni telefon.

- Jak to co? Wzywam posiłki. Trzeba obstawić okoliczne ulice. Zamknąć dojazd do Watykanu. Minęło kilka minut. Nie uciekną daleko.

- Chwileczkę - odparł McGregor, zastanawiając się nad czymś. Schlossel zrobił zdziwioną minę i odłożył telefon. -

Skoro już są na wolności, mogą się nam przydać. Tak... -

Pokiwał głową, uśmiechając się pod nosem. - Doprowadzą nas prosto do niej. A jeśli wszystko pójdzie tak, jak myślę... za

kilka godzin będzie pan miał w swoich rękach także Annę Braun.



GODZINA 9. 48

Denbigh, Wielka Brytania

- To Vincenzo Saba Dulli, ojciec mojego znajomego, Dominica Dullego. Jest skrajnie wyczerpany. I chyba ma zwichniętą rękę - wyjaśniła Zoja, zerkając na stojącego za nią kierowcę. Zjawił się chwilę temu, zaniepokojony tym, że Zoja zbyt długo nie wracała do auta.

- Musimy go zabrać do szpitala - zawyrokowała.

- Nie. Szpital. Nie! - krzyknął mężczyzna i ze strachu aż skulił się pod ścianą.

Zoja kucnęła i ostrożnie wsunęła mu rękę pod plecy, starając się, żeby przy podnoszeniu nie dotknąć jego zwichniętej ręki.

Poprosiła kierowcę, żeby złapał go od drugiej strony.

- Spróbujmy zaprowadzić go do samochodu. Podniesiemy go na raz... dwa... trzy! - wysapała Zoja i razem z kierowcą spróbowali poderwać mężczyznę z podłogi. Udało się, poszło nadspodziewanie łatwo, ale kiedy tylko mężczyzna poczuł grunt pod nogami, wyrwał się im i uciekł po zbutwiałych schodach na pierwsze piętro.

- Jak na skrajnie wyczerpanego ma sporo siły... - ocenił

kierowca, otrzepując kurtkę z liści i śmieci, które poprzyklejały się do niego, kiedy pomagali mężczyźnie wstać.

- Jest w szoku - odpowiedziała Zoja ze złością. Była wściekła, że znów go wystraszyli. W ten sposób nie pomoże ani

jemu, ani sobie. Kazała kierowcy zostać na dole i sama, ostrożnie stawiając kroki, zaczęła wspinać się po schodach, uważając, żeby nie wsadzić nogi w dziurę albo nie stanąć na przegniły kawałek drewna. W końcu, po dwóch minutach niebezpiecznej wspinaczki, dotarła na wąski korytarz pełen gruzu. Na samym końcu znajdowały się drzwi do pokoju. Były na wpół spalone i ledwo trzymały się zawiasów.

- Panie Vincenzo?! - zawołała mężczyznę, wolno idąc korytarzem. Nie spodziewała się, że odpowie. Chciała tylko, żeby wiedział, że tu jest i wie, kim on jest.

Przecisnęła się przez szparę obok niebezpiecznie skrzypiących drzwi i zajrzała do pokoju. To było jedyne pomieszczenie na całym piętrze, które

miało ściany działowe i nie było doszczętnie wypalone. W kącie, pomiędzy ścianą a oknem, stała wysoka klatka. Zardzewiała i brudna, wyglądała jak z cyrku. Tyle że to był kiedyś szpital psychiatryczny, nie żaden cyrk.

- Panie Vincenzo?! - powtórzyła, nasłuchując odgłosów, które mogłyby świadczyć o tym, że gdzieś tu jest.

Dostrzegła w klatce niewyraźny ruch. Wyglądało to tak, jakby góra śmieci i brudnych łachmanów nieznacznie się przesunęła.

- Panie Vincenzo, to ja, Zoja - powiedziała najspokojniej jak umiała i podeszła do klatki. Nie mogła uwierzyć, że jakikolwiek człowiek woli ukryć się w śmierdzącej, pełnej śmieci klatce, niż wyjść do ludzi. A jednak Vincenzo Saba Dulli tam był. Leżał

skulony pod kupą śmieci i szmat, najwidoczniej sądząc, że nikt go tu nie znajdzie.

- Panie Vincenzo, czy pamięta pan Ewangelię Apostolic? Był pan gnostykiem Bractwa Chryzmonu, przypomina pan sobie? Choć czekała dłuższą chwilę, mężczyzna nie odpowiedział.

Nawet się nie poruszył. Zajrzała głębiej do klatki. Na podłodze, pomiędzy szmatami i pustymi pudełkami po herbatnikach, leżał zeszyt. Był stary i porozrywany. Większość kartek była pozlepiana jakąś mazią. Z rozmytego atramentu niewiele dało się odczytać. Zoi udało się rozszyfrować tylko jeden fragment, z widniejącą u góry kartki datą 2. 07. 1982.

„Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej: ono zmiążdży ci głowę, a ty zmiążdżysz mu piętę”.

- Protoewangelia... - wyszeptała Zoja i z sercem walącym jak młot pneumatyczny spróbowała rozlepić kolejne kartki. To musi być jego dziennik. Patrząc po datach, z czasów, kiedy wspólnie z ojcem Bruno szukali Ewangelii Apostolic.

- Moje. Oddać - powiedział nagle mężczyzna, wystawiając brudną, pokrytą strupami dłoń spod łachmanów, w których leżał zagrzebany, odkąd Zoja zajrzała do pokoju. Błądząc nią po omacku, próbował wymacać zeszyt.

- Panie Vincenzo, musi pan sobie przypomnieć... - odezwała się Zoja błagalnym tonem. - Szukaliście z ojcem Bruno Ewangelii Apostolic. Wiem, że to było gdzieś w Izraelu albo Palestynie. Proszę sobie przypomnieć, gdzie dokładnie!

- Zły. Zły - powtórzył mężczyzna i wyrwał z wyciągniętej w jego stronę ręki Zoi zeszyt.

- Kto jest zły? Ojciec Bruno? - dopytywała Zoja, coraz bardziej przerażona, że niczego się nie dowie.

- Zły - potwierdził mężczyzna i powoli zaczął się wyczołgiwać z kryjóWKi.

Od kucania Zoi zdrętwiały nogi. Ostrożnie przysiadła na stosie starych gazet i spojrzała na wykrzywioną w grymasie przerażenia twarz mężczyzny. Zachowywał się tak, jakby węszył, próbując po zapachu ustalić, gdzie jest Zoja.

- Tu jestem - powiedziała i wyciągnęła rękę, delikatnie muskając jego ramię.

- Zły. Ewangelia zła. Śmierć... - odezwał się po chwili, odpychając rękę Zoi. - Idź. Idź! - rozkazał, machając głową w kierunku drzwi.

- Mam sobie pójść? - zapytała Zoja, niezbyt pewna, czy dobrze rozumie, co chce jej powiedzieć. Jeśli naprawdę każe jej sobie pójść, to znaczy, że niczego jej nie powie, nie wie albo nie chce wiedzieć.

- Panie Vincenzo - powiedziała Zoja, czując, że jeśli to nie zadziała, to już nic. - Przysłał mnie do pana Dominic. On żyje, ma się dobrze. Zabiorę pana do niego, tylko błagam, niech mi pan powie, gdzie jest Ewangelia Apostolic.

- Dominic nie. Martwy.

- Nie, panie Vincenzo! Pański syn żyje, żyje, rozumie pan? - powtórzyła Zoja i aż zachciało jej się płakać. Ktokolwiek doprowadził tego człowieka do takiego stanu, powinien ponieść za to srogą karę.

- Dominic? Ty? - dopytywał mężczyzna, jakby nagle coś do niego dotarło, jakiś strumień światła przebił skorupę jego obojętności.

- Tak, znam Dominica. To on przysłał mnie do pana... - chciała dodać, że jego syn nie ma nawet pojęcia, że szpital psychiatryczny, że to wszystko to jedno wielkie oszustwo, ale uznała, że tylko niepotrzebnie namiesza mu w głowie. -

Pojedziemy do Dominica, teraz, zaraz! Ale muszę wiedzieć, to bardzo ważne, gdzie jest Ewangelia Apostolic...

Mężczyzna usiadł i wyprostował nogi. Wyglądał tak, jakby szykował się do snu, a nie do tego, żeby kontynuować rozmowę.

Wsunął sobie dziennik pod ramię i spuściwszy głowę, westchnął

ciężko. Jego głowa, szyja, ramiona, cały tułów, pod grubą warstwą ubrań, wyglądały jak jedna zwarta masa. Zoja nie była w stanie ocenić, czy ma otwarte oczy czy zasnął.

Pomyślała, że to nie ma sensu. Że straciła tylko czas, a i tak nic z tego. Nie dowie się, gdzie jest Ewangelia Apostolic. Nie znajdzie jej. Spojrzała na zegarek. I tak było już godzinę po wyznaczonym przez kardynała Giovanni czasie. Zrezygnowana, podtrzymując się ręką o pręt, wstała.

- Święty Jerzy. Martwy. Grób - powiedział nagle mężczyzna, nawet nie podnosząc głowy. Wciąż sprawiał wrażenie, jakby był w letargu.

Święty Jerzy. Martwy. Grób - powtórzyła w myślach Zoja. Co to może znaczyć? Martwy święty Jerzy ma swój grób... GRÓB

ŚWIĘTEGO JERZEGO! Gdziekolwiek się znajduje, to w nim ukryta jest Ewangelia Apostolic!

- Panie Vincenzo - odezwała się Zoja. - Proszę, niech pan ze mną pójdzie. Nie może pan tu zostać.

Nachyliła się i wsunęła się do klatki, żeby złapać go za rękę.

W parę sekund zorientowała się, jak wielki błąd popełniła.

Mężczyzna wrzasnął wściekle „Idź!”, po czym rzucił się w jej stronę, jakby chciał ją ugryźć.

Odskoczyła i uciekła z pokoju. Zbutwiałymi schodami pognęła na dół, ani razu nie oglądając się za siebie. Bała się, że może ją gonić. Jego wyszczerzone zęby, napięte mięśnie twarzy, to, jak zwinnie podskoczył w jej stronę. Nie miała wątpliwości, że Vincenzo Saba Dulli całkiem postradał zmysły. I ona jedna, sama, nie jest w stanie mu pomóc.

- No i co? Co robimy? - zawołał kierowca na widok Zoi przeciskającej się przez dziurę w siatce. Stał przy samochodzie z telefonem w dłoni.

- Nic - odparła Zoja, starając się nie rozplakać. - Jedziemy.

Do księgarni Higginsa.

Minutę po tym, jak samochód z Zoją odjechał, zakapturzona postać stojąca przy oknie z powybijanymi szybami na pierwszym piętrze ruszyła w kierunku pokoju, w którym stała klatka. Vincenzo Saba Dulli siedział w środku i zakrywając kościstymi dłońmi twarz, cicho płakał.

- Brawo! - odezwał się nieznajomy. - Świetnie się spisałeś!

Mężczyzna oderwał dłonie od twarzy i podniósł głowę.

Przestał łkać.

- Zły. Bruno. Obiad. Obiecałeś - powiedział z wyrzutem.

Nieznajomy podszedł do klatki. Wrzucił do środka reklamówkę z jedzeniem. Mężczyzna rzucił się na nią i wyjął plastikowe pudełko. Otworzył i czując zapach pieczeni jagnięcej, oblizał spierzchnięte wargi. Natychmiast zaczął jeść.

Odrzucił plastikowe sztućce na bok i palcami oderwał spory kawałek mięsa, wpychając go sobie do ust.

- Vincenzo Saba Dulli, co się z tobą stało... - powiedział z pogardą nieznajomy. Rzucił mężczyźnie przelotne spojrzenie pełne obrzydzenia i wyszedł.



GODZINA 9. 55

Watykan, Dom Świętej Marty

- Depczesz marchewki! - zdenerwował się Dulli, pokazując palcem na idealnie wypielęgnowaną grządkę, na której stał but Serge'a.

- Trzeba mnie było nie prowadzić przez warzywnik! - odburknął Serge. - Najpierw musiałem przejść kanałami jak szczur, a teraz masz do mnie jeszcze pretensje o jakieś głupie marchewki...

- Ciiii... - Dulli przyłożył palec do ust i przylgnął do ściany.

Serge zamilkł i zrobił to samo.

- Poszła? - zapytał kilka sekund później, cały złany potem.

Stał dokładnie w miejscu, na które padało ostre słońce.

- Chyba tak - odparł Dulli, zaglądając przez okno do środka. -

Gdyby siostry dowiedziały się, że tu jesteśmy, urwałyby mi głowę.

- Nie tylko tobie. I nie tylko siostry - odpowiedział mu Serge i otarł z czoła pot. Nie dosyć, że było mu gorąco, to jeszcze całe plecy miał umazane zgniłymi pomidorami z worka, na który wpadł, kiedy major Linsky pchnął go na śmietnik.

- Śmierdzisz octem - rzucił Dulli i przyjacielsko poklepał

Serge'a po plecach. Uchylił drzwi i rozejrzawszy się po korytarzu, uznał, że droga wolna.

- Dokąd idziemy? - zapytał Serge, idąc dwa kroki za Dullim.

W całym budynku panowała cisza, przerywana od czasu do czasu pobrzękiwaniem naczyń. To siostry szarytki gotowały obiad dla papieża.

- Do kuchni. Musimy się dowiedzieć, gdzie są Tomaso i papież. Zrobimy tak, że ty zaczekasz na korytarzu, a ja wejdę i zapytam. Mnie już znają, ciebie nie. Wściekną się, jeśli zobaczą, że znów przyprowadziłem kogoś na obiad...

- Jadasz obiady w Domu Świętej Marty? - zdziwił się Serge i przypomniał sobie, że przecież Dulli jest watykańskim przewodnikiem. To dlatego z taką łatwością był w stanie przeprowadzić go podziemiami z Via della Conciliazione do placu Świętego Piotra, a stamtąd zaułkami i bocznymi uliczkami do Domu Świętej Marty. Dzięki jego sprytowi byli w stanie ominąć hordy dziennikarzy, gapiów i turystów, a przede wszystkim nie

wpaść ani na *carabinieri*, ani na watykańskich żandarmów, którzy już pewnie wiedzą, że uciekli amerykańskim i niemieckim służbom.

- Nie tylko obiady. Śniadania i kolacje też - potwierdził Dulli.

Pokonali jeszcze kawałek korytarza, po czym Dulli zostawił Serge'a i sam zniknął za wyszorowanymi do granic rozsądku dębowymi drzwiami. Z pomieszczenia wydobył się słodki zapach ciasta. Próbując zagłuszyć ssanie w żołądku, Serge przystawił ucho do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Dulli powiedział

do zakonnic coś po włosku, a one zaczęły się śmiać. Potem zrobiło się poważniej, ale ponieważ jedna z siostr włączyła mikser, Serge niewiele usłyszał. Kiedy drzwi się otworzyły, zdołał odskoczyć dosłownie w ostatniej chwili, zanim Dulli złamałby mu nos.

- No i? - zapytał zniecierpliwiony Serge.

- Nie jest dobrze - odparł Dulli i podał mu spory kawałek placka z jabłkami. - Masz, zjedz coś, zanim umrzesz z głodu - rzucił i sam ugryzł swój kawałek. - Rano byli tu sekretarz stanu i dyrektor biura prasowego. Podobno przerwali poranną mszę.

Zaraz potem papież odwołał konferencję.

- Czyli tak jak się spodziewałem. Szantaż. To dlatego McGregor zniknął tak nagle...

- Bardzo możliwe. Ale teraz już chodź. Musimy się pospieszyć, póki jeszcze Tomaso jest u siebie, a papież w kaplicy. Mogę się założyć, że McGregor i Schlossel szybko trafią na nasz ślad.



GODZINA 10. 44

Cardiff, Wielka Brytania

Zoja z dwiema książkami pod pachą i plecakiem na ramieniu szła przez płytę lotniska w kierunku niewielkiego odrzutowca stojącego na pasie startowym. Uznała, że szczęście jej sprzyja.

Pomijając kilka drobnych wpadek i koszarne spotkanie z Vincenzo Sabą Dullim, którego wciąż było jej potwornie żal, mogła wreszcie powiedzieć, że wszystko zaczyna się układać i jest coraz bliżej tego, żeby wreszcie odzyskać córkę.

Księgarz Higgins po raz drugi okazał się nieoceniony. Kiedy tylko przekroczyła próg księgarni i powiedziała, że potrzebuje książki o świętym Jerzym, natychmiast wyszukał dla niej kilka pozycji. To dzięki niemu mogła sprawdzić, że święty Jerzy według legendy zabił smoka, i szybko skojarzyć, że ma to związek z Protoewangelią, której fragment znalazła w dzienniku Vincenza Saby Dullego: „Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej: ono zmiążdży ci głowę, a ty zmiążdżysz mu piętę”. Smok ukąsił

świętego w nogę, a ten przebił mu łeb włócznią. I tak sama legenda nie była tak istotna jak to, że święty Jerzy pochodził

i został pochowany w miejscu, w którym wcześniej nauczał

święty Piotr... ZOE PIETRO. Życie Piotra. Już czas... W tym znaku zwyciężysz - przypomniała sobie Zoja, odwzajemniając

uśmiech stojącej na pasie startowym stewardessy, która wprowadziła ją na pokład samolotu.

- Lord Churchill czeka na panią w kabinie - oznajmiła stewardessa, wyrrywając Zoję z zamyślenia. Kilkadziesiąt metrów od nich zaczął kołować inny samolot. Ryk silnika zagłuszył to, co mówiła dalej. Zoja kiwnęła głową, dając znak, że zrozumiała. Wchodząc do samolotu, zastanawiała się gorączkowo, co takiego się stało, że lord Churchill nie tylko znowu udostępnił jej wyczarowany samolot, ale nawet przyjechał, żeby spotkać się z nią osobiście.

Zegarek - pomyślała Zoja. Na pewno chodzi o rolexa. Na wszelki wypadek upewniła się, że ma go w kieszeni. Zdjęła cenne cacko chwilę przed

tym, jak precyzyjnie się przez dziurę w siatce. Na szczęście wciąż tam był. Poczowała pod palcami jego chłodną, śliską powierzchnię. Wyglądało na to, że tarcza nie jest uszkodzona. Bransoleta także. Mogła odetchnąć z ulgą.

Weszła do kabiny z uśmiechem na ustach, który natychmiast zniknął. Poza lordem Churchillem był tam jeszcze ktoś. Ktoś, na widok kogo Zoja aż struchlała z przerażenia.

- Zoju! Moja droga! Martwiłem się o ciebie... - powiedział i ruszył jej naprzeciw, z ramionami szeroko rozpostartymi w powitalnym geście. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Widząc, że się do niej zbliża, Zoja cofnęła się o krok. Co robić? Uciekać? Stać? Wyjąć broń? Niech to szlag!

Ojciec Bruno objął ją i ucałował w czoło. Była w takim szoku, że nawet nie protestowała. Widząc, co się dzieje, lord Churchill zrobił zaskoczoną minę.

- Sądziłem, że się pani ucieszy. . . - rzucił, z konsternacją przyglądając się, jak Zoja z obrzydzeniem wyciera rękawem czoło, kiedy ojciec Bruno wreszcie się od niej odsunął.

- Jak mógł mi pan to zrobić?! - powiedziała Zoja, wściekle łypiąc na Churchilla.

- Ale co? Nie rozumiem... - odpowiedział, spoglądając na nią i na ojca Bruno, jakby oczekiwał, że któreś z nich wyjaśni mu, o co chodzi. Bruzda na jego czole powiększała się z sekundy na sekundę. Na jego twarzy nie malował się już wyraz zaskoczenia. Zastąpiło go całkowite przerażenie.

- Nie powiedziałaś mi całej prawdy, zgadza się? - odezwał się po chwili.

Ojciec Bruno odwrócił głowę i posłał mu szelmowski uśmiech. Wzruszył ramionami i odpowiedział beztroskim tonem, że czasem lepiej wiedzieć mniej niż więcej.

- Wykorzystałaś mnie - ocenił gorzko Churchill. Wyglądał tak, jakby nagle dotarło do niego, jak wielki błąd popełnił, okazując ojcu Bruno zaufanie.

Zoja postanowiła wykorzystać okazję. Rzuciła książki na podłogę, odwróciła się na pięcie i objając plecakiem o siedzenia, rzuciła się do ucieczki. Czuła, że musi wydostać się z samolotu. Teraz. Inaczej na zawsze może pożegnać się z Sashą.

Była już jedną nogą na pierwszym schodku, kiedy usłyszała za plecami

odgłos odbezpieczanej broni. Stała i podniosła ręce w górę.

- Wracaj - usłyszała za plecami stanowczą komendę. Od razu rozpoznała głos tego, który ją wypowiedział. Po raz drugi w ciągu kilku minut załapała ją fala wściekłości. Odwróciła się i wróciła do samolotu. Kilka kroków przed nią, w drzwiach kabiny pilota, stał Piotr. Piotr, który w apartamencie kardynała Angenera wydał ją i Pietra Cippo w ręce chłopaka z Wiking-Jugend.

- Zamknij drzwi! - wrzasnął do stewardessy, celując do niej z pistoletu. Przerazona dziewczyna natychmiast zrobiła, co kazał.

Razem z zamykającymi się na głucho drzwiami samolotu Zoja straciła ostatnią szansę na ucieczkę. Zrezygnowana wróciła do kabiny pasażerów. Wiedząc, że Piotr cały czas trzyma ją na muszce, usiadła w fotelu. Przez kilka sekund pomyślała o pistolecie, który schowała w plecaku w trakcie jazdy na lotnisko, sądząc, że nie będzie jej już potrzebny. Spojrzała ukradkiem na Piotra, potem na ojca Bruno. No i co zrobię?

Zastrzelę ich? Postraszę? Przecież obaj dobrze wiedzą, że nie umiem nawet odbezpieczyć broni, a co dopiero strzelić...

Wnętrze samolotu wypełnił ryk silnika. Maszyna zaczęła kołować.

- Dokąd wy chcecie lecieć?! - zapytał zdenerwowany Churchill, wyglądając przez okienko, jakby liczył na to, że zobaczy na pasie startowym kogoś, kto przyjdzie im z pomocą.

Nikogo takiego tam nie było. Jedyne pracownik lotniska w pomarańczowej kamizelce stał, przyglądając się, czy start maszyny przebiega bez problemów.

- Do Lyddy - wyjaśnił ojciec Bruno, wygodnie rozsiadając się w fotelu.

Piotr ciągle stał w przejściu. Trzymał w dłoni pistolet, na wypadek gdyby Zoja albo Churchill chcieli zaprotestować.

- Dlaczego właśnie tam?! - Zdziwił się Churchill i też usiadł.

Nad ich głowami zapaliła się czerwona lampka informująca o konieczności zapięcia pasów przed startem.

- Po jedno. Ewangelię Apostolic. On chce jej dla siebie. -

Kiwnięciem głowy Zoja wskazała na ojca Bruno. Dociągnęła pas i zapięła, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła. - Jest w stanie zrobić dla niej wszystko. I wykorzystać każdego...

nawet zdrajcę. - Odwróciła głowę i spojrzała na Piotra.

- Nie sądz, jeśli nie chcesz być sądzona. - Ojciec Bruno pogroził jej

palcem. - Nawrócony grzesznik jest lepszy od stu wierzących.

- Wierzę w to, że on się nawrócił, tak samo jak w to, że ty jesteś dobrym człowiekiem - odparła Zoja.

Samolot wzbił się w niebo. Piotr poleciał do tyłu, w ostatniej chwili łapiąc się fotela.

- Nie wypuścisz broni z ręki, nawet gdybyś miał zginąć, co? - rzuciła z przekąsem Zoja po dłuższej chwili, kiedy samolot wzbił się na wysokość przelotową.

Kabinę wypełniły szcęknięcia odpinanych pasów. Nagle ojciec Bruno przywołał Zoję do siebie.

- No chodź - ponaglił ją, widząc, że nie ma zamiaru wstać z fotela. - Chcesz odzyskać córkę czy nie?

Zoja wstrzymała oddech. Przeczynała, że wykorzysta to jako kartę przetargową. Tak samo jak wcześniej wykorzysta fakt, że Sasha została porwana, żeby zmusić Zoję do działania według jego planu.

Kiedy ociągając się, podeszła do jego fotela, podał jej niewielką wizytówkę. Zoja zerknęła na nią, nie bardzo rozumiejąc, co właściwie ma z nią zrobić i kim jest mecenas Heinrich Winckler.

- Zadzwońisz do niego i powiesz, że o siedemnastej spotkasz się z nim w kościele świętego Jerzego. Ma być z Sashą. I niech nie zapomni o medaliku z chryzmonem i sztylcie - wyjaśnił

zwięźle ojciec Bruno, wskazując ręką na pokładowy telefon satelitarny leżący przed nim.

- A kardynał Giovanni? - Zdziwiła się Zoja.

- Był tylko pionkiem. Po tym, co stało się w Watykanie, dla Anny Braun i Thiesa Ingoberna już nie istnieje. Tak samo jak kardynał Angener.

Zoję przeszył kolejny wstrząs, jakby ktoś poraził ją prądem.

Co takiego stało się w Watykanie?! Oby tylko Serge i Dulli byli bezpieczni...

- No już! Dzwon! - wrzasnęła na nią ojciec Bruno, widząc, że się ociąga.

Zoja podeszła i wzięła do ręki telefon. Trzymając w jednej ręce wizytówkę, drugą zaczęła wstukować numer. Po chwili przyłożyła słuchawkę do ucha. Sygnał oczekiwania na połączenie dłużył się i dłużył, aż w końcu usłyszała po drugiej stronie lodowaty męski głos.



GODZINA 11. 12

Buren, Niemcy, Zamek Wewelsburg Mecenasa Winckler zapukał do drzwi komnaty. Wschodnie skrzydło zamku było skąpane w słońcu od wczesnych godzin rannych, dlatego kiedy usłyszał stanowcze „proszę” i otworzył

drzwi, na kilka sekund oślepiło go ostre światło wpadające przez okno. Dopiero kiedy jego oczy zdążyły się przyzwyczaić, zobaczył siedzącą na podłodze dziewczynkę bawiącą się lalkami. Obok niej na wózku siedziała Anna Braun ostrożnie upijająca łyk kawy z filiżanki, którą trzymała siostra Marta.

- Pani Braun, przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszedłem poinformować, że lecę do Lyddy.

- Czyli jednak w końcu zadzwoniła... - powiedziała Anna Braun i odetchnęła z ulgą. Odsunęła głowę od filiżanki, dając siostrze Marcie znać, że nie chce już kawy.

- A więc dobrze. Lećmy - odezwała się po chwili, przyglądając się z czułością wnuczce, która udając, że palcami czesze lalki, wrywała im skołtunione włosy.

Mecenas drgnął niespokojnie. Przez kilka sekund wydawało mu się, że się przesłyszał. Przecież to niemożliwe, żeby Braun tak nagle zmieniła plany. Jeszcze kiedy rozmawiali o tym rano, nie było mowy o tym, żeby miała z nim lecieć.

- Na dole czeka ten opóźniony w rozwoju chłopak, Matias Kurt - oznajmiła Braun, pozwalając, by siostra Marta rozpięła jej spięte w kok włosy i zaczęła czesać.

- Syn księdza Rielkiego?! A co on tu robi? - zdziwił się Winckler, starając się za wszelką cenę nie dać po sobie poznać, że jest coraz bardziej wściekły.

- Polecą z nami. W końcu ma prawo zemścić się za śmierć ojca.

- Magdiego tam nie będzie, pani córka zapewniła mnie, że będzie w kościele świętego Jerzego sama - oznajmił mecenas. -

Poza tym kazała mi przywieźć medalik i sztylet.

Anna Braun zmierzyła go wzrokiem. Widać było, że intensywnie się nad czymś zastanawia.

- A więc jednak... - podsumowała na głos to, o czym myślała. - Miałam rację. Bez sztyletu i medalika nie da się do niej dostać.

- Ale pani córka powiedziała, że ma Ewangelię. Nie mówiła nic o tym, że dopiero ma ją zdobyć.

- Jest pan młody, panie mecenasie - odpowiedziała Braun i spojrzała na niego pobłażliwie. - Nie mówię, że to wada, ależ skąd... Kiedy jest się młodym, czasem za bardzo ufa się ludziom. Z wiekiem przychodzi dystans. Mając ponad dwadzieścia lat więcej doświadczenia niż pan, wiem, że niewielu zasługuje na zaufanie. Moja córka jest z całą pewnością jedną z tych, którym nie wolno ufać. Talent do kłamania odziedziczyła po swoim ojcu. On też kłamał

i oszukiwał, żeby mi ją odebrać. Jest gotów zrobić dla niej wszystko, tak samo jak ona dla swojej córki - spojrzała na dziewczynkę. Dlatego powtarzam, proszę się spodziewać obecności jej ojca.

- Nie rozumiem. - zdziwił się mecenas. - Jak to, ojciec Zoi też tam będzie... Przecież Jaques Gismoil nie żyje. Strzeliła mu pani prosto w serce... na wzgórzu... niedaleko miasteczka Saint-Maximin-la-Sainte-Baume...

- Panie mecenasie, sądziłam, że pan wie. To nie Jaques Gismoil jest ojcem Estery, tylko Serge Magdi.



GODZINA 11. 30

Watykan, Dom Świętej Marty

Serge wyszedł z łazienki. Odgarnął mokre włosy opadające mu na czoło i podszedł do lustra wiszącego na drzwiach szafy.

Przyjrzał się swojemu odbiciu. Pomijając to, czego nie dało się zmienić - podkrążone oczy, zapadnięte policzki, bladą cerę i ogólne cechy skrajnego wyczerpania spowodowane brakiem snu - nie było wcale tak źle. Oczywiście, mogłoby być lepiej.

Biała koszula mogłaby być nieco luźniejsza. Spodnie nieco dłuższe i o szerszych nogawkach. Buty... no cóż, buty mogłyby być o rozmiar mniejsze, ale przecież nie mógł winić Tomasa Cippo za to, że jego garderoba nie leży na nim idealnie.

- Brakuje tylko koloratki... - Uśmiechnął się Tomaso, przyglądając się, jak Serge gniecie idealnie wyprasowane rękawy, podwijając je do łokci.

- Wyglądasz, jakbyś szedł na pogrzeb - rzucił kąśliwie Dulli, stając w drzwiach kilka metrów za plecami Serge'a. Wyszedł z drugiego pokoju, który służył Tomasowi za miejsce pracy.

Wyglądał na zmartwionego rozmową telefoniczną odbytą przed chwilą, ale wcale nie kwapił się, żeby zrelacjonować im jej przebieg.

- Augustin ciągle siedzi w kaplicy? - zapytał Serge.

- Niestety - odpowiedział Tomaso. - Zabronił komukolwiek wchodzić do środka. - Spojrzał na zegarek. - Obawiam się, że prędko nie wyjdzie...

- I dobrze - skwitował Serge. - Lepiej, żeby nas tu nie widział. I bez tego ma dosyć zmartwień. Generał McGregor to łajza. Pomyliłem się co do niego. Wolę już tego drugiego, Schlossela. On przynajmniej nie udaje, że zależy mu na czymkolwiek innym niż chronieniu własnego tyłka.

- Gdybyś mi o tym nie powiedział, nie wiedziałbym nawet, że papież miał coś wspólnego z argentyńską dyktaturą -

powiedział ze smutkiem Tomaso. - Nie miałem pojęcia, że brał udział w brudnej wojnie...

- Tomaso, uważaj - rzucił ostrzegawczym tonem Serge. -

Jesteś o krok od tego, żeby mówić tak jak oni. Amerykański wywiad

właśnie tym chciał zamknąć mu usta. Wystarczy, że powiedzą ludziom, że był w juncie. Słowa są jak kule, wystarczy tylko dobrze wycelować, żeby zabić.

- Masz rację. Jestem chyba tym wszystkim za bardzo zmęczony. Nie wiem, co myśleć, co mówić, nawet nie mam pojęcia, co jako kamerling powinienem teraz zrobić. - Bezradnie rozłożył ręce.

Serge zauważył, że w tym młodym, jeszcze kilka godzin temu pełnym arogancji i pychy księdzu zaszła ogromna wewnętrzna zmiana. Stał przed nim całkiem nowy Tomaso; odważny, świadomy i mający odwagę, by przyznać się do błędu syn Pietra Cippo, słynnego łowcy nazistów.

- Nic. Po prostu czekaj - pocieszył go Serge ze szczerą empatią w głosie. - Znam Augustina i wiem, że potrzebuje czasu. Musi to wszystko przemyśleć, jak każdy, kto przegrał bitwę, ale wciąż liczy na to, że wygra wojnę.

- Mówisz jak generał. Chyba udzieliło ci się od McGregora albo Schlossela... - wypalił nagle Dulli. Opadł ciężko na fotel i zakrył twarz rękoma. Widać było, że coś go gryzie. I że to coś bardzo poważnego.

- Aż tak cię to przybiło? - powiedział Serge lekko zdziwiony jego nagłym przygnębieniem.

- Nie... To znaczy też... - zaczął się plątać Dulli.

- Wiesz co, mam pomysł. Idź do sypialni Tomasa, rzuć się na łóżko i prześpij się kilka godzin. Do dziewiętnastej jeszcze sporo czasu. Najpierw ty złapiesz trochę snu, a potem ja. No, co ty na to? - zaproponował Serge.

- Nie mógłbym zmrużyć oka. Poza tym... - Dulli podniósł wzrok i ze strachem spojrzał na Serge'a. - Serge... cholera, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Chodzi o to, że nie liczylibym na to, że Zoja przyjdzie do Santa Maria dell'Anima.

- Ale, co ty... co ty chcesz powiedzieć? Że się spóźni?

Zmieniła miejsce spotkania? - Serge był coraz bardziej zdenerwowany. - NO MÓW! - wrzasnął na Dullego, aż ten zbladł i zaczął się trząść.

- No bo, chodzi o to... O Jezu, nie mam pojęcia, jak mogłem być taki głupi. Wczoraj, w hotelu, pamiętasz, jak wyszedłem, żeby zadzwonić. Naprawdę chciałem pomóc Zoi dostać się do tego cholernego Denbigh, do mojego ojca. Tylko że nie przewidziałem, że księżna Walii nie zajmie się tym osobiście, tak jak mnie zapewniała w trakcie rozmowy przez telefon, tylko zleci to komuś innemu.

- KOMU? - krzyknął Serge bliski furii.
- Lordowi Churchillowi... - Dulli miał w oczach łzy. - Tak mi przykro, Serge, naprawdę...

- Przecież on jest przyjacielem ojca Bruno - powiedział Serge. Przestał krzyczeć. Jego głos brzmiał teraz jak głos osoby całkowicie zdruzgotanej.

- Ja... ja naprawdę nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia... - próbował się usprawiedliwić Dulli.

Serge zbył jego tłumaczenie gorzkim westchnieniem. W tej chwili wiedział jedno. Muszą działać. Teraz. Zanim jest jeszcze choć cień szansy, że zobaczą Zoję całą i zdrową. I że uda im się do niej dotrzeć, ZANIM ojciec Bruno zmusi ją, żeby ryzykując życie, zdobyła dla niego Ewangelię Apostolic.

- Tomaso, zrobisz coś dla mnie?

- Zrobię - odparł Tomaso. - No chyba że każesz mi kogoś zabić...

- Nie, chodzi o coś prostszego. Ktoś musi pójść wieczorem do Santa Maria dell' Anima, na wypadek gdyby jednak Zoja się tam zjawiła.

- Nie ma problemu - zgodził się Tomaso. - Oczywiście o ile do tego czasu Watykan nie wyleci w powietrze - zażartował

złowieszczo, ale nagle jego własny dowcip wcale nie wydał mu się zabawny. Dullemu i Serge'owi też nie. Biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się od rana, to jedno z wielu możliwych zagrożeń. Nie mniej realne niż to, że kardynałowie Giovanni i Angener zechcą po cichu dokonać na papieżu aktu zemsty...

- Jest jeszcze coś... - powiedział Serge po chwili i zrobił pauzę, jakby chciał dać Tomasowi czas, żeby mógł przygotować się na najgorsze. - Potrzebujemy samolotu, żeby dostać się do Lyddy.

Tomaso nabrał powietrza i wypuścił je ze świstem.

Potrzebował dłuższej chwili, żeby się zastanowić. Odkąd Augustin Maria Bergolio objął papieski urząd, Watykan nie dysponował własnym samolotem, a jedynie helikopterem. Na

dłuższe loty czarterowali samoloty, głównie od linii Alitalia.

Zazwyczaj ustalali z nimi szczegóły kilka tygodni, nawet miesięcy wcześniej. Wyobraził sobie, jak bardzo się zdziwią, kiedy zadzwoni i powie, że potrzebuje samolotu na lot do Izraela, i to NATYCHMIAST.

- Będę miał przez to spore kłopoty... - oznajmił w końcu. -

Ale spróbuję to załatwić.



GODZINA 16. 49

Lydda, Izrael

Kilka minut po tym, jak opuścili port lotniczy Ben Guriona w Tel Awiwie, rozpadało się na dobre. Deszcz z czarnych chmur wiszących nad starożytną Lyddą jak gruba zasłona zaczął

w szyby starego, granatowego nissana z taką siłą, że Zoja instynktownie odsunęła się od okna. Niechcący potrafiła łokciem siedzącego obok Piotra. Natychmiast wyjął spod kurtki pistolet i wycelował w nią.

Zoja posłała mu spojrzenie mówiące „Chyba nie myślisz, że spróbuje uciec. . .”. Kiedy Piotr je odwzajemnił, od razu wyczuła, że dokładnie tego się po niej spodziewa - że będzie próbowała ich wykiwać.

Miał rację.

Zoja miała taki zamiar. Tylko zamierzała jeszcze chwilę zaczekać.

- What a rain! - próbował zagaić słabym angielskim starszy Arab kierujący taksówką. Niebo nad nimi przecięła błyskawica.

Kiedy udało im się pokonać wielką jak jezioro kałużę, odetchnął z ulgą i zaproponował, że włączy radio.

- Żadnej muzyki - odburknął ojciec Bruno.

Tak jak Zoja i Piotr, co chwila podskakiwał na fotelu.

Samochód nie miał amortyzacji. Na zalanych deszczem drogach Lyddy było tyle dziur i uskoków, że kierowca nie nadążał ich

omijać, a do tego ojciec Bruno co chwila krzyczał „faster, faster!”, jakby to miało w czymkolwiek pomóc. Zoja nie widziała jego twarzy, ale była pewna, że musi być wściekły. Od kilku minut bez przerwy zerkał na zegarek. Pewnie tak jak ona przeczuwał, że się spóźnią, a wtedy cholera wie, co może zrobić ten przekłety Heinrich Winckler. Tymczasem jazda przez wąskie, zatłoczone samochodami uliczki i ulice miejscami pozamieniane przez ulewę w rwące potoki ciągnęła się w nieskończoność.

Zoja zacisnęła palce lewej ręki na leżącym na jej kolanach plecaku. Jeszcze chwila, jeszcze tylko chwila... - pomyślała i ukradkiem przesunęła prawą dłoń w kierunku drzwi.

Kiedy minęli ulicę Eliyahu Golomba, nissan zaczął

nieznacznie zwalniać. Kilkadziesiąt metrów przed nimi znajdował się

plac, a na jego końcu parking.

To tu - oceniła Zoja. Jej nogi były gotowe. Ramiona, głowa, szyja też. Czowała się jak dzikie zwierzę, gotowe, by w każdej chwili skoczyć na ofiarę, wykorzystując jedyną szansę.

Teraz! - pomyślała Zoja i zanim jeszcze samochód zdążył się zatrzymać, otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz.

- ZOJA!!!! - wrzasnął ojciec Bruno, widząc, co się dzieje.

Piotr wyskoczył z samochodu i zaczął ją gonić. Spodziewała się tego. Przeskakując przez kałuże, mokra od deszczu, gnała jak szalona w kierunku, w którym wydało jej się, że musi biec.

Zaufała intuicji. Czowała, że i tym razem jej nie zawiedzie.

Widziała przed sobą niskie, stare budynki z kamienia, z których większość pamiętała czasy potwornego konfliktu między Palestyną a Izraelem. Była już coraz bliżej nich. Przestała słyszeć za sobą wołanie Piotra. Zapewne przestał ją gonić. I tak on i ojciec Bruno wiedzieli, dokąd zmierza. Nie ucieknie im, to pewne. Ale zyska kilka chwil przewagi.

Przystanąła na kilka sekund, żeby złapać oddech.

Odgarnąwszy mokre włosy poprzyklepiane do twarzy, rozejrzała się. Wiedziała, że ucieka jej czas, że liczy się każda sekunda.

Przed nią po jednej stronie stał meczet, po drugiej, pośród gruzowiska, rosła palma. Na samym końcu placu, tuż przy kilku kamiennych słupkach, stało kilka samochodów. To tam -

pomyślała Zoja i ruszyła przed siebie. Przecisnęła się pomiędzy autami i znalazła się w wąskiej uliczce.

Wszystkie budynki wyglądały niemal jednakowo. Rozpoznała kościół świętego Jerzego tylko dzięki niewielkiemu krzyżowi na szczycie dachu. Wybudowany z kamienia, był stary i zaniedbany. Zupełnie nie przypominał miejsc kultu w rozumieniu europejskiej kultury. Stała przy pomalowanych na brązowo drzwiach i jej wzrok momentalnie wyłapał coś, dzięki czemu od razu poczuła, że jest we właściwym miejscu.

Mosiężny chryzmon wiszący w centralnym punkcie drzwi, na wysokości jej oczu. „W tym znaku zwyciężysz...” -

przypomniało jej się. Nacisnęła na klamkę i weszła do środka.

Kościół był pusty. Panującą w nim całkowitą ciszę przerywało jedynie stukanie butów Zoi o kamienną posadzkę.

Boczne nawy podpierane wysokimi na kilkadziesiąt metrów kolumnami

zdawały się podtrzymywać łukowate sklepienia nad ołtarzem i główną częścią kościoła, w której znajdowały się dwa rzędy ławek i nisko podwieszane, okazałe żyrandole. Ołtarz znajdujący się na podwyższeniu, do którego prowadziły trzy kamienne schodki, był pełen ikon, przedstawiających biblijne sceny i pomiędzy nimi postać świętego Jerzego dumnie siedzącego na koniu z włócznią w ręce i leżącym pod nim martwym smokiem. W samym centrum znajdował się otwór wielkości drzwi, otoczony rzeźbieniami, przysłonięty bordowym płótnem.

To tam Zoja zobaczyła coś, co zmroziło jej krew w żyłach.

Na kilka sekund strach całkowicie ją sparaliżował.

Czy to?

Nie.

To niemożliwe...

Pobiegła do ołtarza i uklękła nad sporych rozmiarów zawiniątkiem.

Trzęsącą się ręką odsunęła kawałek koca, odsłaniając kawałek twarzy dziecka, które wyglądało, jakby spało albo...

Serce Zoi na moment stanęło.

- Sasha... - wyszeptła Zoja i wzięła córkę na ręce, żeby sprawdzić, czy oddycha. Oddychała. Ale była nieprzytomna.

Zoja wzięła ją na ręce. W tej samej chwili usłyszała za plecami czyjeś kroki.

- Dzień dobry - powiedział męski głos.

Zoja obejrzała się za siebie. W połowie drogi do ołtarza stał młody mężczyzna w garniturze. Jego rysy twarzy były ostre, zdecydowane. Blondyn o zielonych oczach kogoś jej przypominał... Mengele! Tak! Z całą pewnością mężczyzna, który zagradza jej drogę do wyjścia, jest do niego podobny jak dwie krople wody. To on, wnuk Josepha Mengelego. To do niego kazał jej zadzwonić z samolotu ojciec Bruno. I to o nim powiedział, że jest robakiem, którego należałoby rozdeptać.

- Mecenias Heinrich Winckler - przedstawił się. Jego angielski był nienaganny, ale akcent brzmiał jak cięcie tępą żyłką.

Zoja przycisnęła do siebie Saszę. Już nikt, nigdy mi cię nie zabierze... - przyrzekła nieprzytomnej córce i podniosła głowę, żeby spojrzeć na Wincklera. Stał w tym samym miejscu co przed chwilą. Widocznie bał się zbliżyć. Albo wiedział, że nie

musi tego robić, bo Zoja i tak nie odważy się zrobić niczego głupiego.

- Zostaw ją i chodź - rozkazał Winckler.

Zoja nie miała zamiaru wykonywać jego polecenia. Ani teraz, ani... nigdy.

- Co jej zrobiliście?!

- Nic. Po prostu dostała środki nasenne. Niedługo się obudzi - odpowiedział Winckler. - Rób, co każę, a wszystko dobrze się skończy. Nic jej nie grozi, możesz ją zostawić na ołtarzu.

Zejdziemy do krypty, zabierzemy Ewangelię i wrócisz po nią...

Zoja nie uwierzyła w ani jedno jego słowo. Zamiast położyć śpiącą Saszę na ołtarzu, jeszcze mocniej przycisnęła ją do piersi.

W tej samej chwili usłyszała za plecami szmer. Zza przysłoniętej kotarą wnęki wyszedł chłopak. W ręce, na której miał opaskę ze swastyką, trzymał karabin. Podniósł go i wycelował w Zoję.

- Powiedz mu, żeby przestał do mnie celować! Trzymam na rękach dziecko! - wrzasnęła Zoja do Wincklera. Przeraziło ją nie to, że trzyma broń, ale to, że w jego oczach płonął istny obłęd.

- Opuść broń, Matias - rozkazał stanowczo Winckler.

Chłopak nie zareagował. Nie dość, że wciąż celował w plecy Zoi, to jeszcze będąc coraz bliżej niej i Sashy, przeładował magazynek.

- SŁYSZYSZ, CO MÓWIĘ, DO CHOLERY?! KURT!

OPUŚĆ KARABIN! - wrzasnął na całe gardło Winckler.

- To za mojego ojca... - wysyczał wściekle Kurt i położył palec na spust.

Kościół wypełnił huk strzału. Tyle że to nie Zoja, ale Matias Kurt zatoczył się w tył i z dziurą w głowie wpadł martwy w wiszącą za nim ikonę z Jezusem.

Winckler schylił się i wskoczył między ławki.

- KIMKOLWIEK JESTEŚ, OPUŚĆ BROŃ! - krzyknął na cały kościół, ostrożnie wychylając głowę zza rzędu ławek i spoglądając w stronę drzwi wejściowych. Z całą pewnością to stamtąd padł strzał. I to tam musi wciąż być napastnik.

Zwinnym ruchem wyjął broń spod marynarki i wycelował w Zoję.

- Zastrzelę ją i dziecko! - zagroził.

- Nie zrobisz tego - odpowiedział mu opanowany głos, na dźwięk którego

Zoja podniosła głowę. Jeszcze zanim zobaczyła idącego środkiem kościoła od drzwi ojca Bruno, wiedziała, że to on. Kilka kroków za nim kroczył Piotr z krótkim pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Obydwaj mieli na sobie kuloodporne kamizelki. Do tego ojciec Bruno trzymał w dłoni dużą latarkę. Nie sądziła, że kiedykolwiek ucieszy się na ich widok.

- Dlaczego niby miałbym tego nie zrobić? - odezwał się Winckler. - I nie przypominam sobie, żebyśmy byli na ty, panie Brunonie...

- Takie robaki jak ty nie zasługują nawet na to, żeby nadawać im imię - odparł z pogardą ojciec Bruno i spojrzął w kierunku ołtarza. - W porządku? Żyjecie? - zawołał do Zoi.

Kiwnięciem głowy potwierdziła. Wciąż skulona ze strachu, z owiniętą kocem Sashą na rękach, zsunęła się stopień niżej, żeby odsunąć się od martwego nazisty i powiększającej się wokół jego głowy plamy krwi.

- Oddawaj medalik i sztylet - rozkazał Wincklerowi ojciec Bruno.

- Gdybym je panu teraz dał, skończyłbym tak samo jak on. -

Skinął głową w kierunku ołtarza.

- Dobrze - zgodził się ojciec Bruno. - I tak obaj dobrze wiemy, że zwoje z Ewangelią Apostolic może wziąć do ręki

jedynie potomek rodu Dawida. Czyli może to być tylko Zoja - oznajmił.

Słyszając swoje imię, Zoja drgnęła. Nagle zrozumiała, dlaczego ojciec Bruno od początku prowadził ją za rękę, posługując się symbolami i tajemniczymi znakami. Wiedział, że inaczej nie byłby w stanie doprowadzić jej aż tu. Naziści i kardynał

Giovanno, który razem z Angenerem od dawna służą im jak niewolnicy, zrobili dokładnie to samo. Wyglądało nawet na to, że i jedni, i drudzy przez przypadek pomogli sobie nawzajem; gdyby nie Sasha, Zoja nigdy nie dałaby się wciągnąć w tę makabryczną grę.

- Masz klucz, który dała ci Gołda Nowak, prawda? - zapytał znienacka ojciec Bruno.

Zoja zamarła. Owszem, dostała od Gołdy drewniane pudełko z gwiazdą Dawida, w środku którego znalazła klucz, ale od pierwszej chwili myślała, że służy do otwarcia depozytu w banku Begelin & Co! Po spotkaniu z bankierem Assendrichem zupełnie o nim zapomniała. Ostatni raz widziała go wczoraj rano, kiedy Serge oddał jej plecak.

- Mam - potwierdziła.

- W takim razie możemy iść. Ty, ja i on. - Wskazał na Wincklera. - Piotr

zostanie na górze z Sashą. Dopilnuje, żeby nic jej się nie stało.

- Nie zostawię jej tu z nim! - zaprotestowała Zoja, przypominając sobie, co się stało ostatnim razem, kiedy mu zaufała. - Dopiero co zdradził nas i stanął po ICH stronie -

pokazała palcem na Wincklera.

- Niestety nie masz wyjścia - odparł ojciec Bruno. - Musisz zaryzykować. Tak samo jak ja, on i Piotr. Pamiętaj, że on też ryzykuje, zostając na górze... Uwierz, że twoja córka będzie bezpieczniejsza tu niż na dole.

- Nie chcę... nie zrobię tego... - odpowiedziała Zoja. Teraz, kiedy miała już Sashę przy sobie, nie była w stanie wyobrazić sobie, że mogłaby tak po prostu wypuścić ją z rąk i zostawić z Piotrem.

- Musisz - naciskał ojciec Bruno. - Inaczej za kilkanaście lat spotka ją to samo co ciebie. O ile w ogóle dożyje do tego czasu... - dodał złowieszczo.

Zoja poczuła, że niestety ojciec Bruno ma rację. Po wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni, mogła być pewna, że ani naziści, ani kardynałowie zamieszani we współpracę z nimi, ani on... - spojrzała na ojca Bruno - nie dadzą im żyć w spokoju. Skoro dotarła aż tu, musi raz na zawsze to zakończyć.

- Wróć - wyszeptała, kładąc wciąż śpiącą córkę na ołtarz. -

Nie waż się jej tknąć - ostrzegła Piotra, który stał przy pierwszym rzędzie ławek.

Winckler i ojciec Bruno stali już na schodach. Kiedy do nich dołączyła, razem zeszli na dół.

Krypta była niewielka i słabo oświetlona. Na tle ponad metrowej wielkości malowidła wktętego w kamienną ścianę, przedstawiającego świętego Jerzego, w samym środku pomieszczenia znajdował się sarkofag z płaskorzeźbą, na której święty Jerzy trzyma w jednej dłoni krzyż przypominający młotek, a w drugiej włócznię.

Zoja podeszła bliżej. Dotknęła dłonią chłodnego marmuru i pomyślała, że chyba najwyższy czas, żeby wyjąć z plecaka klucz. Ojciec Bruno włączył latarkę i świecąc nią w kierunku sarkofagu, powoli zaczął go obchodzić, wyraźnie czegoś szukając.

- Nie wie pan, jak dostać się do środka? - zapytał Winckler.

- Wiem - odparł ojciec Bruno, zatrzymując się w połowie sarkofagu. Podał Zoi latarkę i kazał trzymać. - Świeć dokładnie w miejsce, w którym

stoje - rozkazał, po czym klękając, zajrzał pod górną płytę i zaczął ją badać palcami.

- Cała sztuka polega na tym, żeby otworzyć go we właściwy sposób - zaczął tłumaczyć. - Sztylet symbolizuje siłę. Wsuniecie go pomiędzy palce świętego Jerzego uruchamia mechanizm otwierający drogę na dół.

- NA DÓŁ? - Przeraził się Winckler. - Sądziłem, że Ewangelia jest we wnętrzu sarkofagu!

- Sarkofag jest pusty. W środku znajdują się schody. Cały problem w tym, że są te dobre, prowadzące do właściwego miejsca, i złe, idące w całkiem innym kierunku, prosto w szpony obłędu.

- Czyli?! - dopytywał Winckler.

- Skoro wierzy pan w to, że Odyn to Jezus, powinien pan też wiedzieć o tym, że Ewangelia Apostolic jest okryta klątwą.

Mówiłem już, że może ją wziąć do rąk jedynie potomek rodu króla Dawida. Ale to nie wszystko. Ci, którzy chowali pod fundamentami pierwszej chrześcijańskiej świątyni szczątki Szymona, znanego powszechnie jako święty Piotr, czyli z greckiego „kamień”, postarali się o to, żeby nikt niepowołany nie mógł dostać się do jego grobu i odkryć czegoś, czego Szymon bał się tak bardzo, że postanowił zabrać to z sobą na wieki wieków. Oczywiście mowa o Ewangelii. I kamieniu mocy, po który przecież pana tu przysłano.

- Ale jaka klątwa?! - powtórzył Winckler, coraz bardziej zdenerwowany.

Zoja spoglądała to na niego, to na ojca Bruno, słuchając z coraz większym zainteresowaniem.

- Obłęd. Choroba psychiczna. Zoja widziała to na własne oczy, prawda? Zoja posłała ojcu Bruno zdziwione spojrzenie.

- A Vincenzo Saba Dulli? - odpowiedział. - Czy to nie on próbował cię dziś zagryźć, zachowując się jak dzikie zwierzę?

Zdarzają mu się przebłyśki świadomości. Ale najczęściej jest właśnie taki. Dziki. Całkowicie zatracił ludzkie cechy.

Zapomniał, że jest człowiekiem.

Winckler wyjął pistolet i wycelował w Zoję.

- Dosyć tego - oznajmił ze złością. - Niech pan otwiera ten cholerny sarkofag!

- Radziłbym schować broń. Albo najlepiej położyć ją tam, na schodach. - Wskazał na majaczące w ciemnościach wyjście z krypty. - Tu liczy się

intencja. I to ona, w połączeniu z mądrością i siłą rąk, może otworzyć drzwi do tajemnicy -

ostrzegł Wincklera.

- Daj mi klucz - powiedział po chwili do Zoi. Wciąż klęczał na podłodze. Jego palce zniknęły gdzieś pod kamienną pokrywą sarkofagu. Kiedy Zoja podała mu klucz, wsunął go do zamka ukrytego w bocznej ścianie sarkofagu. - Najpierw klucz, jako symbol wiedzy i mądrości - wyjaśnił i wolno przekręcił klucz raz w prawo, potem w lewo. Wszyscy usłyszeli ciche szczęknięcie, jakby jakaś zasuwka znajdująca się w środku odskoczyła. - O tak, właśnie. - Ucieszył się ojciec Bruno i spojrzał na Wincklera. - Teraz twoja kolej, robaku. Zanim historia cię rozdepcze, miej swój udział w wielkiej chwili.

Winckler łypiąc z wściekłością na ojca Bruno, ostrożnie wysunął z kieszeni w wewnętrznej stronie marynarki niewielką foliową torebkę. W środku znajdowały się medalik Zoi i sztylet.

- Po mądrym użyciu wiedzy nadchodzi czas na wiarę... -

powiedział ojciec Bruno i wyjąwszy z torebki, którą dał mu

Winckler, medalik z chryzmonem, wstał i wsunął go w usta świętego Jerzego.

Odczekali chwilę, a kiedy w środku sarkofagu znów coś szczęknęło, ojciec Bruno wysunął z folii sztylet i obszedłszy sarkofag, stanął obok Zoi.

- Masz - powiedział i podał jej sztylet, wskazując na miejsce na podłodze, gdzie kończyła się ściana sarkofagu. Dopiero teraz, kiedy spojrzała dokładnie w miejsce, które wskazał jej ojciec Bruno, Zoja zobaczyła wąską szparę. Idealną, żeby zmieścił się w niej sztylet.

- Użyj siły, która nigdy nie może wyprzedzić mądrości i wiary - powiedział ojciec Bruno, kiedy Zoja kucnęła i trzęsącą się ręką wsunęła ostrze w głąb podłogi.

Przez kilkanaście sekund nie wydarzyło się nic. Dopiero po tym czasie podłoga zadrżała pod nogami Zoi, ojca Bruno i Wincklera. Pokrywa sarkofagu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki trzeszcząc i chrobocząc, zaczęła się powoli przesuwac w lewo, tak że Zoja i ojciec Bruno musieli się cofnąć o kilka kroków, żeby wazący kilkaset kilogramów marmur nie przygniótł ich do ściany.

Winckler podszedł i świecąc wyrwaną Zoi z rąk latarką, zajrzał do środka.

- Schody! Wykute w ścianie! - Ucieszył się.

Ojciec Bruno poklepał Zoję po ramieniu.

- Wiedziałem, że dasz radę - pochwalił ją.

Zoja spojrzała mu w oczy. Wciąż była w szoku. Ewangelia Apostolic. Aż do tej chwili nie wierzyła, że istnieje naprawdę.

- Dlaczego jest taka cenna? - zapytała, przyglądając się, jak Winckler trzymając się bocznej ściany i brzegu odsuniętej płyty, próbuje wejść do sarkofagu.

- Nie jest wcale taka cenna - odpowiedział ojciec Bruno. -

Poza tym, że zawiera dokładne drzewo genealogiczne rodów Jezusa i Marii Magdaleny, po prostu podważa sens istnienia Kościoła, który zamiast wspierać szukanie Boga, zmusza do wiary w instytucję i jej zasady. Oni wiedzieli, że do tego, żeby odkryć Boga, nie potrzeba pośredników.

Wystarczy to... -

wskazał palcem na pierś Zoi i miejsce, w którym biło jak szalone jej serce. - I to - dodał, dotykając palcem jej skroni, odgarniając poprzyklepane ciągle mokre od deszczu włosy.

- Serce i wiedza... - wyszeptała po chwili Zoja, czując na plecach dreszcze.

- Idź - ponaglił ją ojciec Bruno, kiedy zobaczył, że Winckler zniknął we wnętrzu sarkofagu.

Zoja powtórzyła to, co zrobił Winckler przed chwilą. Usiadła na brzegu sarkofagu i ostrożnie się odwróciła, spuszczać nogi do środka. Po chwili tak jak on zniknęła. Ostrożnie stawiając kroki, zaczęła schodzić po stromych schodach wykutych w kamiennej

ścianie,

coraz

bardziej

zagłębiając

się

w ciemnościach.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece... - wyszeptał ojciec Bruno i ruszył za nimi.

W kościele Piotr siedział na schodach przy ołtarzu, przyglądając się śpiącej Sashy. Kiedy usłyszał szmer dobiegający z drugiego końca świątyni, wyjął broń i wstał.

- Kto tu jest?! - zawołał, ale odpowiedziała mu tylko cisza.

Chwilę po tym leżał martwy w kałuży krwi płynącej z dziury po kuli, która utkwiała w jego sercu.

- Zabierz stąd dziecko - rozkazała ostro Anna Braun siostrze Marcie. Ta zatrzymała wózek i spojrzała na broń, którą Braun położyła na pokrytych plamami krwi kolanach.

- Anno, twoje ręce... - Przeraziła się siostra Marta.

- Krwawią... i co z tego? - Braun wyglądała, jakby wcale nie obeszło jej to, że jej pozbawione opatrunków dłonie są całe we krwi płynącej z ledwo co zasklepionych ran po wbitych w nie gwoździach.

- Nie powinnaś była...

- NIE MÓW MI, CO MAM ROBIĆ! - wrzasnęła Braun. -

Powiedziałam chyba wyraźnie. Zabierz Sashę z kościoła i przestaw mój wózek bliżej schodów. Kiedy wrócą, przywitam ich jak należy...



GODZINA 17. 24

Przestrzeń powietrzna Izraela Zdenerwowany Serge wbiegł do kabiny pilotów.

- Co się dzieje? Dlaczego nie lądujemy w Tel Awiwie?! - zapytał drugiego pilota. Ten zsunął słuchawki i odwrócił głowę.

- Nie widzi pan? - wskazał na okno po swojej prawej stronie.

Serge podszedł bliżej i spoglądając mu przez ramię, wyrżał na zewnątrz. Zobaczył F16 lecące równo z ich samolotem.

- Z drugiej strony też jest - wyjaśnił pilot. - Kazali nam lecieć do Ovdya. Inaczej nas zestrzelą.

- ALE KTO?? - wrzasnął Serge, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Jak to kto?! Siły powietrzne Izraela! - odpowiedział ze złością i spojrzał na pierwszego pilota, który gestem pokazał

mu, że ma założyć słuchawki techniczne umożliwiające mu kontakt z wieżą kontroli lotów na lotnisku Ben Guriona.

Drugi pilot założył słuchawki. Przez dłuższą chwilę w kabinie panowało milczenie.

- Rozumiem... - odezwał się w końcu. - Tak, lecimy do Ovdya. Nie, nie próbuj nas zmusić do lądowania... - Spojrzał

z niepokojem na stojącego za jego fotelem Serge'a.

Serge nie wytrzymał i dwoma szarpnięciami zsunął z głowy pilota słuchawki. Jednym ruchem ręki założył je na głowę. Po drugiej stronie było słychać tylko szmery.

- Co się dzieje? - zapytał Dulli, wchodząc do kokpitu.

Serge przyłożył palec do ust, dając mu znak, że ma być cicho.

Poprawił słuchawki i przesunął mikrofon bliżej ust.

- HALO!!! - wrzasnął z wściekłością, ciągle nie słysząc w słuchawkach niczego poza trzaskami.

Obaj piloci spojrzeli po sobie, coraz bardziej przestraszeni.

Dulli stał w drzwiach, obserwując całą scenę z rosnącym lękiem. Kiedy za oknem z lewej strony zobaczył lecący na wysokości kokpitu F16, aż

przysiadł.

- O Boże... - wyszeptał zdławionym głosem. - Zestrzelą nas.

Po długiej chwili ciszy Serge w końcu usłyszał w słuchawkach głos.

- Cewi Laddy, zastępca dyrektora Mosadu, chcę wiedzieć, z kim rozmawiam...

- DLACZEGO NIE POZWALACIE NA LĄDOWANIE W TEL AWIWIE?! - wrzasnął Serge, tracąc resztki cierpliwości.

- Mosad nie będzie z wami negocjował - odparł tamten. -

Jeśli nie umożliwicie pilotom lądowania w Ovdzie, zestrzelimy samolot.

Serge zbladł. Poczł, że zaczyna tracić grunt pod nogami.

O ile w powietrzu w ogóle można czuć jakikolwiek grunt...

- MUSICIE POZWOLIĆ NAM WYLĄDOWAĆ W TEL

AWIWIE! - powtórzył, czując, że lepiej nie wspominać o tym, że samolot wyczarterował Watykan.

- Chcę wiedzieć, z kim rozmawiam - powtórzył opanowany głos po drugiej stronie.

Serge aż jęknął z wściekłości. Spojrzał na Dullego ze łzami w oczach.

Ten podniósł rękę i odsłaniając zegarek, pokazał

palcem na tarczę, dając mu znać, że mają coraz mniej czasu.

Godzinę temu dzięki satelitarnej łączności udało mu się

odczytać w telefonie wiadomość od lorda Churchilla. Napisał, że jest na

lotnisku Ben Guriona. A Zoja, ojciec Bruno i Piotr są w drodze do kościoła świętego Jerzego na spotkanie z Heinrichem Wincklerem, słynnym prawnikiem nazistów.

-

NAZYWAM

SIĘ

SERGE

MAGDI,

JESTEM

WSPÓŁPRACOWNIKIEM

MOSADU.

PROWADZĘ

W IZRAELU TAJNĄ AKCJĘ. CHODZI O ŻYCIE DWÓJKI ZAKŁADNIKÓW. ZAPYTAJCIE REWANA TALEVIEGO, ON POTWIERDZI, KIM JESTEM!!! - wydarł się Serge na całe gardło.

Piloci spojrzeli na niego, jakby zobaczyli w kokpicie kogoś całkiem innego niż do tej pory. Dulli też.

- Chwileczkę... - odpowiedział głos w słuchawkach i znów dało się słyszeć trzaski i szum.

- Nie, błagam.... - wyszeptał Serge łamiącym się głosem.

Ręce trzęsły mu się do tego stopnia, że nie był w stanie poprawić mikrofonu.

- Halo?! - odezwał się po dłuższej chwili ktoś po drugiej stronie. Serge natychmiast rozpoznał po głosie, że nie jest to ten sam człowiek, z którym rozmawiał przed chwilą.

- Nazywam się Serge Magdi, jestem...

- KTO? - teraz ktoś po drugiej stronie zaczął wrzeszczeć.

- SERGE MAGDI!

- SERGE?! DO CHOLERY, CO TY WYPRAWIASZ! TU

REWAN. Mam tu na głowie dyrektorów amerykańskiego i niemieckiego wywiadu, którzy twierdzą, że współpracujesz z nazistami. Ty i jeszcze jakiś Dulli...

Serge odetchnął z ulgą.

- Rewan... Rewan, przyjacielu. Proszę, ten samolot musi wylądować w Tel Awiwie. W Lyddzie jest Heinrich Winckler...

W słuchawkach rozległy się trzaski.

- KTO?! - krzyknął Rewan, próbując przekrzyczeć szum.

- HEINRICH WINCKLER! - powtórzył Serge.

- Nie krzycz, teraz słyszę - odpowiedział Rewan. - Mówiłeś o jakichś zakładnikach. Ilu ich jest?!

- Dwoje. Moja córka i wnuczka... - odpowiedział Serge łamiącym się głosem, przysuwając mikrofon bliżej ust. Pierwszy raz w życiu powiedział o Zoi „moja córka”, a o Sashy „wnuczka”.

Po drugiej stronie po raz kolejny zapadła cisza.

- Serge?! Jesteś tam?! - w słuchawkach rozbrzmiał głos Rewana.

- Jestem - potwierdził Serge.

- Oddaj słuchawki drugiemu pilotowi...

Kilkadziesiąt sekund później pilot zsunął z głowy słuchawki i oznajmił, że mają zgodę wieży na lądowanie w Tel Awiwie.



GODZINA 18. 00

Lydda, Izrael

Fundamenty kościoła św. Jerzego zadrżały w posadach.

W ciągu kilku sekund świątynię wypełniły tumany pyłu. Stropy zaczęły niebezpiecznie trzeszczeć.

Zoja biegła po schodach, nie mogąc uwierzyć, że miała aż tyle szczęścia, że nie skończyła przygnieciona walącymi się ze ścian kamieniami.

Podziemna kaplica dosłownie runęła, zaraz po tym, jak mecenas Winckler wyrwał Zoi dzban, w którym ukryte były rulony z Ewangelią Apostolic.

Ledwo co zdążyli z ojcem Bruno wyjąć je i zobaczyć. Gdyby nie ojciec Bruno, który widząc, że podziemia kościoła zaczynają się walić, i to samo za chwilę stanie się z górną częścią, Zoja zostałaby na dole na zawsze.

Uratował ją. A sam zginął. Kiedy podziemia znów się zatrzęsły, runął ze schodów. Zoja nie zdążyła nawet się odwrócić, żeby spróbować mu pomóc. Zresztą właśnie po to kazał jej iść przodem... Żeby miała większe szanse na ucieczkę.

W tej chwili nie żałowała nawet, że stracili Ewangelię Apostolic. Dzban z cennymi papirusami rozbił się w drobny mak, a rulony przygniotła zawalona ściana. Najważniejsze było, że żyje. Umazana krwią i pyłem, słaniając się na nogach, dotarła do kościoła. Natychmiast zaczęła głośno wołać córkę.

- Sasha!!!! - wrzeszczała ile sił. - Sasha!!!

- Nie ma jej tu - odpowiedział jej kobiecy głos. - Kazałam Marcie ją stąd zabrać. Jest bezpieczna.

Zoja zakrwawioną ręką otarła z twarzy pot wymieszany z błotnistą mazią. Oczy piekły ją, jakby ktoś wsypał jej do spojówek rozżarzone węgle.

- Kto tu jest? - zapytała, dławiąc się gryzącym w gardło pyłem.

Odpowiedział jej ten sam kobiecy głos, tym razem pełen wyrzutu.

- Nie rozpoznasz głosu własnej matki?

Zoja, widząc jedynie rozmazane białe plamy, nie była w stanie dostrzec, gdzie właściwie znajduje się kobieta, której głos słyszy.

- Anna Braun? - rzuciła z niedowierzaniem. - Gdzie jesteś?

Nie widzę... pył... - dodała, w ostatniej chwili łapiąc się brzegu ławki, bo

kościół znów zadrżał niebezpiecznie.

„To wszystko za chwilę runie” - oceniła Zoja, z walącym jak młot sercem zastanawiając się, jak trafi do wyjścia, skoro nie jest w stanie zobaczyć własnych dłoni.

- Budynek za chwilę się zawali! - krzyknęła, próbując zrobić kilka kroków w prawo, w kierunku, gdzie - jak jej się zdawało - powinny znajdować się drzwi.

- Jestem tuż przed tobą. Na wózku - odparła Braun.

Zoja wyciągnęła obie ręce, próbując wybadać przestrzeń przed sobą.

- Gdzie?

- Tu - odpowiedziała Braun i podjechała wózkiem bliżej.

Zoja zrobiła kilka niepewnych kroków w przód. Za jej plecami rozległ się huk. Schody prowadzące do krypty runęły.

Razem z nimi zawalił się także kawałek ściany w bocznej nawie. W ostatniej chwili rzuciła się do przodu, wpadając na wózek.

- Uważaj! - wrzasnęła z wściekłością Braun, kiedy Zoja wylądowała na jej kolanach.

- Mamo... - wyszeptała z płaczem, czując, jak podłoga pod nimi drży. - Mamo, ja nie chcę umierać...

Braun odepchnęła ją z całej siły.

- Ty idiotko! - krzyknęła na Zoję. - Jesteś tak samo głupia jak twój ojciec! Zoja nie była w stanie odpowiedzieć. Zupełnie jakby umysł przestał jej pracować. Słyszała, jak Braun wstaje z wózka. Leżąc na podłodze pod ławką, ciągle nie mogła nawet otworzyć oczu.

Piekły tak bardzo, że wytrzymanie piekącego bólu rozchodzącego się po całej głowie stawało się prawie niemożliwe.

- Nie trzymaj! - rozkazała Braun. - Podaj mi rękę...

Zoja poczuła, jak dłoń jej matki zaciska się na jej nadgarstku.

Przestała trzeć powieki. Braun kazała jej wstać.

- Cztery kroki od ciebie, jest misa z wodą święconą. Idziemy.

Zoja, na klęczkach, zaczęła powoli przesuwać się w kierunku, w którym prowadziła ją Braun. Słyszała jej ciche pojękiwanie, jakby każdy krok sprawiał jej ogromny ból.

- Tutaj - powiedziała po chwili Braun. Podniosła rękę Zoi i wsadziła ją do misy z wodą święconą. Zoja poczuła pod palcami chłód wody. Z początku zamoczyła w niej tylko palce i cofnęła je, przykładając do oczu.

- Wsadź te ręce do misy i wlewaj do oczu, ile się da! -

ponagliła ją Braun.

Za ich plecami rozległ się grzmot, jakby niebo spadło na ziemię.

- Co to?! - zapytała z przerażeniem Zoja, przytrzymując się misy z wodą święconą.

- Ołtarz - odpowiedziała Braun, kaszląc. - Zawalił się.

Zoja nabierała wody w ręce i polewała nią twarz i oczy.

Z każdą chwilą czuła, że szczypanie staje się coraz słabsze.

Powoli zaczęła odzyskiwać wzrok. Podniosła głowę i pierwszy raz od ponad dwudziestu lat spojrzała w twarz swojej matce.

- A więc to ty... - wyszeptała łamiącym się głosem.

W oczach matki dostrzegła chłód i dystans, identyczne jak wtedy, na wzgórzu.

- Dlaczego go zabiłaś? Dlaczego zabiłaś jego, a mnie nie? -

zapytała Zoja. Te sprawy od ponad tygodnia nie dawały jej spokoju.

Intuicja podpowiadała jej, że jeśli nie zapyta o to teraz, nie zapyta już nigdy.

Braun patrzyła na nią, ledwo trzymając się na nogach.

Dopiero teraz Zoja zauważyła, że jej stopy są całe w bandażach.

„Ukrzyżowanie na dachu Bazyliki...” - prędko skojarzyła fakty.

Przez kościół przeszła kolejna fala wstrząsu. Tym razem ławki kilka metrów od nich dosłownie zapadły się pod ziemię.

Braun obejrzała się w tamtym kierunku, a potem znów spojrzała na Zoję.

- Nie zabiłam twojego ojca - oznajmiła, chwiejąc się na nogach.

- Ale ja widziałam... - odpowiedziała Zoja.

- To Serge Magdi jest twoim ojcem.

- Ale... przecież... wtedy na wzgórzu... - Zoja pokręciła głowę z niedowierzaniem. Pod wpływem płynących łez oczy znów zaczęły ją szczypać.

- Zamknij się i biegnij! - rozkazała Braun, wskazując ręką na zamknięte drewniane drzwi, które jakimś cudem wciąż jeszcze trzymały się ściany.

- Nie jestem taka jak ty. Nie zostawię cię... - odpowiedziała Zoja. W tej samej chwili podłoga osunęła się pod nogami Braun, sprawiając, że kobieta dosłownie zaczęła się zapadać pod ziemię. Zoja w ostatniej chwili złapała ją za rękę i pociągnęła z całej siły, żeby pomóc jej się wydostać z kilkumetrowej dziury ziejącej pod nią.

- Nie zostaniesz tu! - powtórzyła Zoja, ciągnąc z całej siły.

Dłoń Anny Braun zaczęła się jej wyslizgiwać.

- Niczego nie wiesz... nie rozumiesz... nie zostawiłam cię...

- wisząca nad przepaścią Braun patrzyła na Zoję. - Musisz mi coś obiecać...

- NIE PUSZCZAJ MOJEJ RĘKI! - rozkazała Zoja, czując, że Braun robi wszystko, żeby uwolnić swoją zabandażowaną dłoń z jej uścisku.

- Obiecasz mi... - ledwie słyszalnym głosem wyszeptała Braun.

Zoja wyciągnęła drugą rękę, teraz już całkiem balansując nad przepaścią, trzymając się podłogi tylko nogami, które wolno ześlizgiwały się pod wpływem ciężaru.

- Podaj mi drugą rękę!

Braun nie zareagowała.

- PODAJ MI JĄ!!!

Wszystko wokół nich zaczęło drżeć. Potężny kandelabr spadł z sufitu, roztrzaskując się kilka metrów od nich. Zoja zaczęła się osuwać w dół razem z matką.

- Powiedz Sashy, że ją kochałam...

- Sama jej to powiesz! - wrzasnęła Zoja i z całej siły pociągnęła Braun za rękę. Wyciągnęła ją i odciągnęła najdalej jak się dało od dziury w podłodze. Kilka sekund później podłoga, na której leżała, zapadła się w otchłań.

- To wszystko wina Heinricha... zastrzelił ojca Bruno...

zabrał mi Ewangelię Apostolic... - wyjęczała Zoja, dysząc ze zmęczenia. Czowała się tak, jakby jej płuca za chwilę miały pęknąć.

Braun także oddychała ciężko. Leżąc na podłodze ze wzrokiem wbitym w wiszący nad nimi, popękany strop, odwróciła lekko głowę. Obie wiedziały, że nie mają już szans na ucieczkę. Żadnych.

- Widziałaś ją?

Zoja przytaknęła. Kawałek stropu spadł kilka centymetrów od jej nóg, miażdżąc przewróconą ławkę.

- Jest wspaniała, prawda? Wielka, wspaniała Ewangelia Apostolic. I Bóg, który jest wszędzie, tylko nie tam, gdzie przez całe życie próbowałam go znaleźć... - wyszeptała Anna Braun łamiącym się głosem. Pierwszy raz w życiu Zoja zobaczyła w jej oczach łzy. Prawdziwe, spływające po policzkach, mimo mroku i pyłu otaczających ich zewsząd.

Zoja przysunęła się bliżej Braun i objęła ją mocno ramionami.

Ściany wokół nich zaczęły się walić jedna po drugiej. Podłoga zaczęła się

zapadać w zawrotnym tempie.

- Ewangelia mówi o tym, że Bóg jest przy nas. Cały czas - wyszeptała Zoja, zanim kościół wypełnił huk walącego się stropu. W parę sekund zrobiło się ciemno. Czując, że to koniec, Zoja przysunęła głowę do twarzy Anny Braun. - Ja w to wierzę.

I dlatego wybacz mi ci, mamó.



POCZĄTEK I KONIEC

Kordon wojskowych samochodów na sygnale z dwoma terenowymi subaru na czele ominął centrum Lyddy i dojechał

do skrzyżowania Eliyahu Golombaz mniejszą ulicą. Dyrektor Mosadu Rewan Talevi wysiadł ze stojącego na przedzie samochodu i wrócił, oznajmiając, że dalej nie pojedą. W tej samej chwili z wojskowych ciężarówek stojących za nimi zaczęli wyskakiwać żołnierze. Wszyscy biegli w kierunku ulicy, do której wjazd nagle okazał się zabroniony.

- Co się stało?! - Zdenerwował się Serge i otworzył tylne drzwi, żeby wysiąść. Dopiero teraz usłyszał głośne wycie syren alarmowych. Dookoła stało pełno policyjnych radiowozów na sygnale. Powietrze wokół było przesycone dymem i popiołem, tak że trudno było oddychać.

Rawi stojąc przy samochodzie, złapał Serge'a za ramię. Udało mu się go zatrzymać, ale tylko na chwilę.

- Nie idź tam... - Pokręcił głową. Serge pierwszy raz od dwudziestu lat zobaczył w jego oczach łzy. Z samochodu za nimi wysiedli generałowie McGregor i Schlossel. Na końcu wysiadł Linsky, wyprowadzając skutego Dullego. Widząc, co się dzieje, Linsky zdjął Dullemu kajdanki. Ani on, ani generałowie nie próbowali go zatrzymać, kiedy pobiegł do Serge'a.

- Co się dzieje?! - chcąc przekrzyczeć wycie syren, zawołał Dulli. Stanął w głębokiej kałuży i dusząc się dymem, zasłonił

usta ramieniem.

- Nie wiem... - odpowiedział Serge, wciąż jeszcze głosem pełnym nadziei. Dym szczypał go w oczy i wywoływał dudniący kaszel.

- Gdzie jest kościół świętego Jerzego? - zapytał po chwili Serge jednego z przebiegających obok nich żołnierzy.

- Tam... - żołnierz wskazał ręką w kierunku zamkniętej ulicy.

Nisko nad nimi przeleciał helikopter straży pożarnej.

Kilkanaście metrów dalej, nad miejscem, które wskazał żołnierz, spuścił ze zbiorników kilkaset litrów wody.

- Boże, nie... - wyszeptał Serge łamiącym się głosem. Nie oglądając się na Dullego i pozostałych, rzucił się do biegu.

Stojący kilka kroków za nim Rawi zamachał do żołnierzy stojących na rogu, dając im znak, że mają go zatrzymać.

Zagrodzili Serge'owi drogę w ostatniej chwili, kiedy jedną nogą stał już kilkadziesiąt kroków od miejsca, gdzie pośród żołnierzy i policjantów jak w ukropie biegali ratownicy z psami.

- Nie! - Rawi podbiegł i w ostatniej chwili zatrzymał żołnierza, który był już gotów oddać strzał do szarpiącego się z jego kolegą Serge'a. - To nasz człowiek! - oznajmił ostro i razem z Dullim odciągnęli go do tyłu, do stojącego za kamiennymi słupami Schlossela, McGregora i Linsky'ego, którzy pomogli im go zatrzymać.

- Posłuchaj mnie. Serge, uspokój się! - Rawi złapał miotającego się Serge'a za barki. - Kościół świętego Jerzego się zawalił. Chwilę po tym wybuchł gaz. Trwa akcja ratunkowa.

Być może one żyją... Daj ratownikom szansę - poprosił go Rawi, zapewniając, że wciąż powinni mieć nadzieję. I czekać.

Kilka minut później jeden z ratowników podszedł do Rawiego i odciągnął go na bok. Ich rozmowa trwała krótko. Na koniec wsunął dyrektorowi Mosadu do ręki coś, na widok czego Rawi od razu spojrzał na Serge'a.

- Czy to należało do twojej córki? - zapytał Rawi chwilę później, podając Serge'owi pokryty pyłem medalik z chryzmonem.

- Tak - odpowiedział Serge z nadzieją w głosie. - Tak, Zoja, to znaczy Estera, miała to przy sobie...

- Przykro mi, przyjacielu... - Rawi urwał w pół zdania i nie znajdując

lepszego sposobu na wyrażenie współczucia, poklepał Serge'a po ramieniu.

Serge, wciąż jeszcze zupełnie oszołomiony, zaczął kręcić głową, jakby ciało już wiedziało, ale umysł wciąż jeszcze próbował zaprzeczać.

- Nawet nie wiedziała, że jest moją córką - odpowiedział po chwili, spoglądając na biegających wokół ludzi, którzy wciąż brali udział w akcji ratunkowej.

Rawi spojrział na niego ze zdziwieniem. Cokolwiek chciał powiedzieć, żeby pocieszyć Serge'a, nagle wyparowało mu z głowy. Po raz pierwszy w życiu poczuł, co znaczy bezradność.

Schlossel, McGregor i Linsky stojąc kilka kroków od nich, też wyglądali, jakby ktoś wylał im na głowy po kubie lodowatej wody. Dulli stał z boku, jakby jeszcze nie dotarło do niego, co się stało.

- Mogę do niej pójść? - zapytał Serge.

- Na twoim miejscu bym tego nie robił. Ale oczywiście decyzja należy do ciebie. Leży tam... - Wskazał ręką na miejsce niedaleko nich, osłonięte białym brezentem.

Serge już miał tam pójść, ale nagle za jego plecami zjawił się młody Izraelczyk.

- Czy pan to Serge Magdi? - zapytał po hebrajsku z amerykańskim akcentem.

Serge stanął i odwrócił głowę.

- Tak - potwierdził, instynktownie zaciskając dłoń, w której trzymał medalik.

- W moim sklepie siedzi zakonnica, mówi, że nazywa się Marta. Chyba jest w szoku... Ciągłe powtarza „przepraszam, przepraszam, przepraszam...”

- zamachał rękoma, jakby chciał

pokazać, że jest szalona. - Kazała mi przyprowadzić do pana tę dziewczynkę. Powiedziała, że pan jest jej dziadkiem - oznajmił, pociągając za rękę ukrywającą się za jego plecami płaczące kilkuletnie dziecko.

Wyglądało tak, jakby dopiero co obudziło się z głębokiego snu.

Serge cofnął się o krok. Nie potrafił wziąć Sashy za rękę. Nie miał w sobie tyle odwagi, żeby do niej podejść.

- Serge... - Dulli podszedł i położył dłoń na jego ramieniu. -

Historia nie wybaczy zdrajcom - odwrócił głowę i spojrział na stojących obok McGregora i Schlossela. - Ale nie wybaczy też tym, którzy w chwili

próby nie mają odwagi zaufać swojemu przeznaczeniu. To dziecko jest potrzebne nie tylko tobie. Ono jest potrzebne całemu światu. - Spojrzał na Saszę.

Serge obejrzał się w kierunku ruin kościoła, nad którym wciąż jeszcze unosił się dym i gęsta mgła popiołu. Gdzieś tam, w miejscu, które wskazał Rawi, w czarnym worku leżała Zoja.

Na myśl o tym poczuł, że uginają się pod nim nogi.

- Boże mój... - wyszeptał Serge, ze łzami w oczach spoglądając w niebo.
- Boże mój, dlaczego właśnie moje dziecko, jedyne dziecko, musiało zginąć. Ilu jeszcze ludzi będzie musiało stracić życie, zanim prawda wyjdzie na jaw...

Ukradkiem otarł łzy. Odwrócił się i zerknął na Dullego. On też miał zaszkłone oczy. Serge podszedł i wziął Saszę na rękę.

Z początku dziewczynka przyglądała mu się niezbyt pewnie, bliska płaczu. Dopiero po chwili wczepiła maleńkie dłonie w ramiona Serge'a, jakby instynktownie przeczuwała, że na tym świecie został jej tylko on.

Dulli zdjął kurtkę. Narzucił ją na plecy Sashy.

- Załóż jej medalik - powiedział łamiącym się głosem.

Serge ostrożnie wyjął z dłoni zawieszkę z chryzomem i otarłszy ją z pyłu i krwi, założył na szyję Sashy.

Dulli zdławił szloch. Odciągnął na bok Rawiego.

- Niech mnie pan do niej zaprowadzi - poprosił.

Rawi przytaknął skinieniem głowy, oglądając się, czy Serge nie widzi. Nie widział. Był zajęty Sashą.

- Jest pan gotowy? - zapytał Rawi, kiedy podeszli z Dullim do miejsca, gdzie leżały czarne worki z ciałami.

Dulli przytaknął skinieniem głowy. Nie był w stanie wydusić z siebie głosu.

- Wyciągnęli je spod gruzów właśnie tak. - powiedział Rawi, rozsuwając worek. - Nie rozdzielali ciał. Na moje polecenie.

Odszedł, zostawiając Dullego sam na sam z ciałami Zoi i Anny Braun.

- O Boże... - wyszeptał Dulli. Spojrzał na twarz Zoi. Była pokryta krwią i pyłem. Jej otwarte oczy były skierowane w niebo. Dulli uklęknął i trzęsącą się ręką zamknął jej powieki.

- Jak długo, Panie? - powiedział Dulli po chwili, cytując Księgę Psalmów, wznosząc czerwone od łez oczy ku zachmurzonemu niebu. - Czy

zawsze będziesz się ukrywał? Czy Twoje oburzenie będzie płonąć jak ogień? Pamiętaj, jak krótkie jest moje życie, jak znikomymi stworzyłeś wszystkich ludzi.

Czy jest ktoś, kto by żył, a nie zaznał śmierci, kto by życie swe wyrwał spod władzy Szeolu? Gdzież są, o Panie, Twoje dawne łaski, które zaprzysiągłeś Dawidowi na swoją wierność?

Jeden człowiek jest w stanie zmienić świat.

Uwierz w to.

Zanim będzie za późno.

Dla nas wszystkich.